

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

cenę 12 PLN (w tym 09 VAT)
www.panstwo.net
nakład 16 328
indeksu 211088
#137-138 07-08/2017

WTEK
poeta
wykłęty

Pamiętnik
z niehumanitarnej
ZIEMI



PONAD 40 HISTORII WYJĄTKOWYCH KOBIET

Damy, baby, morderczynie



Od Świętosławy do Anny Walentynowicz / 4



Bo jeśli komu droga otwarta do nieba... / 32



Najpiękniejsza Pani Warszawy / 44



Striptiz w domu pogrzebowym / 70



Mamy swoją Arkę Ocalenia! / 82

Spis treści

TEMAT NUMERU 4-30

Magdalena Złotnicka, Jan Przemyski

Od Świętosławy do Anny Walentynowicz / 4

Ryszard Czarnecki

Silne „Polki” / 9

Antoni Rybczyński

Co im zostało z kobiety radzieckiej / 10

Hanna Shen

Cesarzowe, obrończynie życia i wojowniczy z afro / 16

Grzegorz Brzoński

One mają krew na rękach... / 20

Tomasz P. Terlikowski

Maryja, matka na zawsze! / 23

Olga Doleśniak-Harczuk

Przychodzi Merkel do Izabeli Katolickiej / 26

IDEE 32-43

Dariusz Jaroński

Bo jeśli komu droga otwarta do nieba... / 32

Tomasz P. Terlikowski

Sienkiewicz – nasz Homer / 38

Małgorzata Matuszak

Sportowcy w „szponach” sportu / 41

HISTORIA 44-69

Piotr Lisiewicz

Najpiękniejsza Pani Warszawy / 44

Magdalena Złotnicka

Ostatni z przeklętych / 50

Agnieszka Kowalczyk

Pamiętnik z nieludzkiej ziemi / 56

Ewa Polak-Palkiewicz

Lekcje Madame Sophie / 62

Stefania Zahorska

Stachanowiec na wygnaniu / 68

KULTURA 70-81

Sylwia Krasnodębska

Striptiz w domu pogrzebowym / 70

Jakub Kozłowski

Twórczość zaangażowana / 73

Krzysztof Karnkowski

Od „Wołynia” do Opola / 74

Sylwia Krasnodębska

Spider-Man na planecie małp / 78

Krzysztof Karnkowski

Koreańczycy i rekin / 80

ŚWIAT 82-97

Stefan Czernecki

Mamy swoją Arkę Ocalenia! / 82

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji / 92

oprac. Antoni Rybczyński

Putin, Bunkier i demonstracje / 96

Stale rubryki



Katarzyna Gójska

Autentyczna siła

NA POZĄTEK

3



Małgorzata Matuszak

Czym jest... miłość

KATECHIZM INTELIGENTA

31



Piotr Hofman

Aparthotel – inwestycja i własne wakacyjne miejsce

SŁOWEM O GOSPODARCE

77



Olga Doleśniak-Harczuk

Kohl mniej znany

Z GLOBALNEGO TYGŁA

90



Ryszard Czarnecki

Czy Pan Bóg jest Polakiem?

CZARNECKO TO WIDZĘ

95



Marcin Wolski

Puch wcale nie marny...

PAPKULTURA

98



Tomasz Sakiewicz

Polityka i kołyska

OSTATNIE SŁOWO

99

miesięcznik

wydawca

SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA

02-056 Warszawa

ul. Filtrów 63/43

e-mail: redakcja@niezalezna.pl

www.panstwo.net

ZESPÓŁ

Ryszard Czarnecki, Stefan Czernecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jaroński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierżchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI

Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY

Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY

Mariusz Troliński

DTP

Aleksander Raczewski

KOREKTA

Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE

tel. +48 22 290 00 90 wew. 3

prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

47 1240 1053 111 100 1019991772

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska

NA POCZĄTEK

Autentyczna siła

Ruch Klubów „Gazety Polskiej” – absolutny fenomen nie tylko na naszym gruncie, lecz także w całym byłym bloku wschodnim.

Autentyczny, pełen zaangażowania, świadomy swoich praw, obeznany z najnowszą historią Polski i sytuacją międzynarodową, niesamowicie patriotyczny jest najcenniejszą solą zmian po 1989 r., choć w rzeczywistości wyrósł na sprzeciw wobec ich charakteru i głównych architektów, a nawet wbrew ich intencjom.

Postkomunizm to potiomkinowska demokracja. Za fasadą swobód, praworządności kryją się antywolnościowe mechanizmy napędzane służbami rodem z Sowietów i rozmaitego rodzaju ich współpracownikami, klientami, protegowanymi i zapleczem biznesowym. Demokracja demokracją, a władza musi być w naszych rękach – oto myśl przewodnia architektów III RP. Trudno się zatem dziwić, że Polacy nie garnęli się do działań obywatelskich. Po półwieczu komunizmu ustawiana wolność nie pchnęła ich do angażowania się w sprawy ojczyzny. Mimo niesprzyjających okoliczności w słabo zagospodarowanej przestrzeni polskiej demokracji powstała wyjątkowo okazała oaza. To ruch Klubów „Gazety Polskiej” – absolutny fenomen nie tylko na naszym gruncie, lecz także w całym byłym bloku wschodnim. Autentyczny, pełen zaangażowania, świadomy swoich praw, obeznany z najnowszą historią Polski i sytuacją międzynarodową, niesamowicie patriotyczny jest najcenniejszą solą zmian po 1989 r., choć w rzeczywistości wyrósł na sprzeciw wobec ich charakteru i głównych architektów, a nawet wbrew ich intencjom. Po 10 kwietnia 2010 r. były i są siłą obywatelską najbardziej stanowczo domagającą się prawdy na temat śmierci delegacji RP. Bez ich oporu wobec kłamstwa smoleńskiego, comiesięcznych upamiętnień dramatu sprzed siedmiu lat autorzy i beneficjenci wersji ogłoszonej przez MAK mogliby się czuć pewnie. Dzięki Klubom są w ostrej defensywie. Bo Klubowicze nigdy nie dali się zwieść ich propagandzie. Nie



foto: Marcin Pęga/Szeroka Polska

kupili opowieści o pancernej brzozie i szalonych pilotach. Za dobrze rozumieją, jakim państwem jest Rosja i jakim skutecznym przeciwnikiem jej dążeń do odbudowy sowieckiej strefy wpływów był śp. Lech Kaczyński. W połowie czerwca w Spale liderzy ruchu Klubów „GP” spotkali się po raz 12. na ogólnopolskim zjeździe. Siła i determinacja w wydobywaniu Polski z postkomunizmu to znak rozpoznawczy tego gremium. Szczerze – serce rośnie po rozmowach z nimi. Polski duch, o którym Witkiewicz senior pisał, że jest gwarantem siły Rzeczypospolitej, żyje w tych ludziach. Są ogniem łączącym dzisiejsze czasy z najpiękniejszymi tradycjami II RP i wyrosłego z niej oporu przeciwko czerwonej zaradzie. A poza tym to jeden z niewielu w Polsce ruchów, w którym nie koniunkturalizm i oportunizm, a ambicje i odwaga tworzą liderów. ■



Od Świętosławy do Anny Walentynowicz

Magdalena Złotnicka
Jan Przemyński

Krzewiły kulturę i pamięć narodową, inspirowały artystów, dbały o rannych lub walczyły jak mężczyźni. Ryzykowały życie i niekiedy ginęły w imię ideałów. Są jak sama Polska – nie tylko piękne, lecz przede wszystkim charakterne. Od początku istnienia naszej ojczyzny na kartach historii zapisywały się „baby z jajami”. I nie chodzi tu bynajmniej o ideologię gender.



Danuta Siedzikówna „Inka”



Anna Walentynowicz

Dalecy jesteśmy od propagowania feminizmu w wydaniu wojująco-lewicowym, niemniej trzeba uczciwie stwierdzić, że przez setki lat historii zarówno Polski, jak i świata, to mężczyźni mieli większe pole do popisu – władcy i dowódcy wojskowi, uczeni i kapłani byli przecież facetami. Znamy imiona wszystkich polskich władców, imiona ich żon – już niekoniecznie. Kobiety, które zapisały się w historii, wślawiły się albo niesamowitą dobrocią, świętością wręcz, albo twardym charakterem. Temu drugiemu zawdzięcza zainteresowanie nie tylko historyków, lecz także twórców kultury Świętosława, córka księcia Mieszka I i siostra naszego pierwszego króla Bolesława Chrobrego. Większość badaczy jest zdania, że Świętosława i Sygryda „Storråda” z nordyckich sag i nordyckiej historii to ta sama osoba. Zważywszy na fakt, że przydomek „Storråda” oznacza osobę o dumnej mowie i hardą, łatwo przyjąć, że Sygryda rzeczywiście była Polką. Jeśli więc wierzyć ustaleniom historyków, wychodzi na to, że polska księżniczka była naszym najznamienitszym „towarem eksportowym”. Najpierw została żoną władcy Szwedów Eryka Zwycięskiego, a później króla Norwegii i Danii Swena Widłobrodego. Według niektórych hipotez Świętosława mogła być także matką Kanuta I Wielkiego, króla Anglii. Czego nie byli pewni historycy, to wyobrazili sobie pisarze. Świętosława-Sygryda jest jedną z głównych bohaterek „Sagi o Jarlu Broniszu” Jana Władysława Grabskiego. Ostatnio zaś zainteresowanie jej postacią wzmogło się za sprawą dwutomowej powieści Elżbiety Cherezińskiej. „Harda” i „Królowa” to właśnie fabularyzowana biografia ambitnej córki Mieszka I, która jest nie tylko sprawną wykonawczynią planów politycznych ojca, lecz także kobietą – kocha, nienawidzi, wybacza i lęka się o dzieci.

Pisząc o polskich kobietach w średniowieczu, trzeba też wspomnieć o licznych świętych. Do tych najbardziej zasłużonych należy z pewnością święta Kinga (zresztą z pochodzenia Węgierka z królewskiej dynastii Arpadów), żona Bolesława Wstydlwego. Wraz z księciem stanowili białe małżeństwo, przyrzekli Bogu zachowanie czystości cielesnej. Według legendy w ramach prezentu ślubnego Kinga miała wręczyć mężowi woreczek soli. Czy to prawda, nie wiadomo. Z pewnością jednak ściągnęła ze sobą górników, a ci rozpoczęli wydobywanie soli w sławnych do dziś Bochni i Wieliczce. Była też fundatorką klasztoru Klarysek w Starym Sączu, a po śmierci męża wstąpiła do tego właśnie zakonu. Z Węgrami wiąże się także osoba innej ważnej Polki. Święta Jadwiga, pierwsza żona Władysława Jagiełły, pochodziła z dynastii Andegawenów, panu-

jącej m.in. na Węgrzech. Jako władczyni wsławiła się nie tylko dbałością o kulturę (na swoim dworze skupiła przedstawicieli elity intelektualnej kraju), lecz także dobrocią, opiekowała się m.in. szpitalami. Błogosławiona, a potem święta, ogłosił ją papież Jan Paweł II.

► Przeciw Turkom i przeciw zaborcom

W pamięć zapada to, co się odróżnia. Na kartach historii zapisaly się więc liczne polskie bohaterki. Kobiety, które w obliczu zagrożenia nie bały się stać czoła niebezpieczeństwu. Takie, które niekiedy „wchodziły w męskie buty”. Taką kobietą była z pewnością Anna Dorota Chrzanowska, żona Samuela Chrzanowskiego, komendanta Trembowli. Ten plebejusz, wcześniej żołnierz walczący pod Chocimiem, został komendantem w połowie 1675 r. i dowodził obroną twierdzy obleganej przez Turków. Jak podaje Joanna Puchalska w książce „Polki, które zadziwiły świat”, w pewnym momencie najeźdźcy dokonali podkopu pod same mury, zaczęli zakładać miny, które miały uczynić w nich wyłom. Wówczas część szlachty obecnej na zamku zaczęła skłaniać się ku kapitulacji. Komendant nic o tym nie wiedział. To jego żona zorientowała się, że zanoszą się na bunt. „Pod silnym ostrzałem – co było dowodem znacznego nie tylko jak na białogłową męstwa – pobiegła do walczącego na szanach męża i powiadomiła go o wszystkim” – pisze Puchalska. Jego interwencja zapobiegła poddaniu się twierdzy. Puchalska wspomina także, że według legendy, którą obrosło wydarzenie, sam komendant w pewnym momencie zastanawiał się, czy nie skapitulować. Wówczas żona zagroziła mu, że w razie poddania się jednym mieczem przebijie jego, drugim – siebie.

Polki wsławiły się także w czasach, kiedy nasz kraj znajdował się pod zaborami. Nikomu nie trzeba przypominać kobiecej legendy powstania listopadowego, Emilii Plater. Ale i powstanie styczniowe miało swoje może trochę mniej znane bohaterki. Ciekawą postacią z tego okresu jest Anna Henryka Pustowójtówna, adiutantka jednego z dyktatorów powstania, Mariana Langiewicza. Co zabawne, ojciec dziewczyny był rosyjskim generałem. Ona sama jednak – jak podaje Puchalska – twardo opierała się rusyfikacji. Doszło nawet do tego, że chciano ją przemocą wysłać do prawosławnego monasteru. A to dlatego, że jej działalność patriotyczna cieszyła się ogromną popularnością. Właściwie już za życia Pustowójtówna stała się symbolem polskiej patriotki. Sprawy skomplikowały się nieco po wybuchu powstania. Dziewczyna bowiem, zamiast opatrywać rannych, zwyczaj-

nie poszła walczyć. Puchalska pisze, że obecność kobiety w męskim oddziale powodowała niestosowne komentarze i niezdrowe zainteresowanie. Jednak bohaterska Anna i z tym umiała sobie poradzić. Gdy jeden z towarzyszy broni próbował ją objąć, zwyczajnie dostał przez łeb szpicrutą. A kiedy okazało się, że dziewczyna nie korzysta z właściwych jej płci przywilejów, lecz na równi z mężczyznami znosi fatalne warunki, szybko zaczęto darzyć ją ogromnym szacunkiem.

Warto zaznaczyć, że kobiety, które wykazywały hart ducha, często dalekie były od ideału chłodnej, nieskazitelnej damy. Najlepszym przykładem jest tu – także opisywana przez Puchalską – Helena Majewska-Kirkorowa. Ta polska aktorka najpierw zasłynęła jako skandalistka. Jej romans z przyjacielem męża, poetą Władysławem Syrokomlą (nawiasem mówiąc, również będącym w związku małżeńskim), bulwersował opinię publiczną. Jednak to właśnie ta kobieta niespecjalnej reputacji (aktorki nie cieszyły się w owych czasach zbyt wielkim poważaniem, a co dopiero mówić o aktorce tak beczelnie roman-sującej) ukrywała w swoim domu Romualda Traugutta. A gdy „wpadła”, uparcie milczała podczas śledztwa. Ostatecznie została skazana na osiem lat katorgi na Syberii. W wyniku amnestii wyrok skrócono do lat czterech.

Jednak w czasach zaborów kobiety pełniły także inne funkcje. Dbały m.in. o to, by polskość szła w pokolenia. „Kaganek oświaty” niosła m.in. urodzona w 1862 r. Cecylia Śniegocka – w zaborze rosyjskim zorganizowała ona Towarzystwo Tajnego Nauczania, którego podopieczni uczyli się m.in. ojczystego języka i polskiej historii.

► Żony polityków, muzy artystów, dziewczyny czasów wojny

Wybitnych kobiet w czasach międzywojnia było tak wiele, że trudno opisać je wszystkie. Śpiewała Hanka Ordonówna, w kabaretach występowała Zula Pogorzelska, Maria Morska, jedyna kobieta w towarzystwie Picadora i wielka miłość Antoniego Słonimskiego, pod męskim pseudonimem parała się publicystyką. Malowała obrazy Zofia Stryjeńska, pisała wiersze Maria Pawlikowska-Jasnorzewska. Na osobny rozdział zasługują kobiety polityków, takie jak Aleksandra Szczerbińska, druga żona Józefa Piłsudskiego, która jeszcze przed odzyskaniem niepodległości wstąpiła do PPS i brała udział w wielu akcjach bojowych, w tym w akcji pod Bezdanami, i która należała do Polskiej Organizacji Wojskowej, czy Jadwiga Beck, żona Józefa Becka, polskiego ministra spraw zagranicznych, będąca ogromnym

wsparciem dla męża i zawsze godnie reprezentująca Rzeczpospolitą za granicą.

Po wybuchu II wojny światowej polskie kobiety dzieliły los mężów, synów i tysiący polskich mężczyzn. Nie tylko borykały się ze zwyczajnymi w czasach wojny problemami – głodem, lękiem o bliskich i wiecznym zagrożeniem z rąk okupanta – lecz także ginęły jak mężczyźni. Mało kto dziś pamięta, że w Katyniu od strzału w tył głowy jako jedyna kobieta śmierć poniosła Janina Lewandowska, córka generała Józefa Dowbor-Muśnickiego. Jak pisze Puchalska, Janka – przez całe cywilne życie pasjonująca się lotnictwem sportowym – pod koniec sierpnia 1939 r. dostała kartę mobilizacyjną i przydział do pułku lotniczego. Gdy wskutek wojennych perypetii trafiła – wraz z grupą polskich oficerów – najpierw do obozu w Ostaszówku, a potem do Kozielska, na równi ze wszystkimi znosiła trudy i niewygody. Puchalska podaje, że w Kozielsku rada generalska podjęła inicjatywę mającą na celu ochronę kobiety. Podejrzewając, że Rosjanie doszli do tego, kim jest kobieta-jeniec, dali jej fikcyjny stopień podporucznika lotnictwa i za duży mundur (zakładano, że oficerów będą jednak traktować lepiej). W tym to właśnie mundurze zginęła – jako polski oficer.

► **Bojowniczką Powstania Warszawskiego i Panny Wyklęte**

Nie sposób pominąć roli kobiet w Powstaniu Warszawskim. Tu – pewnie już niestety niedługo – relacje możemy jeszcze czerpać z pierwszej ręki. „Nowemu Państwu” udało się skontaktować z jedną z uczestniczek walk o Warszawę, Hanną Szczepanowską ps. Heban, żołnierzem Armii Krajowej. Pochodzi z bardzo patriotycznej rodziny. Miała 10 lat, gdy wybuchła wojna. Choć wszyscy w jej rodzinie byli zaangażowani w walkę z okupantem, jej nie pozwalano działać, właśnie ze względu na wiek. – Zdenerwowana którąś z kolei odmową wzięłam z szuflady klej i poszłam na Aleje Jerozolimskie, gdzie w poszczególnych domach były zakwaterowania dla rodzin niemieckich. Pamiętam, że weszłam rozszłoszczona do budynku i od ostatniego piętra do parteru, we wszystkich mieszkaniach, wysmarowałam tym klejem klamki do drzwi wejściowych. Gdy skończyłam i wyszłam na ulicę, szepnęłam sama do siebie: „No, Haniu, to ty swoją wojnę z Niemcami też już rozpoczęłaś” – opowiada. Później wstąpiła do harcerstwa, gdzie po krótkim czasie została łączniczką komendantki hufca. – Jednak to nie było to, co chciałam robić. Mnie naprawdę ciągnęło do realnej walki z Niemcami, więc posta-

nowiłam wstąpić do Młodzieżowej Grupy Szpiegowskiej – wyjaśnia. Jakie zadania tam wykonywała? Pod zmienioną tożsamością wchodziła do różnych instytucji kontrolowanych przez okupantów, aby zdobywać wiedzę, ilu żołnierzy się tam znajduje, jakiego rodzaju posiadają broń i jaki jest rozkład pomieszczeń w budynku. – Wszyscy koledzy, którzy byli ze mną w organizacji, wpadli. Niestety, żaden nie uszedł z życiem. Ja za namową ojca w odpowiednim momencie się wycofałam – przyznaje ze smutkiem. Jej „tułaczka” po różnych oddziałach konspiracyjnych trwała do 1944 r. – Kilka miesięcy przed wybuchem Powstania Warszawskiego w naszym mieszkaniu złożyłam przysięgę i wstąpiłam do Armii Krajowej. Pełniłam funkcję łączniczki, która wbrew pozorom była bardzo niebezpieczna. My nie walczyliśmy z bronią w rękę, ale naszym zadaniem było donieść rozkazy wszędzie tam, gdzie stacjonowały polskie jednostki. Również tam, gdzie dotarcie było praktycznie niemożliwe. Zdarzało się, że po kilkanaście godzin leżałyśmy w kanałach lub wśród trupów na ulicy, aby wyczekać odpowiedni moment, zerwać się i pobiec do wyznaczonego punktu – relacjonuje pani Hanna. Dodaje, że wiele jej koleżanek straciło życie podczas takich akcji. Ona sama do dziś wspomina pięć sytuacji, w których uszła z życiem tylko dzięki opatrności Bożej.

Pytamy, jak w wojennych realiach odnajdowały się kobiety. – Nawet jeśli czynnie nie walczyły, to wiedziały, że muszą coś robić dla Polski. Doskonałym przykładem na pojmowanie wojny przez kobiety jest moja mama. Gdy dostałam informacje o planowanym wybuchu Powstania, szybko wróciłam do domu po ekwipunek i pożegnać się z rodzicami. Tata mnie przytulił, mama podała rękę do pocałowania. Dobrze jednak pamiętam, że nawet powieka jej nie drgnęła. Po wielu latach pytałam ją, co czuła, gdy wysyłała do boju swoją jedyną córkę. Odpowiedziała mi: „Po pierwsze byłam dumna, a po drugie zawsze mówiłam, że dzieci nie są moją prywatną własnością, tylko Polski. Jeśli trzeba, to się je oddaje, tak że dziwię się, że takie pytania zadajesz”.

► **„Inka”**

Wojna się skończyła, jednak zapotrzebowanie na kobiety wielkiego formatu pozostało. Początki kształtowania się Polski Ludowej to czas walki z tymi, którzy nie zgadzali się na budowanie Polski według wizji dygnitarzy Związku Sowieckiego. Wśród Żołnierzy Wyklętych, którzy podjęli

walkę z nowym okupantem, nie mogło zabraknąć kobiet. Najbardziej znaną z nich jest Danuta Siedzikówna „Inka”. Dziewczyna, która „zachowała się, jak trzeba”. W wieku zaledwie kilkunastu lat została sierotą. Jej matkę rozstrzelano gestapo, a zesłany do łagrów ojciec, choć wyszedł z ZSRS z armią Andersa, do Polski nie wrócił: zmarł po drodze z wycieńczenia. Danutę wychowywała więc babcia. W wieku 15 lat dziewczyna złożyła przysięgę i wraz z siostrą Wiesławą wstąpiły do Armii Krajowej. Służyła jako sanitariuszka 5. Wileńskiej Brygady AK pod dowództwem wtedy majora, a dziś już podpułkownika Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”. Rankiem 20 lipca 1946 r., podczas jednej z wizyt w Gdańsku, gdzie miała odebrać zaopatrzenie dla oddziału, została aresztowana przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. W śledztwie, kierowanym przez naczelnika Wydziału III WUBP w Gdańsku Jana Wołkowa i kierownika Wydziału Śledczego WUBP Józefa Bika, była bita i poniżana. Mimo to odmówiła składania zeznań obciążających członków brygad wileńskich AK. Po bestialskim dochodzeniu, 3 sierpnia 1946 r., Wojskowy Sąd Rejonowy w Gdańsku skazał ją na śmierć. „Inka” nie uległa namowom obrońcy z urzędu i nie podpisała prośby o ulaskawienie. Obrońca zrobił to więc za nią. Bolesław Bierut nie skorzystał jednak z prawa łaski. W grypsie do siostr Mikołajewskich z Gdańska, krótko przed śmiercią, napisała: „Jest mi smutno, że muszę umierać. Powiedzcie mojej babci, że zachowałam się, jak trzeba”. Została rozstrzelana 28 sierpnia 1946 r. o godzinie 6.15 strzałem w głowę przez dowódcę plutonu egzekucyjnego, ponieważ żołnierze z plutonu nie chcieli tego zrobić. Miała wtedy 17 lat, sześć dni później mogłaby świętować osiemnaste urodziny. Według żyjących świadków, ks. Mariana Prusaka i ówczesnego zastępcy naczelnika więzienia w Gdańsku, przed śmiercią „Inka” krzyknęła: „Niech żyje Polska!”.

► Bohaterska Anna

Kobiety dzielnie działały też w czasach, gdy PRL był już dobrze ukonstytuowanym ustrojem. I bardzo często przejmowały męskie role. Do takich sytuacji dochodziło na przykład podczas działalności Komitetu Obrony Robotników. Czasem wynikały z tego tytułu komiczne sytuacje. Gdy internowano Jacka Kuronia, funkcję rzecznika prasowego KOR zaczęła pełnić aktorka Halina Mikołajska. Joanna Krakowska, autorka biografii Mikołajskiej, przytacza wspomnienie Zofii Romaszewskiej o tym, jak

Mikołajska urządziła u siebie konferencję prasową i przywitała dziennikarzy „w jakichś niesłychanie koronkowych koszulkach, bardzo przezroczyстых”. „Ci panowie w krawatach, zapisujący w kącikach wszystko, stojący niemal na baczność i ona wyłaniająca się z tej pościeli [...] Funkcjonowała w tych peniuarach jak prawdziwy polityk”.

Pisząc o kobietach w PRL-u, nie sposób nie wspomnieć o Annie Walentynowicz. W sierpniu 1980 r., pięć miesięcy przed emeryturą, została ona zwolniona z pracy. W obronie kobiety stanęli jej koledzy, a żądanie jej przywrócenia stało się pierwszym postulatem strajku w Stoczni Gdańskiej. 16 sierpnia 1980 r. Anna została przywrócona do pracy. Uczestniczyła w strajku, a po jego zakończeniu zatrzymywała przy bramie nr 3 wychodzących ze Stoczni robotników i wzywała do kontynuacji protestu. Była sygnatariuszką Porozumień Sierpniowych, członkiem Prezydium Komitetu Założycielskiego w SG oraz Prezydium Międzyzakładowej Komisji Związkowej w Gdańsku. Jak czytamy w „Encyklopedii Solidarności”, „w X 1981 podczas spotkania z robotnikami w Radomiu dwóch funkcjonariuszy SB (współpracy z TW Karol) podjęło próbę jej otrucia za pomocą leku Furosemidum”. Po ogłoszeniu stanu wojennego współorganizowała strajk w Stoczni Gdańskiej. Po jego pacyfikacji została zatrzymana i internowana w ośrodku odosobnienia w Bydgoszczy-Fordonie i Gołdapi. Została zwolniona w lipcu 1982 r. Później przeszła jeszcze jeden areszt, była nękana przez władze Polski Ludowej. Nie poddała się. W wolnej Polsce byli tacy, którzy usiłowali zatrzeć pamięć o niej i o jej zasługach. Zginęła w katastrofie smoleńskiej 10 kwietnia 2010 r.

► Dziewczyny, zastanówcie się

Ze wszystkich wspaniałych polskich kobiet wybrałmy zaledwie kilka. Tekst ten dedykujemy więc wszystkim tym, o których nie dane nam było napisać – uczonym, gwiazdom, ale też cichym i nieznanym nikomu bohaterkom dnia codziennego. A przecież im wszystkim – także kobietom współczesnym – należą się słowa podzięk i uznania. Ważne może szczególnie dziś, gdy szalejące feministki chcą uwolnić polską kobietę przede wszystkim od męża, księdza i tych, którzy uczą miłości ojczyzny. Uczestniczki takich akcji bardzo często usiłują pokazać, że polskie kobiety to szare myszy, zależnione, niemające własnego zdania. Może któraś z nich przeczyta ten tekst, może zrozumie, że Polce patriotce zawsze daleko było do obrazu zahukanej, cichutkiej panienki. I może dotrze do niej, że są wartości, o które należy walczyć. Niezależnie od płci. Zastanówcie się nad tym, dziewczyny. ■



Ryszard Czarnecki

Silne „Polki”

Tym razem będzie o mocy kobiet i o sile polonizacji.

Czarnecki-polityk chciałby napisać o coraz większej roli kobiet w polityce. Pisanie o tym jest uprawnione w czasie, gdy w sześciu największych krajach UE rządzi (przynajmniej formalnie) kobiety: w Berlinie – Merkel, w Londynie – May, w Warszawie – Szydło. Ale Czarnecki-polityk ustąpi Czarneckiemu-historykowi, który napisze o silnych „Polkach” w naszej historii. Skąd cudzysłów? Ano stąd, że chodzi o niewiasty, które – choć wywodziły się z Czech, Węgier, Włoch czy Francji – to zapisały się nie w dziejach tych krajów, ale w historii naszej ojczyzny. Współtworzyły one polskie dzieje, choć nie były etnicznymi Polkami. Czy nie świadczy to o sile przyciągania Polski? Skądinąd polskich mężczyzn też. Bo wszystkie były żonami polskich władców, w tym trzy z nich – polskich królów.

Zacznę, w zgodzie i z geografiami, i z chronologią, od czeskiej żony władcy Polan i jednoczyciela ziem polskich – Mieszka, którego z czasem zaczęto nazywać „Pierwszym”. Przyjechała do nas jako Dobrawa, spolonizowaliśmy ją na Dąbrówkę. Odegrała istotną rolę w przyjęciu chrześcijaństwa przez polskiego pana-męża i jego poddanych. Ta matka pierwszego polskiego króla, Bolesława Chrobrego (czyli Dzielnego), nie tylko była matką Bolka, który wywijał „Szczercem” w Kijowie, lecz także można ją nazwać matką polskiej chrystianizacji. Tu jednak odezwie się Czarnecki-polityk, który podkreśli, że nie o chrześcijaństwo wyłącznie tu chodziło, lecz także o „wielką politykę”. Małżeństwo polskiego księcia Mieszka z księżniczką z Południa było politycznym majstersztykiem, bo odbierało Niemcom pretekst do najazdów na Polskę. Co prawda, dalej hordy Teutonów wdzierały się na polskie terytorium i musieliśmy dawać im łupnia, na przykład pod Cedynią, ale już odpadał zręczny piarowo w chrześcijańskiej Europie argument o „nawracaniu pogańskiej Polski”.

Minęły cztery wieki i pojawiła się kolejna cudzoziemka, która nie tylko chętnie poddała się procesowi polonizacji, lecz także na trwałe weszła do historii Polski, polskiego Kościoła oraz Kościoła powszechnego. Jadwiga Andegaweńska dla polskiego władcy po-

rzuciła austriackiego narzeczonego – Wilhelma Habsburga. Tak, to była średniowieczna „dobra zmiana” i przykład kolejnego genialnego polskiego małżeństwa dynastycznego, bo ta córka Ludwika Węgierskiego i Elżbiety Bośniaczki przyciągnęła do nas Wielkie Księstwo Litewskie i oddała je politycznej chrystianizacji (westernizacji takżę). Wspierała szpitale, kościoły i wszelkich potrzebujących, a posag przeznaczyła na rozwój Akademii Krakowskiej. Współcześni nazywali ją „Gwiazdą Polski”, czyli tak samo jak w naszej średniowiecznej literaturze określano Matkę Boską...

Po kolejnym wieku z okładem w polskim życiu publicznym pojawiła się znów „obca” dama, która stała się jak najbardziej „swoją” władczynią – żona króla Zygmunta Starego i matka króla Zygmunta Augusta, włoska księżniczka Bona Sforza. Położyła wielkie zasługi w zakresie kultury (renesans!) i – jak byśmy to dziś powiedzieli – „polsko-włoskiej wymiany kulturalnej”. Ma też historyczne zasługi w zakresie – to dla mnie osobiście bardzo ważne – wzbogacenia polskiego życia kulinarnego. To królowa Bona przecież sprowadziła do Polski ziemniaki oraz masę nieznaną u nas warzyw, które odtąd nazywano, nieprzypadkowo, włoszczyzną. Swoją drogą miała prawdziwie włoski temperament i używała go do koniecznego dla Polski wzmocnienia władzy królewskiej. Nie wiem, czy czytała jej rodaka Machiavellego, ale obserwując jej działania – chyba tak...

Minął wiek (i trochę) i na polskim firmamencie politycznym rozbłysła francuska gwiazda, która choć oficjalnie nazywana była Marią Kazimierą Ludwiką, to Polacy ochrztili ją Marysieńką. Mowa o żonie Jana III Sobieskiego i matce jego 13 (sic!) dzieci. Tym razem nie było to małżeństwo „dynastyczne”, ale z miłości. Listy jej i zwycięzcy spod Wiednia A.D. 1683 przeszły do historii polskiej sztuki epistolarnej, w tym erotycznej sztuki epistolarnej.

Czeszka, Węgierka, Włoszka i Francuzka – silne kobiety, które nie tylko się spolonizowały, lecz także zapisały ważne rozdziały w dziejach Polski. ■

Antoni Rybczyński

Co im zostało z kobiety radzieckiej

**Ojczyzna światowego
proletariatu
miała być krajem
równych szans.
Przypominała o tym
słynna traktorzystka
z propagandowego
plakatu. Dziś jednak
widać, że okres
komunizmu, choć
w Rosji bardzo długi,
był jednak czymś
nienaturalnym dla
patriarchalnego
społeczeństwa
rosyjskiego.
Współczesna Rosja
to nie jest miejsce
dla robienia kariery
przez kobiety – widać
to i w biznesie,
i w polityce. Nieliczne
wyjątki jedynie
potwierdzają tę
prawdę: Rosja Putina
to Rosja mężczyzn.**

Sowiecka tradycja mówiła, że kobiety były jedną z grup społecznych ciemnionych przez carat. Oswobodziła je dopiero rewolucja bolszewicka 1917 r., która ogłosiła, że są równe mężczyznom, i zagwarantowała im wszystkie socjalne i polityczne prawa. Tyle teoria. A jak było w praktyce? Sowiecki system polityczny był w rzeczywistości zdominowany przez mężczyzn. Wystarczy przejrzeć nazwiska nie tylko ministrów, lecz przede wszystkim wysokich dygnitarzy partyjnych. Choć formalnie było równouprawnienie. To trochę tak jak ze stalinowską konstytucją z 1936 r. – na papierze najbardziej demokratyczną ustawą zasadniczą świata. Kobiety miały zagwarantowaną proporcjonalną reprezentację w radach wszystkich szczebli, aż po Radę Najwyższą. Tak jak robotnicy, chłopci, mniejszości etniczne itd. Tyle że rady (sowiety) były fasadą typową dla demokracji ludowej. Kariera „kobiety radzieckiej” zależała tak naprawdę od tego, czy zdołała uzyskać dostęp do stanowisk kontrolowanych przez partię, jako część nomenklatury. Nie zdarzało się to zbyt często, bo rodzina była uważana za podstawowe społeczne zobowiązanie kobiety – nawet w tak postępowym społeczeństwie jak to komunistyczne.

Kiedy runął stary porządek oraz zniknęły socjalne i ekonomiczne zabezpieczenia, dla większości rosyjskich rodzin był to ogromny szok. I oto okazało się, jak twardą może (a właściwie musi) być Rosjanka. Podczas gdy wielu mężczyzn na problemy transformacji zareagowało szukaniem zapomnienia w wódce, ich żony nie miały wyjścia – musiały nakarmić rodziny. Wykazywały się przedsiębiorczością w warunkach, jakie dawała tworząca się gospodarka rynkowa. Okazało się, że sukces nie zależy od członkostwa w partii, ale od własnej zaradności, energii i wytrwałości. Kobiety zaczęły otwierać własne małe biznesy, zajęły się drobnym handlem. Były nauczycielki i inżynierki jechały do Turcji, Polski czy Tajlandii kupować tam ciuchy i potem z zyskiem sprzedawać u siebie. Dużo kobiet sukcesu pojawiło się też w kadrze menedżerskiej, przede wszystkim w księgowości, reklamie, public relations. Ale jednak wciąż istniał szklany sufit – kobieta mogła robić karierę, ale tylko do pewnego szczebla. Nie jest przypadkiem, że wśród oligarchów i biznesmenów z najwyższej półki nie ma dziś w Rosji ani jednej kobiety. Płeć piękna ma też jedynie ograniczony dostęp do narzędzi politycznego i społecznego wpływu. To mężczyźni kontrolują państwowe i polityczne instytucje. Kobiety stanowią około 54 proc. populacji, ale w ciałach politycznych jest ich mniej niż 10 proc.

► **Kraina mizoginów**

W Rosji nie ma liczących się kobiecych ruchów i organizacji politycznych. Bo brakuje takiego zapotrzebo-

wania wśród Rosjanek. Z dwóch co najmniej powodów. Po pierwsze, wciąż powszechne jest przekonanie łączące kobiety w polityce ze zrujnowanym życiem osobistym. Po drugie, pokutuje opinia, że jakakolwiek kobieta inicjatywa polityczna skazana jest na funkcjonowanie na marginesie. Kiedy pojawiła się partia Kobiety Rosji, nie zdołała osiągnąć progu 5 proc. w wyborach do Dumy w 1993 r. W niektórych zachodnich krajach jedna trzecia lub nawet więcej członków parlamentu to kobiety. W Rosji to kilka procent. Socjologiczne badania wskazują zaś, że większość Rosjanek przyznaje rację, że to mężczyźni mają większe możliwości robić kariery – i się z tym godzą. Zarazem jednak głosy kobiet w wyborach to bardzo łakomy kąsek. Jest ich aż o 10 mln więcej niż męskich, więc to żeński elektorat często przesądza o wyniku. A że Putin ma niezwykle branie u Rosjanek, więc i jego wynik nigdy nie jest słaby. Nie pije, nie pali, nie bije – więc zbudowano mu wizerunek atrakcyjnego macho, aby przyciągać głosy żeńskie. Za niecały rok w Rosji odbyć się mają wybory prezydenckie. Wszyscy zadają sobie pytanie: kiedy Putin ogłosi swój start? Bo gdy ogłosi, będzie już wszystko przesą-

dompą, jak w Związku Sowieckim, co też w dużym stopniu utrzymało się po 1991 r. Jest to ważne święto dla zaledwie 16 proc. Rosjan. Co prawda, 8 marca wciąż policjanci z drogówki wręczają kwiatki kobietom za kierownicą, mężczyźni przynoszą bukiety swym damom, a firmy i urzędy kupują żeńskim pracownikom prezenty w stylu kompletu rajstop, ale to tylko pusty rytuał. Szacunku dla kobiet jest coraz mniej – o czym świadczy choćby kontrowersyjne prawo przyjęte przez Dumę, legalizujące *de facto* przemoc domową – i coraz grubsza skóra musi mieć kobieta, by robić karierę. Nawet te Rosjanki, które można dziś uznać za wizytówkę damskiej części Rosji, osiągnęły to, co osiągnęły, tylko dzięki swym mężom lub męskim protektorom.

► Carya nieruchomości

Szczególnie widać to w biznesie. Niemal wszystkie liczące się finansowo panie osiągnęły to albo poprzez rozwód i podział majątku z mężem-oligarchą, albo wspólny biznes z mężem, albo dzięki mężowi na wysokim stanowisku – jak w przypadku Jeleny Baturiny, która od lat niezmiennie okupuje pierwsze miejsce ran-

WŚRÓD OLIGARCHÓW I BIZNESMENÓW Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI NIE MA DZIŚ W ROSJI ANI JEDNEJ KOBIETY. PŁEĆ PIĘKNA MA TEŻ JEDYNNIE OGRANICZONY DOSTĘP DO NARZĘDZI POLITYCZNEGO I SPOŁECZNEGO WPŁYWU.

zione. Nieliczni nieśmiało spekulują, czy może jednak obecny prezydent zrezygnuje z reelekcji. A wtedy pojawia się dyskusja na temat potencjalnych następców. Są różni, młodzi i starsi, liberalowie i siłowicy, ci z Petersburga i ci z Syberii. Ale jedno jest niezmiennie: w tym gronie nie ma nawet jednej kobiety.

Lata indoktrynacji w duchu „putinowskiego konserwatyzmu” robią swoje. W porównaniu z badaniami w poprzednich latach, coraz więcej Rosjan nie jest gotowych na to, by w perspektywie najbliższych 15 lat na czele ich kraju stanęła kobieta. Na takie rozwiązanie gotowych jest obecnie tylko 33 proc. ankietowanych – wynika z badania Centrum Lewady. Spada też liczba osób akceptujących udział kobiet w życiu politycznym – przez rok odsetek spadł z 77 do 66 proc. Co oznacza, że aż co trzeci Rosjanin uważa, że płeć piękna nie powinna bawić się w politykę. Zmalała liczba osób niemających nic przeciwko temu, by kobiety zajmowały wysokie stanowiska państwowe: przez rok z 64 do 56 proc. Znakiem czasów jest podejście do Międzynarodowego Dnia Kobiet – nigdzie indziej nie obchodzonego z taką

kingu najbogatszych Rosjanek. Ma 54 lata, dwoje dzieci i od dawna w Rosji nie mieszka. Uciekła z rodziną po skandalu korupcyjnym. Ale od pięciu lat wciąż otwiera listę najbogatszych kobiet Rosji. Jej majątek „Forbes” wyliczył w tym roku na 1,06 mld dolarów. Żeby wspiąć się na ten szczyt, trzeba było mieć przez wiele lat męża na stanowisku mera Moskwy. Miasta z budżetem, którego mogłoby pozazdrościć niejedno mniejsze państwo na świecie. Baturina zbiła fortunę na intratnych i podejranych interesach z moskiewskim samorządem, którym kierował Jurij Łużkow. W pośpiechu wyjechali z całą rodziną do Londynu, gdy wiosną 2011 r. prokuratura wszczęła dochodzenie. Publicznie o korupcję oskarżał Łużkova i Baturinę m.in. zamordowany opozycjonista Borys Niemcow. Już kilka lat temu Baturina sprzedawała większość swych aktywów w Rosji, w tym potężną firmę budowlaną Inteko, która wygrywała najbardziej lukratywne kontrakty w Moskwie w czasach, gdy stolicą rządził Jurij Łużkow. Kiedy państwo skonfiskowało żonie byłego mera drogie działki gruntu w mieście, Baturina złożyła pozew do sądu, żądając miliarda dolarów

odszkodowania – ale nie dostała nic. Obecnie mieszka w Londynie i inwestuje w nieruchomości w Europie i USA. Ma hotele w Irlandii, Austrii, Czechach oraz w Rosji. Inwestuje również w projekty energetyki słonecznej w Europie Południowej.

Na drugim miejscu listy najbogatszych Rosjanek jest Jelena Rybołowlewa (50 lat, dwoje dzieci), była żona oligarchy i właściciela piłkarskiego mistrza Francji AS Monaco Dmitrija Rybołowlewa. Majątek 0,6 mld dolarów zawdzięcza rozwodowi. Mieszka w Szwajcarii. Wśród najbogatszych Rosjanek są jeszcze: Tatiana Bakalczuk, była nauczycielka języka angielskiego, która wraz z mężem rozwija największy w Rosji internetowy sklep odzieżowy Wildberres; Olga Bielawcewa, członek zarządu firmy produkującej wodę mineralną i inne napoje; Irina Abramowicz, pierwsza żona oligarchy (i właścicielka piłkarskiego mistrza Anglii Chelsea) i matka jego piątki dzieci. Oczywiście sumy, jakimi dysponują najbogatsze rosyjskie bizneswomen, są niczym w porównaniu z fortunami panów z ich kraju. Dla przykładu: w 2015 r. 50 najbogatszych Rosjanek miało łącznie tyle co sam Oleg Deripaska, uznany wtedy za najbogatszego Rosjanina.

► Maskotka Putina

Zupełnym przeciwieństwem Baturiny, zarówno jeśli chodzi o wiek, majątek, urodę, jak i relacje z władzą, jest Natalia Pokłonska. Pochodząca z Donbasu trzydziestokilkulatka karierę zaczynała w 2002 r., w ukraińskiej prokuraturze. Długo pięła się w górę. Jeszcze w 2010 r. była jedynie pomocnikiem prokuratora w Symferopolu, zajmując się m.in. walką ze zorganizowaną przestępczością, a z drugiej strony – ochroną środowiska. W 2012 r. została przeniesiona do pracy w Biurze Prokuratora Generalnego w Kijowie. Po zwycięstwie „rewolucji godności” i ucieczce Wiktora Janukowycza do Rosji Pokłonska złożyła rezygnację z pracy, motywując to tym, że „wstydy się żyć w kraju, gdzie po ulicach spacerują neofaszyści i narzucają swoje warunki tak zwanej nowej władzy”. Nie czekając na rozpatrzenie wniosku, wyjechała do rodziny na Krym. Tutaj publicznie krytykowała nowe władze, nazywając liderów Majdanu „diabłami z piekieł” i głosząc swą prorosyjskość. Spadła do słownie z nieba liderowi separatystów, nieuznanemu przez Kijów nowemu premierowi Krymu – Sergiejowi Aksjonowowi. Ponieważ dotychczasowy prokurator generalny Krymu nie zgodził się przystać do rosyjskiego obozu, Aksjonow zaproponował na jego miejsce Pokłonską.

Przedstawiano ją jako skuteczną i energiczną funkcjonariuszkę organów prawa. Podczas swojej pracy na Krymie zwalczała m.in. Tatarów. Jednak nie to przyniosło jej sławę. W Internecie znaleziono jej dość frywolne zdjęcia – i zaczęło się. W parę tygodni pani prokurator

dorobiła się ogromnej ilości stron tworzonych przez fanów jej urody i prawdziwej powodzi memów. Szczególną furorę Pokłonska zrobiła w... Japonii. Pojawiły się jej liczne rysunki stylizowane na mangę. Dla „cesarzowej Pokłonskiej”, jak ją zaczęto nazywać, Krym okazał się szybko za mały. Będąca dla Rosjan symbolem „krymskiej wiosny” prokurator w wyborach do Dumy w 2016 r. zdobyła mandat deputowanej z ramienia rządzącej Jednej Rosji. Rosyjskie media przedstawiają ją jako niezwykle kompetentną i nieugiętą – i nie daje o sobie zapomnieć, choćby ostatnio wezwaniami do oceniania filmu o kochance cara Mikołaja II. Na Ukrainie wszczęto przeciwko niej i innym deputowanym wybranym do Dumy Państwowej z Krymu śledztwo z artykułu o zdradzie państwa. Figuruje na unijnej liście osób objętych sankcjami.

► Rosyjska Thatcher

Pojawiające się w Rosji porównania Walentyny Matwienko do słynnej brytyjskiej premier mają tyle sensu, co porównywanie Sankt Petersburga do Londynu. To właśnie dawny Leningrad stał się odskocznią do kariery dla obecnej przewodniczącej wyższej izby parlamentu, Rady Federacji. Zajmując stanowisko numer trzy w państwie, według konstytucji, Matwienko automatycznie stała się najwyżej sytuowaną kobietą w Rosji od czasów carycy Katarzyny II. Zapewne nikt się tego nie spodziewał w małej miejscowości na zachodzie Ukrainy, gdzie przyszła na świat w 1949 r. jako Walentyna Iwanowna Tiutina. Jej rodzina przeniosła się później do Leningradu. Tutaj ukończyła studia chemiczne, ale zamiast bawić się w laboratorium, wybrała karierę polityczną. W tamtych czasach oznaczało to: partyjną. Zaczynała jako rzutka i lubiana działaczka leningradzkiego Komsomołu, potem była partia. Została wybrana na deputowaną ludową do Rady Najwyższej ZSRS, gdzie stała na czele komitetu do spraw kobiet, rodzin i dzieci.

Po upadku Związku Sowieckiego, w nowej Rosji, nieoczekiwanie Matwienko zmieniła „branżę”. Poszła w dyplomację. Była ambasadorem na Malcie (1991–1995) i w Grecji (1997–1998). Kiedy wróciła, to od razu na stanowisko wicepremiera. Na pięć lat. Krajanka Putina, lojalna w rządzie, stała się jedną z nielicznych kobiet, które prezydent dopuścił na wyższe piętra swej piramidy władzy. Tradycyjnie, jak to Putin, oddelegował najpierw Matwienko do wykonania misji w Petersburgu. W 2003 r. została tu gubernatorem. Chwalono ją za modernizację i ekonomiczny rozwój miasta. Za czasów gubernator Matwienko znacząco wzrosła rola Petersburga w polityce. W 2008 r. z Moskwy przeniesiono tu Sąd Konstytucyjny. Dwa lata wcześniej, 15–17 lipca 2006 r., odbył się tu 32. szczyt krajów G-8. W 2008 r. „Forbes” umieścił ją na 31. miejscu listy najpotężniejszych

kobiet świata. Jednak tak naprawdę w żadnym stopniu nie była samodzielna. Wykonywała wiernie kolejne rozkazy Putina – choćby rezygnując w sierpniu 2011 r. z funkcji gubernatora. Bo miała zadanie do wykonania w Radzie Federacji. Aby zdobyć mandat senatora, wystartowała w wyborach lokalnych w swym mieście, zdobywając 95 proc. głosów. Co ciekawe, sondaże wskazywały, że ma poparcie maksymalnie 20 proc. mieszkańców Petersburga... 21 września 2011 r. została wybrana na przewodniczącą Rady Federacji. Za było 140 senatorów, żaden przeciw, jeden wstrzymujący się. Na tym stanowisku wykonuje wszelkie polecenia z Kremla. 17 marca 2014 r., nazajutrz po „referendum” na Krymie, znalazła się wśród pierwszych siedmiu osób objętych sankcjami USA. Syn Matwijenko, Siergiej, to bankowiec. Chyba bardzo dobry, bo pracował już w paru dużych bankach, zawsze na stanowisku wiceprezesa... Często mówią i pisząc o Matwijenko, twierdzi się, że to najważniejsza kobieta w politycznym systemie Putina. Być może formalnie – tak. Ale

także dla Nabiulliny upadek ZSRS i nowe rynkowe możliwości umożliwiły błyskotliwą karierę. Podczas gdy jej mąż, wybitny ekonomista Jarosław Kuzminow, uruchamiał prywatną uczelnię (dziś jest najbardziej prestiżową ekonomiczną uczelnią w Rosji), Nabiullina związała się jako ekspert z najpotężniejszą biznesową organizacją Rosji – Związkiem Przemysłowców i Przedsiębiorców. W 1995 r. trafiła do resortu gospodarki i szybko pięła się w górę. Minister rozwoju gospodarczego handlu Herman Gref (dziś prezes największego banku w Rosji) wziął ją w końcu na zastępcę, a gdy odszedł z rządu, to właśnie stanowisko zajęła Nabiullina. Na pięć lat, przy czym cztery w ekipie premiera Putina. Gdy w 2012 r. doszło do zamiany ról, Putin wrócił na Kreml, a Miedwiediew do Białego Domu (siedziba rządu), Nabiullina odeszła z ministerstwa.

Putin postawił ją na czele banku centralnego w lipcu 2013 r. Niecały rok później nowa szefowa musiała stawić czoła poważnym kłopotom wynikającym z sankcji zachodnich za aneksję Krymu oraz ze spadku cen ropy. Kiedy 16 grudnia 2014 r., w słynny „czarny

NAWET TE ROSJANKI, KTÓRE MOŻNA DZIŚ UZNAĆ ZA WIZYTÓWKĘ DAMSKIEJ CZĘŚCI ROSJI, OSIĄGNĘŁY TO, CO OSIĄGNĘŁY, TYLKO DZIĘKI SWYM MĘŻOM LUB MĘSKIM PROTEKTOROM.

jeśli chodzi o relacje z prezydentem, na pewno nie. Matwijenko bowiem słucha się Putina. Putin zaś wcale nie słucha się Matwijenko.

► Kasjerka z Baszkirii

Putin wszędzie tam, gdzie mógł, podkreślał, że zrywa ze spuścizną i polityką poprzednika. Wyjątkiem była gospodarka. Tutaj nie miał sprecyzowanych poglądów, więc powierzył politykę ekonomiczną fachowcom z tradycyjnymi rynkowymi poglądami. Elwira Nabiullina została wiceministrem gospodarki w 2000 r., by po siedmiu latach zająć stanowisko szefowej resortu. Teraz – jako szefowa banku centralnego – ta drobna brunetka, niewyglądająca na swoje przeszło sześćdziesiąt lat, ma ogromny wpływ na rosyjską gospodarkę. I Putina.

Nabiullina pochodzi z Ufy, stolicy Baszkortostanu. Urodziła się w baszkirskiej rodzinie: matka była partyjną działaczką w fabryce, ojciec pracował jako kierownik. Elwira okazała się nadzwyczaj zdolnym dzieckiem, przez szkoły i uczelnię wyższą (ekonomia w Moskwie) przeszła jak burza. Jak dla wielu pracowników naukowych,

wtorek”, rubel nagle runął w przepaść, Nabiullina odpowiedziała, że „spekulantom należy się zimny prysznic” i w trybie pilnym ogłosiła drastyczne podwyżki stóp procentowych. Kurs rubla w końcu się ustabilizował, zaś dewaluacja złagodziła negatywny wpływ spadku cen ropy. Inflacja, która początkowo poszła ostro w górę, potem zaczęła szybko spadać i obecnie jest blisko rekordowo niskich poziomów. Bardzo restrykcyjna polityka monetarna Nabiulliny wywołuje protesty przemysłowców, ale Putin ją popiera. Nabiullina zrobiła też porządek w sektorze bankowym, odbierając licencje jednej trzeciej banków. Jej pracę docenił brytyjski magazyn „The Bankier”, przyznając prezes Banku Rosji tytuł najlepszego szefa banku centralnego 2016 r. w Europie. To dzięki jej decyzjom Rosja przeszła już chyba najgorsze, jeśli chodzi o skutki międzynarodowej izolacji ekonomicznej. Putin doskonale zdaje sobie z tego sprawę – Nabiullina ma coraz więcej władzy i cieszy się coraz większym zaufaniem i wsparciem ze strony prezydenta. Czy do tego stopnia, by wspierać się wyżej na politycznym nieboskłonie Rosji? Odpowiedź brzmi: nie. ■

Rawa Blues



THE WORLD'S BIGGEST INDOOR BLUES FESTIVAL

NOSPR 29.09.2017 GODZ. 19.30

**EDEN BRENT
DUDEK BIG BAND**

SPODEK 30.09.2017 OD GODZ. 11.00

MARCUS KING BAND

**TIM WOODSON
& THE HEIRS OF HARMONY**

**SONNY LANDRETH
KRIS BARRAS BAND**

**SOBO BLUES BAND ★ GRZEGORZ KAPOŁKA TRIO
POLA CHOBOT & ADAM BARAN
WES GAŁCZYŃSKI & POWER TRAIN ★ TWO TIMER**

SCENA GŁÓWNA OD GODZ. 15.00

*Blackberry Brothers, Hubert Szczęsny i Nie strzelać do pianisty,
Adam Bartoś, Tandeta Blues Band, HoldBlues, Forsal, Rockomotive*

SCENA BOCZNA OD GODZ. 11.00

Prowadzenie koncertów: Piotr Baron, Jan Chojnacki i Marek Jakubowski

info: www.rawablues.com bilety: www.ticketpro.pl



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dotychczasowe
organizacje
Miasta Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



Hanna Shen



CESARZOWE, obrończynie życia i wojowniczkі z afro

Kobiety Dalekiego Wschodu często przedstawia się jako ciche, uległe i zawsze mające stać w cieniu istoty. A jednak i w historii, i we współczesności w Chinach i na Tajwanie nie brakuje przykładów łamiących ten stereotyp. Kobiet niezwykle inteligentnych, odważnych. Niektóre są przebiegłe i pochłonięte żądzą władzy, inne zaś gotowe poświęcić wiele, by zmienić swój kraj na lepsze.

W cesarskich Chinach kobieta miała być jedynie dodatkiem do mężczyzn, którzy oczekiwali zabawy i ukojenia w ich towarzystwie. Panie nie mogły mieć władzy politycznej. Z tego stereotypu zdecydowanie wyłamała się cesarzowa Cixi (1835–1908).

► **Cixi – mistrzyni intrygi**

Miłośnierna, Szczęśliwa, Spokojna – to kilka z oficjalnych tytułów, jakie nosiła. W rzeczywistości była inteligentna, skuteczna, okrutna i uciekała się do intryg. Mając 16 lat, wygrała konkurs na cesarską nałożnicę. Ówczesny cesarz Xianfeng (1831–1861) miał wiele konkubin, ale to właśnie Cixi podobno szczególnie zauroczyła go swoim śpiewem. Wkrótce zaszła w ciążę i w 1856 r. wydała na świat syna, późniejszego cesarza Tongzhi. Pierwsza żona cesarza była bezdzietna, co Cixi potrafiła wykorzystać, by zwiększyć swoje wpływy. Gdy zmarł Xianfeng, objęła regencję w imieniu małoletniego syna. I tak oddała się całkowicie panowaniu i... uciechom cielesnym.

Faworytów tolerowała w łóżu niedługo. Niektórzy młodzieńcy, sprowadzani w przebraniu eunuchów, uczestniczyli w hulankach, potem znikali bez śladu. Na pełnienie obowiązków matki nie było czasu. Cixi nie starała się nawiązać bliskich kontaktów z synem, co spowodowało, że Tongzhi coraz bardziej jej nienawidził. W 1872 r. poślubił pochodzącą ze znanego mongolskiego rodu księżniczkę Alute, a rok później przejął władzę od matki. Teoretycznie odsunięta od rządzenia Cixi nie powinna mieć już żadnych wpływów i winna zajmować się hodowlą kwiatów i jedwabników. Ale nie o tym marzyła ambitna władczyni. Z pomocą wiernych i szpiegujących dla niej eunuchów nadal miała kontrolę nad tym, co działo się na dworze, a także w państwie. Dochodziło do częstych konfliktów pomiędzy Cixi a jej synem. Nagle w 1875 r. dwór obiegła informacja, że cesarz ma ospę. Przeczuwając swój koniec, Tongzhi wydał edykt odsuwający od ewentualnej regencji matkę. Nie został on jednak wprowadzony w życie, bo zniszczono go na polecenie Cixi na oczach umierającego cesarza. Kilka miesięcy po śmierci Tongzhi zmarła jego ciężarna żona. Miała popełnić samobójstwo, w co mało kto na dworze wierzył, wskazując Cixi jako stojącą za śmiercią syna i jego żony.

Wbrew zasadom dziedziczenia władzy, Cixi, ze wsparciem armii, uczyniła kolejnym cesarzem swojego czteroletniego siostrzeńca – Guangxu. W jego imieniu ponownie objęła regencję. W 1898 r. cesarz Guangxu podjął próbę usamodzielnienia się. Wiążąc się z ruchem Kang Youwei, zainicjował próbę reformy państwa, tzw. sto dni reform. Cixi była zagorzałą przeciwniczką wszelkich „nowinek” w swoim pań-

stwie, a szczególnie tych, które pochodziły ze znienawidzonego przez nią Zachodu. Zdawała sobie sprawę, że aby utrzymać władzę, musiała działać. Doprowadziła do przewrotu pałacowego. Reformatorzy zostali wypędzeni lub straceni, a cesarz umieszczony w areszcie domowym, w którym przeżywał do swojej śmierci w 1908 r. I znów na dworze pojawiły się plotki, że został otruty arsenikiem z rozkazu Cixi. Cesarzowa chciała, by umarł przed nią, by to ona mogła wskazać następcę – 2-letniego Puyi (ostatni cesarz Chin). Cixi zmarła dzień po Guangxu.

► **Narcyzm cesarzowej**

Postać cesarzowej do dziś budzi kontrowersje. Jedni przedstawiają ją jako okrutną despotkę, której polityka doprowadziła do klęski Chin w wojnach z obcymi mocarstwami i pogrzyżała kraj w korupcji. W trakcie swoich rządów Cixi miała używać władzy i państwowych podatków jako środków do gromadzenia ogromnej fortuny, a pod koniec jej panowania okazało się, że odłożyła w bankach w Londynie 8,5 mln funtów sterlingów, podczas gdy Chiny stały się nad przepaścią bankructwa. Puyi tak opisał ją w swojej autobiografii pt. „Byłem ostatnim cesarzem Chin”: „płonoła żądzą władzy; nie rezygnowała z żadnych uprawnień i w ogóle z niczego, co raz dostało się w jej ręce. Z punktu widzenia Cixi zasady moralne i starodawny kodeks postępowania istniały po to, żeby jej służyć, a nie po to, by ją w najmniejszym bodaj stopniu krępować”.

Zupełnie inny obraz cesarzowej namalowała brytyjska pisarka chińskiego pochodzenia Jung Chang w książce „Cesarzowa wdowa Cixi. Konkubina, która stworzyła współczesne Chiny”. Według Jung Cixi to mądra władczyni, bo to za jej rządów w Chinach rozwinął się przemysł, powstała pierwsza kolej, zmodernizowano armię, wprowadzono elektryczność, telefony i fotografię, a także zniesiono karę „śmierci przez tysiąc cięć” oraz zwyczaj bandażowania stóp dziewczynkom. Jung przytacza słowa, które miała o sobie wypowiedzieć Cixi. Czytając je, trudno nie odnieść wrażenia, że cesarzowa miała skłonności narcystyczne. „Myślę często, że na świecie nie ma chyba kobiety mądrzejszej ode mnie. Choć słyszałam wiele o królowej Wiktorii, wciąż nie sądzę, by jej życie było w połowie tak ciekawe i urozmaicone jak moje. Spójrz na mnie, ode mnie zależy los 400 milionów ludzi”.

► **Chai Ling – wszystko dla wolności**

Rodzice Chai Ling (ur. 1966 r.) byli lekarzami w Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Jak sama mówi, od dziecka uczono ją, że ma kochać swój rząd i że partia i władza są ważniejsze niż jej życie.

Podczas studiów na wydziale psychologii na Uniwersytecie Pekińskim Chai poznała ludzi, którzy myśleli zupełnie inaczej, i zaczęła mieć wątpliwości, i kwestionować to, co robił rząd. Gdy wybuchł protest na placu Tiananmen w 1989 r., nie tylko przyłączyła się do niego, lecz także stała się jednym z jego przywódców. Chciała lepszych i sprawiedliwszych Chin. Bolało ją to, że pierwotny odruch do bycia wolnym, do niezależnego kierowania własnym losem – został niemal zniszczony w Chinach. O sobie i tych, którzy demonstrowali razem z nią, napisała w książce pt. „Serce na wolności”, że „byli dziećmi, które toczyły bój i dojrzewały w systemie rządzonym przez pokolenie żądające pełnej uległości”. Nie przypuszczała, że partia komunistyczna w odpowiedzi na postulaty studentów przetoczy przez miasto czołgi i będzie strzelać do studentów.

Chai Ling znalazła się w grupie 500 studentów, którzy do końca pozostali na placu. Wielu z nich zginęło. Chai pytana o to, dlaczego przeżyła, odpowiada, że miała jeszcze inne zadanie do wykonania. Rozpoczęła uczęszkę ku wolności. Przez Hongkong, a następnie Francję trafiła do Stanów Zjednoczonych. Tu ukończyła studia na kierunku stosunki międzynarodowe na Harvard Business School i stworzyła dobrze prosperującą firmę. Jednak, jak sama twierdzi, prawdziwa wolność przyszła wtedy, gdy odkryła Boga. W Chinach mówiono jej, że zgnili zachodni kapitaliści używają Boga, aby oślepić ludzi. W USA zaangażowała się w ruch antyaborcyjny. Tu spotkała wielu chrześcijan i wreszcie w 2009 r. przyjęła chrzest.

► W obronie nienarodzonych

Chai przyznaje, że zawsze czuła ból z powodu przemocy w Chinach, nie tylko wobec obrońców praw człowieka, lecz także z powodu przymusowych aborcji w Państwie Środka. Zaczęła głośno mówić o strasznych skutkach polityki kontroli urodzeń w Chinach. O tym, że w ciągu ostatnich 30 lat zabito tu ponad 400 mln dzieci, że na masową skalę mordowane są dziewczynki, że w Chinach jedna na sześć dziewczynek została albo poddana aborcji, albo porzucona. I o tym, że ponieważ brakuje kobiet, to ponad 37 mln mężczyzn nie może znaleźć żon i rozwija się handel kobietami (spośród takich transakcji zawieranych na świecie 60 proc. dotyczy właśnie Chin). Te wszystkie czynniki doprowadzają do zwolnienia gospodarki, wzrostu liczby samobójstw wśród młodych ludzi, rozkładu rodziny. Chai Ling znów stanęła na barykadzie. Założyła organizację All Girls Allowed (Wszystkie Dziewczynki Dozwolone). Jej celem jest uświadomienie

przede wszystkim kobietom i matkom w Chinach, że życie ma wartość. Stowarzyszenie pokazuje też, jak wielkiej niesprawiedliwości dopuszcza się rząd, wymuszając na kobietach aborcję i sterylizację, pomaga ratować dzieci i ich matki, bronić kobiet, które zmuszane są do aborcji, wspierać finansowo sieroty, a także nieść pomoc dziewczętom i kobietom, które zostały sprzedane.

All Girls Allowed jest w swoich działaniach bardzo skuteczna. To ta organizacja w 2012 r. nagłośniła sprawę wymuszonej aborcji na Feng Jianmei (dokonanej w siódmym miesiącu ciąży). W kościołach zaczęli się na modlitwie gromadzić ludzie, a tragedia została opisana nawet przez chińskie media. Ostatecznie rząd chiński wydał zakaz aborcji w późnych miesiącach ciąży. Gdy w październiku 2015 r. władze Chin ogłosiły, że pozwolą na dwójkę dzieci, Chai Ling nazwała to ważnym momentem w historii Chin, ale od razu dodała, że teraz trzeba się modlić i działać, by władze Chin zlikwidowały politykę kontroli urodzeń całkowicie.

Chai niejedną raz w swojej walce o lepsze Chiny przeżywała momenty zwątpienia, ale nie poddała się. Pytana, skąd czerpie inspirację, odpowiada, że od błogosławionego ks. Jerzego Popiełuszko, „który oddał życie, by bronić prawdy. Ten sam duch odwagi i poświęcenia wykazali na Tiananmen studenci i mieszkańcy Pekinu. Niektórzy oddali swoje życie tak jak ksiądz Jerzy. Niektórzy zapłacili za to cenę wolności, a niektórzy, jak ja, pozostają na wygnaniu. Tak, to ten sam duch, który, teraz już wiem, nazywa się Jezus”.

► Chen Chu – w oczekiwaniu na śmierć

Gdy Chen Chu przychodziła na świat w 1950 r., w okolicach Yilan (płn.-wsch. Tajwan), na Tajwanie rządził Czang Kaj-szek. Od 1949 r. trwał stan wojenny i okres tzw. białego terroru, czyli bezwzględnej tępienia jakichkolwiek przejawów nielojalności wobec rządzącego Kuomintangu. Zaczęło obowiązywać prawo negujące jakikolwiek pluralizm, ograniczające działalność polityczną (z wyjątkiem uczestnictwa w życiu Kuomintangu, jedynej legalnej partii). Ofiarami białego terroru stali się nie tylko urodzeni na wyspie Tajwańczycy, lecz także wielu przybyłych z Czang Kaj-sze-kim Chińczyków rozczarowanych rządami „generalissimo”.

W podstawówce Chen Chu marzyła, aby stać się znaną sportsmenką. Rodzice, rolnicy, pragnęli, aby była nauczycielką. Był to zawód cieszący się ogromnym zaufaniem, a także gwarantował dobrze płatną i stabilną pracę. Chen postanowiła wypełnić wolę rodziców i zdawała na uczelnię kształcącą nauczycieli,

ale się nie dostała. I tak trafiła do Tajpei na Uniwersytet Shih Hsin – kuźnię dziennikarzy.

Pod koniec lat 70. przeciwnicy Kuomintang zaczęli tworzyć zwarty obóz opozycji, o nazwie Dangwai. To ten ruch zaczął wydawać czasopismo „Formoza”, do którego zgłosiła się Chen Chu. Jak mówi, postanowiła się zaangażować w działalność polityczną z prostego powodu – chciała, aby pewnego dnia Tajwan był miejscem, w którym obywatele nie będą bali się władzy. W redakcji „Formozy” pracowały czołowe osoby ówczesnego ruchu opozycyjnego na wyspie, m.in. Annette Lu, która później w latach 2000–2008 była wiceprezydentem Tajwanu, i Shih Ming-teh, który wcześniej jako więzień polityczny był przetrzymywany przez 25 lat. Pierwsze wydanie czasopisma „Formoza” rozeszło się w 25 tys. egzemplarzy, kolejne już w 100 tys. Dangwai i „Formoza” zaczęli też organizować prodemokratyczne demonstracje. Na jedną z nich zaplanowaną w mieście Kaoshiung na Międzynarodowy Dzień Praw Człowieka, 10 grudnia 1979 r., władza nie wydała pozwolenia. Mimo sprzeciwu rządzących przedstawiciele Dangwai, w tym także Chen Chu, wyszli na ulicę Kaoshiungu. Policja użyła gazu łzawiącego i pałek. Wydarzenie to przeszło do historii jako Incydent Kaoshiung. Zaraz po nim władze rozpoczęły aresztowania czołowych opozycjonistów i procesy przed sądem wojskowym. Shih Ming-teh otrzymał dożywocie, a Annette Lu 12 lat więzienia. Chen Chun została zatrzymana trzy dni po Incydencie Kaoshiung i liczyła się z tym, że spędzi kilka następnych lat w areszcie. Tymczasem władze Tajwanu postanowiły z procesu Chen uczynić prawdziwą pokazówkę, która miała się skończyć surowym wyrokiem dla odstraszenia innych. Prokuratura wystąpiła wtedy o karę śmierci dla niespełna 30-letniej Chen Chu. Chen, oczekując na wyrok, napisała „list pożegnalny do Tajwańczyków” zaczynający się od słów: „oby wszyscy cierpiący, wszyscy, którzy mają związane ręce, wszyscy represjonowani mogli być jak najszybciej uwolnieni. Oby moje strony rodzinne i Tajwańczycy mogli cieszyć się jak najszybciej prawdziwą sprawiedliwością, równością, wolnością i demokracją. Modłę się, by prawo oznaczało sprawiedliwość i nie było narzędziem politycznej dominacji, a jego tekst tylko zwodził ludzi”.

Gdy 36 lat później, 16 stycznia 2016 r., ogłoszono wynik wyborów prezydenckich, zwyciężczyni, dziś prezydent Tajwanu, Tsai Ing-wen na swoim koncie na Facebooku umieściła cały tekst listu Chen Chu. Tsai napisała też, że wymienione wtedy przez Chen pragnienia spełniły się – Tajwan jest wolny i demokratyczny, a ona sama chce wszystkim, którzy o to wraz z Chen walczyli, ogromnie podziękować. Czyta-

jące wtedy wpis nowej prezydent, a przede wszystkim list Chen, młode pokolenie Tajwańczyków nie kryło wzruszenia.

► Bojowniczką w lokach

Tak samo 36 lat wcześniej wielu Tajwańczyków wzruszyło się losem Chen Chu. W trakcie procesu w jej obronie społeczność tajwańska za granicą, m.in. w USA, organizowała protesty. Pod presją międzynarodową kara dla Chen nie była tak surowa, jakiej domagał się prokurator. Skazano ją na 12 lat. W połowie lat 80. czuło się jednak początek zmian demokratycznych na wyspie i Chen została wypuszczona z więzienia po 6 latach, a zaraz potem w 1987 r. zniesiono stan wojenny. Pytana po latach, jak wspomina ten trudny okres, Chen Chu mówi, że oczekując na wyrok sądu wojskowego, miała wrażenie, że już umarła. „Ale miałam szansę, aby się odrodzić i dalej pracować dla Tajwanu”. I rzeczywiście po opuszczeniu więzienia, gdy Tajwan przechodził transformację w demokrację, Chen Chu ciężko pracowała. I zdobywała różne doświadczenia. Zaangażowała się w działalność Tajwańskiej Fundacji Praw Człowieka, w latach 1994–1996 była jej przewodniczącą. W 1992 r. uczestniczyła w Światowym Forum Ekonomicznym w Davos. W latach 1994–2000 pełniła funkcję dyrektora wydziału spraw społecznych w magistratach Tajpei i Kaoshiung; w latach 2000–2005 była ministrem pracy; a w 2006 r. zwyciężyła w wyborach na burmistrza Kaoshiung, zostając pierwszą kobietą na tym stanowisku. Okazało się, że walcząc o swobody obywatelskie Chu jest także dobrym zarządcą i stąd mieszkańcy Kaoshiung wybrali ją na kolejne dwie kadencje – w 2010 r. na drugą, a w 2014 r. na trzecią. Za jej administrowania miasto, które kiedyś kojarzyło się z przemysłem, stało się także ważnym miejscem na mapie kulturalnej Tajwanu.

Ale poza lokalnymi sprawami Chen Chu zabiera głos w sprawach, które są ważne dla całego kraju, na przykład w kwestii rozliczeń z dyktatorską przeszłością wyspy. Już w czasie kampanii wyborczej przyszła prezydent Tsai Ing-wen zapowiedziała, że jest to jeden z najważniejszych punktów jej programu. Obie panie Tsai i Chen są z tej samej proniepodległościowej partii DPP i Chen szczególnie mocno wyraża poparcie dla Tsai w tej kwestii, bo – jak mówi – na Tajwanie „jest jeszcze wiele niewyjaśnionych spraw z okresu stanu wojennego, białego terroru. Są to prawdziwe rany, które tylko prawda może zagoić”. I o tę prawdę Chen z pewnością jeszcze nieraz powalczy. Nic dziwnego, że nosząca fryzurę w stylu afro 67-letnią Chen Chu młode pokolenie nazywa „bojowniczką w lokach”. ■

Grzegorz Broński

One mają krew na rękach...

Potrafią być bezwzględne, cyniczne, a także przerażająco brutalne. Zbrodnie popełnione przez kobiety szokują współczesnych, ale o krwawych przestępczyniach wspominają kronikarze nawet odległych czasów. Za pierwszą seryjną morderczynię uważana jest rzymska Messalina – później znalazła dziesiątki naśladowczyń. Także dzisiaj w więzieniach nie brakuje kobiet, które nigdy nie powinny wyjść na wolność.

We wszystkich policyjnych lub sądowych statystykach – bez względu na region świata – widać drastyczną różnicę pomiędzy liczbą przestępstw popełnianych przez mężczyzn i kobiety. Dysproporcja jest ogromna, ale to nie oznacza, że reprezentantki płci rzekomo słabszej nie dokonują czynów budzących grozę. Wręcz przeciwnie – ich zbrodnie nierzadko wstrząsają okrucieństwem czy bardzo niskimi pobudkami – jak to obecnie określa kodeks karny – „zasługującymi na szczególnie potępienie”. Eksperti (psycholodzy, psychiatry, kryminolodzy) są jednak zaskoczeni naszym każdorazowym zdumieniem, gdy na ławie oskarżonych zasiada kobieta. Niektórzy ocenili to dość dosadnie. „Mimo ogromnych zmian pod względem roli kobiety w społeczeństwie media wciąż sugerują, że powinniśmy być zbulwersowani, gdy ręce, które piastują dzieci, potrafią kraść, rabować i bić, jak gdyby kobiecość miała być szczepionką przeciwko przestępczości. Ze względu na to, że kobiety w porównaniu z mężczyznami tak rzadko wzbudzają uczucia odrazy i dezaprobaty, przestępczynie traktuje się jako pewnego rodzaju fenomen” – skwitowała amerykańska psycholog Anne Campbell w książce „Jej niezależny umysł. Psychologia ewolucyjna kobiet”. Rzeczywiście, nie sposób nie zgodzić się z tym spostrzeżeniem. Niemal każde śledztwo i proces z podejrzaną lub oskarżoną przyciąga ciekawość gawiedzi.



► Żona cesarza nie знаła litości

Gdyby 2 tys. lat temu istnieli sądowi psychiatrzy, bez wątplenia musieliby się zająć Walerią Messaliną, która żyła na początku naszej ery. Socjopatka pochodziła z arystokracji starożytnego Rzymu (prawnuczka Marka Antoniusza) i została żoną cesarza Klaudiusza. Tamten okres dziejów naznaczony był krwią niewinnych, a skala bestialstwa była wręcz niewyobrażalna. Pomimo to, nawet w tak mrocznym czasie, barbarzyństwo Messaliny wyróżniało się spośród innych, a trzeba pamiętać, że Klaudiusz został cesarzem po upadku Kaliguli – człowieku, którego szaleństwo i krwawe rządy są powszechnie znane. „Jako cesarzowa dopuściła się wielu zbrodni [...] Jej życie wypełnione było okrucieństwem oraz rozpustą, gdyż Waleria Messalina bardzo chętnie odgrywała rolę prostytutki. O jej ekscesach krążyły już za jej życia legendy” – wspomina Violetta Fułat-Światowska na łamach portalu Imperium Romanum, historia antycznego Rzymu.

Messalina mordowała osobiście lub zlecała zabójstwa. Co ciekawe, sama rzekomo nie miała ambicji politycznych, ale za wszelką cenę walczyła o utrzymanie pozycji społecznej. Dlatego chociażby nasyłała oprawców na synka Agrypiny Młodszej, bo cieszył się większą popularnością wśród ludu niż jej potomek Brytanik. „Messalina nie oszczędzała w swoich knowaniach, intrygach i oszczerstwach także mężczyzn. Szczególnie tych, którzy narazili się jej odmową usług erotycznych, oraz takich, których majątku i posiadłości pożądała” – podkreśla Fułat-Swiatowska.

Na zlecenie Messaliny otruty został chociażby Marek Winicjusz. Legenda obrosła (ale również są dobrze udokumentowane) seksualne wyczyny cesarzowej, która rzekomo wymykała się z pałacu i była prostytutką w jednym z domów publicznych. Tam ochoczo brała udział w orgiach.

Zmarła tak, jak żyła. Zamordowana w 48. roku naszej ery, wskutek pałacowej intrygi.



► Hrabina wampir

Była węgierską arystokratką, a nawet siostrzenicą polskiego króla Stefana Batorego. Nie została jednak dobrze zapamiętana przez historię. Wprawdzie w przekazach kronikarzy podkreślano urodę i inteligencję Elżbiety Batory, ale przydomki jej nadawane nie pozostawiają złudzeń: „wampir z Siedmiogrodu”, „krwawa hrabina”.

Żyła na przełomie XVI i XVII wieku. Są przekazy, że już w dzieciństwie wybuchała niepokojącym gniewem, niektórzy wprost twierdzą, że była osobą chorą psychicznie, a przyczyną problemów mogły być sceny okrucieństwa, z którymi miała do czynienia już w wieku 6 lat. Na własne oczy miała widzieć, jak Cygan, którego oskarżono o porywanie dzieci, został żywcem zaszyty w brzuchu martwego konia. Później obserwowała chociażby, jak obcinano nosy i uszy chłopcom, którzy zbuntowali się przeciwko władcy Siedmiogrodu.

W 1575 r. Elżbieta wzięła ślub z Franciszkiem Nadasdy, znacznie od niej starszym mężczyzną, z którym zamieszkała w zamku Sarvar. Ponieważ on jako żołnierz był stale nieobecny, rządziła twardą ręką. Była okrutna, zwłaszcza dla służby. Po śmierci męża (otruty) jej powierniczką stała się niejaka Anna Darvulia, która wmówiła Elżbiecie, że według „starożytnej mądrości”, kąpiąc się we krwi dzieci, można przejąć jej piękno i młodość. A ponieważ hrabina bała się starości, posłuchała i popadła w obłęd. Sadyistyczne morderstwa były na porządku dziennym.

Ostatecznie Elżbieta Batory została pojmana i stanęła przed sądem. Świadkowie zeznali, że jej ofiarami padło kilkadziesiąt osób, głównie młodych kobiet. Jej współników stracono, ona została zamurowana w jednej z komnat zamku. Zmarła w 1614 r. Gwoli sprawiedliwości – pojawiają się głosy historyków (zwłaszcza węgierskich), że opowieści o Elżbiecie Batory są wyssane z palca.



► Żona i matka z piekła rodem

Messalina grasowała na początku naszej ery, a Elżbieta Batory pół tysiąca lat temu. Niestety, nie były wyjątkami w historii zbrodni. Także w XX wieku kobiety dopuszczały się okrucieństw, które trudno zrozumieć.

Rosemary West o Brytyjka, która pomagała w popełnianiu strasznych rzeczy mężowi – Fredowi, patologicznemu sadyście. Gdy się poznali, ona miała zaledwie 15 lat. Przeżyła bardzo trudne dzieciństwo naznaczone przemocą. Całkowicie została zdominowana przez Freda. Lista zbrodni tej pary autentycznie przeraża. Ofiarami padały zarówno małe dzieci, jak i dorosłe kobiety. Trudno uwierzyć, ale bezkarnie mordowali przez 20 lat. Wpadli przypadkowo. Jedna z córek złożyła bowiem doniesienie, że jest gwałcona przez ojca, a policjanci, obserwując rodzinę, odkryli, że para ma znacznie więcej na sumieniu. W lutym 1994 r. stróż prawa weszli na teren posesji przy ulicy Cromwell 25 w Gloucester. Po przekopaniu ogrodu znaleźli szczątki wielu ofiar. Fred nigdy nie stanął przed sądem – popełnił samobójstwo w więziennej celi, a Rosemary skazano na dożywocie za śmierć 10 osób. Śledczy są jednak przekonani, że nie odkryli wszystkich ofiar małżeństwa zwyrodnialców.



► Krwawa prostytutka

Z kolei Amerykanka Aileen Wuornos została skazana na śmierć, a egzekucję wykonano w więzieniu stanowym na Florydzie poprzez wstrzyknięcie trucizny. Co zrobiła? W połowie lat 80. poznała lesbijkę i zamieszkały razem. Pieniądze zarabiała jako prostytutka, ale w końcu zaczęła

mordować klientów. Po zatrzymaniu brakowało dowodów przeciwko niej, ale wtedy – w zamian za gwarancję bezkarności – wyspała ją była kochanka. Wyszło na jaw, że Aileen Wuornos zamordowała siedmiu mężczyzn.



► Polskie wątki w USA

Z przykrością trzeba stwierdzić, że w pitawalu okrutnych zbrodni popełnionych przez kobiety nie brakuje polskich wątków. Do najsłynniejszych seryjnych morderczyń w Stanach Zjednoczonych bez wątpienia należy Tillie Klimek – a właściwie Otylia Gburek, która pod koniec XIX wieku przyszła na świat w Polsce i jako dziecko wyemigrowała z rodzicami za ocean. Kiery dorosła, nawiązywała kontakty z mężczyznami będącymi emigrantami z ojczyzny i... truła ich arsenikiem. Gdy wreszcie wpadła i stanęła przed sądem, na jaw wyszły jej makabryczne tajemnice. Mordowała kochanków, kobiety, które mogły jej zagrozić, a nawet sąsiadów. W sumie ofiarą Gburek vel Klimek padło kilkanaście osób.

Inna Amerykanka polskiego pochodzenia zabiła „tylko” raz, ale skala okrucieństwa była trudna do zrozumienia. Jej ofiarą padła 16-letnia Sylvia, która na swoje nieszczęście trafiła pod opiekę Gertrude Baniszewski. Nastolatka długimi miesiącami cierpiała katusze, dręczyła ją nie tylko kobieta, lecz także jej dzieci. Szczegóły tego horroru musimy przemilczeć. Wystarczy ujawnić, że zwłoki Sylvi znaleziono w piwnicy domu Baniszewskiej, a na piersiach miała wypalony napis „jestem prostytutką”.



► „Czternastka” z dożywociem

W polskim prawie najsurowszą karą jest dożywocie. Obecnie w więzieniach przebywa ponad 400 osób, które teoretycznie nigdy nie wyjdą na wolność. Zdecydowana większość to mężczyźni, ale jest też grupka 14 kobiet, które odebrały komuś życie w sposób wyjątkowo okrutny. Co ważne, wszystkie zbrodniarki skazane zostały już prawomocnym wyrokiem.

Do najsłynniejszych bez wątpienia należą Monika Szymańska i Małgorzata Rozumecka. Okoliczności ich zbrodni były do siebie zbliżone, choć kobiety nie miały ze sobą nic wspólnego. W tragicznych chwilach były w podobnym wieku (nieco ponad 20 lat), do dramatu doszło w Warszawie w drugiej połowie lat 90., a przede wszystkim wydawały polecenia mężczyznom, których sobie podporządkowały. Szymańska i jej pomocnicy uprowadzili maturzystę Tomka Jaworskiego, który w mieszkaniu kobiety był przetrzymywany i makabrycznie torturowany. Chłopak zginął w czerwcu 1997 r. Z kolei Rozumecka kilka dni później (także w czerwcu) zorganizowała zabójstwo dwóch dilerów popularnej wówczas sieci komórkowej. Pod pozorem, że chce kupić telefony, zwała ich do lasu w Komorowie. Tam Piotr i Paweł S. zostali zastrzeleni.



► Obie zabójczynie usłyszały wyrok dożywocia, ale nie są jedyne.

Pierwszą, którą skazano na najsurowszy wymiar kary, była Monika Osińska. Miała zaledwie 19 lat, gdy zorganizowała zabójstwo, a motywem zbrodni była chęć zdobycia pieniędzy na studniówkę! W styczniu 1996 r. razem z dwoma kolegami z klasy skatowali Jolantę Brzozowską. Ciosy zadawali nożem, kijem bejsbolowym, nogą od stolika.... Tuż po bestialskiej zbrodni cała trójka poszła na pizzę, wzięli również udział w studniówce. Wpadli dopiero miesiąc po zbrodni. „Nawet jeśli zamierzali zabić, to przecież nie musieli zadawać tak strasznych obrażeń, pastwić się w niewyobrażalny sposób” – mówił sędzia w uzasadnieniu wyroku skazującego na dożywocie. O przedterminowe warunkowe zwolnienie Osińska będzie mogła się starać już w 2021 r.

Na początku czerwca do czternastki zbrodniarek dołączyła jeszcze jedna, ale jej wyrok jest nieprawomocny i może ulec zmianie. Chodzi o Magdalenę M., mieszkankę warszawskiej Pragi, która poderżnęła gardło przyjaciółce, bo obwiniała ją za rozpad jej związku z mężczyzną. Uciekając z miejsca zbrodni, nie tylko ukradła pieniądze i zdjęła pierścionki z palców martwej kobiety, lecz także podłożyła ogień w mieszkaniu. Wiedząc, że w pokoju obok śpi roczny Norbert i 8-letnia Oliwia. Dzieci nie miały szans na ratunek. Wprawdzie zmarły w wyniku zatrucia dwutlenkiem węgla, ale Magdalena M. została skazana za potrójne zabójstwo. ■

Tomasz P. Terlikowski



MARYJA, matka na zawsze!

Tak czysto po ludzku niewiele wiemy o ziemskim życiu Miriam, Matki Jezusa. O wiele więcej wiemy jednak o tym, jak działa Ona w historii świata i ludzkości.

Matka Boża spogląda na nas z setek obrazów, ikon, medalików, rzeźb. Nie ma chyba katolickiego domu, w którym by jej nie było. Ona z miłością patrzy na grzeszników i czczona jest nawet przez ludzi, którym niekiedy nie po drodze jest z Kościołem czy nawet Panem Bogiem. I trudno żeby było inaczej, skoro Miriam, żydowska dziewczyna z Nazaretu, stała się najważniejszą świętą Kościoła, ucieczką grzeszników, opiekunką umierających. Jej Bóg powierzył wszystkich chrześcijan, a także cały Kościół, którego jest Matką. Ona jest przy nas nawet wtedy, gdy daleko odchodzimy od Boga, i czeka, by nas do niego przyprowadzić. „Maryja, bowiem gdy tylko zobaczy naszą niedolę, natychmiast w swoim miłosierdziu spieszy nam na pomoc [...] A ponieważ nie jest Ona skąpą strażniczką swoich łask, lecz Matką miłosierdzia, nie może się powstrzymać, żeby natychmiast nie rozdać swym sługom skarbów swojej szczodrości.

je ojciec ukarać, bo tak wymaga sprawiedliwość, a nawet sama miłość ku dziecku, by nie lekceważyło sobie winy. Ale ten ojciec nie chciałby też dziecku przykrości zrobić, chociaż nawet ono na to sobie zasłużyło, i chciałby mieć jakiś powód dostateczny, by przeciw tej kary nie wymierzyć. Darować bez dostatecznego powodu, byłoby to rozzuchwalać winowajcę. Ale chciałby, żeby przeciw ktoś się wstawił za nim i tak i sprawiedliwości, i tkliwej miłości stało się zadość. Otóż gorejące miłością ku nam, winowajcom, Boskie Serce Jezusa znajduje na to środek godny Boskiej mądrości. Daje nam za matkę i opiekunkę swoją własną najmiłszą i najukochańszą Matkę, istotę ponad świętych i aniołów świętszą. Tę, której niczego odmówić nie potrafi jako najgodniejszej i najdroższej Matce. Serce zaś dał Jej takie, by nie mogła nie widzieć ani jednej łezki na ziemi, by nie mogła nie troszczyć się o zbawienie i uświęcenie każdego z ludzi” – pisał ojciec Maksymilian.

„MARYJA JEST JEDNOCZEŚNIE MATKĄ PANA JEZUSA I MATKĄ CZŁOWIEKA. GDY WIĘC UJRZY JAKIEGOŚ GRZESZNIKA, BĘDĄCEGO NIEPRZYJACIELEM PANA JEZUSA, TO NIE MOŻE TEGO ZNIEŚĆ I STARA SIĘ WSZELKIMI MOŻLIWYMI SPOSOBAMI POJEDNAĆ ICH ZE SOBĄ”.

[...] Miłosierdzie Maryi rozlewa się na wszystkich, którzy o nie proszą, chociażby odmówili choćby jedno »Zdrowaś Maryjo« – pisał św. Alfons Maria de Liguori, wielki czciciel Matki Bożej.

► **Matka Miłosierdzia**

Dokładnie to samo mówił o Matce Bożej wielki polski czciciel Niepokalanej, św. Maksymilian Maria Kolbe. Dla niego Matka Boża była także przede wszystkim Matką Miłosierdzia. Boże Miłosierdzie przychodzi jednak – według niego – do świata, do grzeszników zawsze i nieodmiennie przez Niepokalaną. „Mamusia jest narzędziem miłosierdzia Bożego, a nie sprawiedliwości. Dobry Bóg dał nam Mamusię, aby nas nie karać, by mógł ograniczać jak najbardziej swoją sprawiedliwość. My więc przez poświęcenie się Jej jesteśmy narzędziami miłosierdzia Bożego w Jej niepokalanych dłoniach, tak jak Ona jest narzędziem [miłosierdzia] w ręku Boga” – podkreślał ojciec Maksymilian w liście do brata kleryka Morattiego. Ona jest Tą, przez którą Bóg przebacza wszelkie grzechy. A w innym tekście „szaleniec Niepokalanej” uzupełniał: „Tak, bo mówiąc językiem ludzkim, Serce Boże podobne jest sercu dobrego ojca rodziny. Jeżeli które z dzieci co zawini, musi

Język, którym posługuje się św. Maksymilian w tych fragmentach, jest oczywiście zakorzeniony w potrydenckiej mariologii, która skoncentrowana jest na Matce Bożej. Nie ma w nim jednak nic takiego, co byłoby niezgodne z naszą, współczesną, oczyszczoną z pewnych nadużyć teologią Maryi. Ojciec Kolbe zupełnie jasno wskazuje, że wszystko, co Matka Boża przekazuje człowiekowi, miłosierdzie, którego staje się obrazem i przekazicielem, pochodzi od Boga. Ona jest tylko „łaski pełna”, pełna miłosierdzia, ale miłosierdzie to pochodzi od Pana i tylko od Niego. Ona sama, wolna od grzechu, wolna od swojej woli, została napełniona wolą i miłosierdziem Boga.

Skąd taka moc Matki Bożej? Odpowiedzi dostarcza św. Alfons w krótkich, ale kapitalnych słowach. „Gdyby jakaś Matka wiedziała, że dwaj jej synowie nienawidzą się śmiertelnie, czy nie poruszyłaby nieba i ziemi, byle ich tylko pogodzić? Otóż Maryja jest jednocześnie Matką Pana Jezusa i Matką człowieka. Gdy więc ujrzy jakiegoś grzesznika, będącego nieprzyjacielem Pana Jezusa, to nie może tego znieść i stara się wszelkimi możliwymi sposobami pojednać ich ze sobą” – podkreśla założyciel zgromadzenia ojców redemptorystów.

► **Bliska Jezusowi i ludziom**

Wszystko, co wiemy o Miriam/Maryi z Ewangelii, potwierdza ten obraz. Ona jest w stanie poświęcić wszystko, byle służyć Bogu i drugiemu człowiekowi. Gdy odpowiadała „tak” na prośbę Archaniola Gabriela, wiedziała, że może się to dla niej skończyć ukamienowaniem (wystarczyło, żeby Józef, który przecież nie musiał wiedzieć, jak doszło do poczęcia Jezusa, a także nie musiał jej uwierzyć, wydał ją na śmierć), a przynajmniej odrzuceniem przez społeczność. A jednak przyjęła to wezwanie świadoma, że – jak pisała wybitna mistyczka Adrienne von Speyr – „Bóg nigdy nie żąda niczego na darmo, zawsze czemuś to służy”.

„Nie używa jednak tego, czego zażądał w taki sposób, by nadużyć otwartości ofiarodawcy, zgubić go, unicestwić. Nigdy nie zabiera niczego w taki sposób, żeby pozostawić dawcę ogołoconego. Tego,

»Napełnijcie stągwie wodą«. I napełnili je aż po brzegi. Potem do nich powiedział: »Zaczerpnijcie teraz i zanieście staroście weselnemu«. Oni zaś zanieśli. A gdy starosta weselny skosztował wody, która stała się winem – nie wiedział bowiem, skąd ono pochodzi, ale słudzy, którzy czerpali wodę, wiedzieli – przywołał pana młodego i powiedział do niego: »Każdy człowiek stawia najpierw dobre wino, a gdy się napiją, wówczas gorsze. Ty zachowałeś dobre wino aż do tej pory« – pisał św. Jan Ewangelista. I w tej sprawie nic się nie zmienia. Matka zawsze widzi nasze potrzeby i wystarczy się do niej zwrócić, żeby Ona pomogła.

► **Matka czasów ostatecznych**

Powiązanie macierzyństwa Najświętszej Maryi Panny z miłosierdziem Bożym odsyła do intuicji innego wielkiego czciciela Maryi św. Ludwika

TO MARYJA W CZASIE WALKI OSTATECZNEJ W DNIACH KOŃCA BĘDZIE PRZYPROWADZAĆ GRZESZNIKÓW I LUDZI ZBLĄKANYCH DO KOŚCIOŁA, „OŻYWIAĆ I WSPIERAĆ WALECZNYCH ŻOŁNIERZY I WIERNE SŁUGI JEZUSA CHRYSTUSA, KTÓRZY BĘDĄ WALCZYĆ W JEGO SPRAWIE”.

który opróżnił siebie, napełnia Bożym życiem, Bożą misją. Żąda tylko jednego, by człowiek wciąż na nowo oddawał się do dyspozycji” – podkreśla mistyczka. A w innym miejscu uzupełnia, że oddanie się Maryi Bogu, jako matki, skutkuje w całej historii zbawienia. „Matka nie zostaje oddzielona od owocu, który wydała na świat: po urodzeniu Syna nie przestaje być Matką i rodzącą, owocem jej życia jest raczej to, że staje się Matką wszystkich chrześcijan [...] Każdy otrzymany przez Matkę dar przeznaczony jest do tego, żeby przekazać go dalej” – podkreśla von Speyr.

Widać to zresztą doskonale w Ewangeliach, gdzie, gdy tylko Matka Boża zauważa problem ludzki, natychmiast odwołuje się do Syna, by uzdrowić sytuację. Tak było w Kanie Galilejskiej. „A kiedy zabrakło wina, Matka Jezusa mówi do Niego: »Nie mają już wina«. Jezus Jej odpowiedział: »Czyż to moja lub Twoja sprawa, Niewiasto? Czyż jeszcze nie nadeszła godzina moja?«. Wtedy Matka Jego powiedziała do sług: »Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie«. Stało zaś tam sześć stągwi kamiennych przeznaczonych do żydowskich oczyszczeń, z których każda mogła pomieścić dwie lub trzy miary. Rzekł do nich Jezus:

Marii Girgnion de Montfort, który w „Traktacie o prawdziwym nabożeństwie Najświętszej Maryi Panny” przekonywał, że w czasach ostatecznych Maryja zajaśnieje „bardziej niż kiedykolwiek miłosierdziem”. To ona właśnie w czasie ostatecznego zwarcia, walki ostatecznej w dniach końca będzie, przy pomocy Bożego Miłosierdzia, którego będzie wyrazem, przyprowadzać grzeszników i ludzi zbląkanych do Kościoła, będzie wzmacniać obrońców Kościoła i „ożywiać i wspierać walecznych żołnierzy i wierne sługi Jezusa Chrystusa, którzy będą walczyć w Jego sprawie”.

Objawienia Maryjne, których tyle jest w ostatnich dwóch wiekach, doskonale to pokazują. Matka chce nas przygotować na trudne czasy, na czasy powszechnego odstępstwa, także niekiedy wewnątrz Kościoła, i ukazać, że tylko Ona jest prawdziwą ucieczką. W Fatimie czy Lourdes Bóg posłał Maryję, by Ona objawiła nam wielkie zagrożenie, jakie wisi nad światem, a także wskazała metodę, by przed nim uciec. Jest to pokuta, odmawianie Różańca, zaśluszczenie za grzechy nasze i świata. I powierzenie się Matce, która chce nas zawsze pojednać ze swoim Synem. ■

Przychodzi Merkel do

Olga Doleśniak-Harczuk



Czy liderki naszego stulecia, kobiety, które z determinacją rzuciły się w wir wielkiej polityki, miałyby o czym rozmawiać ze swoimi uzbrojonymi w insygnia władzy koleżankami ze starożytnych, średniowiecznych, renesansowych pałaców?

Izabeli Katolickiej



Jak mogłaby wyglądać pogawędka niezłomnej Elżbiety I z premier Theresą May, znienawidzonej przez gawiedź Marii Antoniny z antybohaterkami lewicowego salonu Melanią i Iwką Trump i w końcu – charyzmatycznej Izabeli Katolickiej z teflonową Angellą Merkel? I nadprogramowo, w ramach parytetu: ile ze „Starego Fryca” przeżyło w kanclerz Niemiec? A gdyby tak przeprowadzić mały eksperyment...

► Przeszłość goni terazniejszość

Przeszłość prędzej czy później nawiedzi terazniejszość. W 2012 r. dziennik „Die Welt”, w myśl tej zasady, zaprosił na redakcyjną kozetkę Fryderyka II Wielkiego zwanego przez Niemców pieszczotliwie Starym Frycem. Pretekstem do tej sesji terapeutycznej była 300. rocznica urodzin pruskiego monarchy. Fryc zapisał się w pamięci swoich rodaków nie tylko jako ekscentryk, który kazał się pochować ze swoimi psami, lecz także zadufany w sobie mądrała przekonany o swoich wybitnych zdolnościach filozofa. Stary Fryc zwykł ponizać zarówno zwykłych dworzan, jak i wielkich uczonych, o swoich poddanych lubił zaś się wyrażać per „kanalie”, co zapewne odpowiednio nastroiło współczesnego mu pisarza i filozofa Gottholda E. Lessinga, by odnotować, że „Prusy to niewolniczy kraj”. W innym zaś miejscu Lessing pisze: „Berlińska wolność polega na tym, żeby zrobić tyle niedorzeczności skierowanych przeciwko religii, ile się chce”. Czasem i 300 lat nie wystarczy, by w sposób jednoznaczny ocenić rządy panującego, ale słowa Lessinga, oddające pewien specyficzny klimat jego XVIII-wiecznej ojczyzny, nawet i po tak długim czasie pozostają zaskakująco świeże. Oto w Berlinie A.D. 2017 toczy się żywa debata o tym, czy na kopule rekonstruowanego od kilku już lat pruskiego pałacu umieścić krzyż (jak było w przypadku oryginalnej budowli), czy może jednak wielki mikroskop na cześć „humanizmu”, ewentualnie model kuli ziemskiej na znak światowości niemieckiej stolicy. Mieszkańcy, architekci i liderzy organizacji broniących praw wszelakich prześcigają się w wymyślaniu alternatyw dla „opresyjnego symbolu krzyża”. W Berlinie nie ma już co prawda króla przedkładającego towarzystwo swoich psów nad kompanię małżonki, jest tylko pani kanclerz panicznie bojąca się czworonożnych przyjaciół, fobia ta jej jednak nie przeszkadza w kopiowaniu pewnych dziwactw starego Fryca. Największym zaś z nich jest granicząca z narcyzmem pewność, że zawsze ma się rację i żaden ekspert nie jest godzien, by jej doradzać. Nawet w tak kluczowej kwestii, jak wypuszczenie do Europy ponad 1,5 mln w większo-

ści muzułmańskich imigrantów. I tu znowu przeszłość goni terazniejszość.

W Prusach również prowadzono „politykę migracyjną”, ale w niczym nie przypomina ona tej dzisiejszej. Na mocy Edyktu Poczdamskiego, wydanego w 1685 r. przez Fryderyka Wilhelma wielkiego Elektora Brandenburgii i księcia Prus, zaproszono do kraju prześladowanych we Francji hugenotów. Dokument sporządzono po niemiecku i francusku i upowszechniono w liczbie 500 egzemplarzy na terenie Francji. Hugenoci stanowili najlepiej wykształconą i najzamożniejszą warstwę społeczną ówczesnej Francji, o ich względy zabiegały nie tylko Prusy, lecz także Holandia i Wielka Brytania. Kuszono przybyszów licznymi przywilejami, zacofane gospodarczo względem pozostałych konkurentów Prusy musiały się wyjątkowo postarać, by zwać ich ten intelektualno-finansowy kwiat Francji do swoich prowincji. Z 200 tys. wypędzonych przez Ludwika XIV hugenotów na ziemiach pruskich osiedliło się 20 tys. Szybko założyli pierwsze manufaktury i stworzyli 40 nowych zawodów, zdolni i pomysłowi zaczęli też piąć się po drabinie kariery wojskowej i urzędniczej. Kiedy dziś słyszymy o Thilo Sarrazinie (były członek zarządu Bundesbanku, autor licznych publikacji na tematy ekonomiczne i społeczne) czy Thomasie de Maiziere (szef MSW Niemiec), warto wiedzieć, że są oni potomkami tamtych hugenotów. Niemcy potrafili prowadzić więc politykę imigracyjną zgodną z ich zapotrzebowaniem, zapraszając do siebie kapitał ludzki zdolny pomnożyć bogactwo kraju i swoją wiedzę technologiczną podźwignąć rachityczne księstwa niemieckie z zapaści. W XVII wieku Niemcom nie była potrzebna relokacja, sami zaprosili francuskich wygnańców i nie zamierzali się nimi z nikim dzielić. Angela Merkel może więc i w swojej upartości ma coś ze starego Fryca, ale mimo wszystko jest wysoce wątpliwe, by pochwalił on dziś jej decyzję z 2015 r. Już prędzej zaserwowałby swojej następczyni jedno ze swoich zgryźliwych powiedzonek w stylu: „Niewielu ludzi myśli, a jednak chcą decydować”.

► Eksperyment

Jeżeli niemiecka redakcja po 300 latach odważyła się na przeświecenie Starego Fryca, a bohaterowie jednego z najsympatyczniejszych filmów Woody'ego Allena o północy przeskakują ze współczesnego Paryża do tego z czasu Modiglianiego i Picassa, to droga do innych eksperymentów z pogranicza science fiction stoi otworem. Wyobraźmy sobie, że królowa Izabela Katolicka i kanclerz Niemiec Angela Merkel załamuja czas i przestrzeń, chwytają za pióra i znajdują sposób, by wymienić się korespondencją. Najwybitniejsza władczyni

XVI-wiecznej Europy ze swoimi katolickimi ideałami i chlubną historią walki o zjednoczenie i religijną spójność podlegających jej ziem napotyka prote스탄cką „matkę chrzestną unii Europejskiej”. Takie małe starcie cywilizacji. Tej minionej, gdzie ludzie mocno stąpali po ziemi i mieli bardzo sprecyzowane poglądy na cel i kres swojego życia, i XXI-wiecznej z charakterystycznym dla niej politycznoprawnym zadaniem, niepewnością, zatarciem granic między tym, co ważne, a błahostkami. A zatem dwie kobiety, dwie epoki i zjawiska, które mimo upływu czasu wciąż pozostają na agendzie europejskiej polityki. Zaczynamy.

► Izabela do Angeli

„Droga Angelo, na Twoje wyraźne życzenie kresłę kilka zdań o mojej misji, życiu i zapatrywaniach. W ciągu trzydziestu lat panowania jako królowa Kastylii i Leonu, a następnie również Aragonii położyłam fundament pod budowę zjednoczonego, niezależnego od wpływów muzułmańskich, i zasobnego królestwa Hiszpanii. Kiedy w 1469 roku oddałam swoją rękę Ferdynandowi Aragońskiemu, mówiłam, że »Izabela poślubiła Aragonię, a Ferdynand Kastylię«, i przyznam, że coś w tym było. Nasz ślub otworzył drogę do zjednoczenia Hiszpanii, ale nie był czystym kontraktem, naprawdę darzyliśmy się uczuciem. Po ślubie zaangażowałam się w wojnę, w której moje wojska zdobyły Grenadę, ostatecznie rozprawiając się z muzułmanami na tym terenie i kończąc trwającą ponad siedem wieków rekonkwistę. Kiedy 2 stycznia 1492 roku tryumfalnie przekroczyliśmy z Ferdynandem bramę Alhambry, wiedzieliśmy, że przedziemy do historii jako obrońcy wiary i swojego ludu. Jak zapewne wiesz z historii, masz nade mną – jakkolwiek by spojrzeć – przewagę kilkuset lat, w moich czasach walka z islamem była oczywistością. Rozumieliśmy, że pokojowe współistnienie islamu i chrześcijaństwa się nie uda, islam nigdy specjalnie nie garnął się do kompromisów, a i względy ekonomiczne kazały trzeźwo spojrzeć na mało komfortową sytuację Europejczyków zmuszanych na przykład do płacenia podatku pogłównego. Uwierz mi, że było to dotkliwe. Poza tym chrześcijanom nie wolno było awansować, musieli nosić wyróżniające ich z tłumu »wiernych« stroje, owszem, wielu przechodziło na islam w imię tzw. świętego spokoju, ale co to za spójność okupiony zdradą wyznawanej wiary? Po tym, jak już rozprawiłam się z islamskim najeźdźcą, wraz z mężem Ferdynandem udzieliłam wsparcia Krzysztofowi Kolumbowi, to dzięki nam był w stanie dobić do brzegu Nowego Świata, a potem z mo-

im imieniem na ustach podbijał kolejne ziemie. Ziemie, jak podkreślam, nie ludzi – w 1504 roku, trzy dni przed swoją śmiercią, nakazałam bowiem moim następcom, by rdzennym mieszkańcom podbitych lądów nie czynili żadnej krzywdy, a już wyznaczoną naprawiali. Kolumbowi to miłosierdzie nie było już lata wcześniej na rękę, to w końcu on w 1493 roku zamierzał zmusić Indian do niewolniczej pracy na roli, ale postawiliśmy z Ferdynandem veto. W Kastylii przeprowadziłam reformę finansów i administracji, podporządkowałam zakony rycerskie Koronie, usprawniłam system monetarny. Byłam ostoją katolicyzmu w moim państwie, żyłam wiarą i modlitwą, te wartości przekazałam też moim dzieciom.

Mocna wychowaniem, jakie otrzymała w rodzinnym domu Katarzyna Aragońska, najmłodsza z moich córek, księżna Walii, Królowa Anglii, Francji i Irlandii, nigdy nie zgodziła się na unieważnienie swojego małżeństwa, co wymuszał na niej niepomny kosztów i gniewu Bożego mój zięć Henryk VIII.

Kiedy, chcąc się jej pozbyć, Henryk nakazał mej córce wyjazd do klasztoru, Katarzyna odmówiła. Powiedziała, że Bóg nie powołał jej do klasztoru, ale do życia w małżeństwie i jako prawowita i jedyna małżonka nie zmienia swojego zdania i nie podda się jego presji, a jedynym autorytetem w tej sprawie pozostaje dla niej Ojciec Święty. Papież jednak nie przystał na żądania króla, a Katarzyna nigdy nie poszła na kompromis. Skazana na odosobnienie żyła w jednej komnacie, opuszczając ją jedynie na Mszę świętą. Zmarła w samotności, odgradzona od świata i od córki Marii, w świadomości, że jej prawowity mąż żyje w fikcyjnym małżeństwie z jej dawną dwórką Anną Boleyn. Odeszła, tak jak żyła – godnie, stawiając sobie przed oczami nie ludzi i ich namiętności, ale Boga samego. W 1553 roku pierwszy parlament za rządów mojej wnuczki, Marii I Tudor, uznał małżeństwo Katarzyny i Henryka VIII za ważne i byłe. Nie zmieniła tego nawet Elżbieta I Tudor, owoc krótkiej fascynacji króla Anną Boleyn, ale – i co muszę przyznać – niezłomnej władczyni. Dziś, droga Angelo, ponad 60 tys. kobiet z USA i Kanady należy do organizacji Córki Izabeli, jednej z największych kobiecych organizacji katolickich świata. Założono ją w 1897 roku w New Heaven na pamiątkę moich dokonań. Córki Izabeli angażują się charytatywnie, tylko w latach 2004–2006 zebrały i przekazały na zbrojne cele ponad 1,4 mln dolarów. Są wolontariuszkami, pomagają osobom chorym, udzielają się jako lektorki w kościołach, organizują pielgrzymki. Co roku 22 kwietnia upamiętniają mnie, przyjmując komunię świętą w mojej intencji,

wszystkie... wyobrażasz sobie te 60 tys. kobiet pochodzących do komunii z myślą o mnie? Napisz koniecznie, co u Ciebie słychać, czy również musisz walczyć z muzułmańskim najeźdźcą, czy godnie bronisz Kościoła katolickiego. Twoja Izabela”.

► Angela do Izabeli

„Droga Izabelo, udało mi się obejrzeć kilka odcinków serialu o Twoim życiu. Bardzo spodobała mi się scena, w której pewnie siadasz na tronie i mówisz: »Ja, Izabela, jestem królową Kastylii i tylko Bóg może mnie pozbawić tronu«. Mocne. Kobieta powinna mieć w sobie determinację, musi się przepychać w świecie zdominowanym przez różnych słabeuszy z prawa i z lewa, coś o tym wiem, niejednego bowiem impertynenta wystawiłam za drzwi na partyjną wycieraczkę. Niektórzy do dziś przesiadują na stopniach Kanzleramtu, licząc na chwilę słabości. Niech czekają. »Ja Angela, jestem kanclerzem Niemiec i tylko lud w demokratycznych wyborach może mnie pozbawić urzędu«. Też mam swoje motto, jak widzisz. Lud u mnie w państwie oddany i wdzięczny. W 2015 roku, kiedy otworzyłam wrota Europy dla muzułmańskich przybyszów, moi poddani witali ich kwiatami i radosnym płasem. W miejscach pracy nieprzymuszeni, z własnej woli, prześcigali się w pomysłach, kto co kupi i potem zanieś do tzw. ośrodka dla uchodźców, gdzie zakwaterowaliśmy naszych gości. A tak á propos wyznawców Mahometa: w serialu, o którym wspomniałam, nie podobała mi się scena z odcinka „1492 Upadek Grenady”, gdzie odbywa się pierwsza katolicka msza po upadku emiratu. W scenie tej celebrians intonuje »Te Deum«, a na pierwszym planie pojawia się masywny, złoty krzyż, do którego garną się ludzie. I wszyscy czynią znak krzyża, nawet ci, którzy wcześniej przeszli na islam. Izabelo, krzyż nie jest symbolem jedności, ale wykluczenia. Mam w Berlinie ostatnio niezłe zamieszanie z krzyżem na kopule pałacu w centrum miasta. Wielu moich rodaków zauważa, że przecież nasze miasto to tygiel wielu kultur i na kopule, jeżeli już koniecznie musi być krzyż, to niech go chociaż przyćmią symbole innych religii, niech ten krzyż się tak nie wywyższa, nie szerzy mikroagresji, prowokując naszych pokojowo nastawionych gości. Wszystkie religie są takie same i nie wolno ludzi dzielić, a na przykład islam należy do Niemiec, jest ich integralną częścią. Szczerze mówiąc, to mi generalnie z tym Twoim i Ferdynanda antyislamskim wojowaniem nie jest po drodze. Zdecydowanie zabrakło wam otwartości i tolerancji, zamiast wyganiać Muhammada XII Abu Abdallaha z Grenady, można przecież mu było zaproponować współzrządzenie nowym krajem, nowoczesnym państwem zbudowanym na gruncie

islamu i chrześcijaństwa, z czasem religie i tak by się zatarły, tak jak różnice między płciami, i byłoby po problemie. Nie wiem, komu by to przeszkadzało. U mnie tylko przez ostatnie dwa lata przybyło ponad milion gości, z których większość wyznaje islam, i jak na razie poza kilkoma zbrojnymi incydentami z udziałem kilku przybyszów (czym jest kilku na ponad milion!) i niewinnymi próbami zbliżenia się muzułmańskich chłopców do naszych dziewcząt, nic wielkiego się nie wydarzyło. Zawsze podkreślam, że problemy rozwiązuje się na drodze dialogu. Jako kobieta dialogu sprawy ważne staram się przedkładać pewnej komisji w Brukseli, takim belgijskim mieście, gdzie mieszka sikający chłopiec Manneken Pis, i wielu ważnych urzędników. Bez Brukseli nie ma życia. Nie wiem, jak radziliście sobie z Ferdynandem bez dyrektyw, dopłat i kwot imigrantów. Z pewnością jedliście krzywe ogórki, a wasze dzieci nigdy nie były na paradzie równości. Hiszpański zaścianek. Ale w sumie na wsi też może być miło. Lubię przyrodę, doceniam Matkę Ziemię, walczę jak lwica o klimat. Ostatnio pewien polityk zza oceanu dał mi do zrozumienia, że moja walka o zieleń i niebo nad Berlinem wcale go nie obchodzi. Jak trzeba walczyć o klimat, to udaję, że go to nie dotyczy, ale w sprawie moich gości z Arabii nagle się budzi i wbija mi szpilkę za szpilką. Jątrzy. Gani mnie i za to, że nie chcę dozbudować naszego wspólnego, zawartego kilkadziesiąt lat temu sojuszu wojskowego, jakby nie rozumiał, że kto nie ma armii, żyje w pokoju. Czy ja naprawdę muszę tłumaczyć mu takie oczywistości? Ten człowiek nawet jak milczy to nienawistnie. Pytałaś o Kościół. Mój ojciec był pastorem, ja znam się na religii, ale patrzę po protestantku, bez katolickiej soczewki. A z papieżami bywało różnie. Kilka lat temu, gdy papieżem był mój rodak Benedykt XVI, zażądałam od Niego, by wytłumaczył się ze zrehabilitowania pewnego biskupa. Część moich dworzan oburzyła się na mnie wtedy, ale i tak większość przyjęła moją zdecydowaną reakcję z zadowoleniem. A teraz z równym zadowoleniem patrzą w przyszłość z ponad milionem muzułmańskich przybyszów ubogających nasz przyjazny klimatowi, różnorodności i wielokulturowości kraj. A kiedy pomyślę, że na wjazd do Europy czeka już kolejne 6,6 mln chętnych, to aż chce się żyć, debatować, klepać po plecach z komisarzami w Brukseli, mam poczucie misji. Europa potrzebuje świeżej krwi i ja jej to zapewnię. Izabelo, powiedzmy sobie otwarcie: swoją ksenofobiczną polityką doprowadziłaś do rozpaczki muzułmańskich władców, ich żony i dzieci. Świadoma odpowiedzialności, jaka na mnie ciąży, muszę zmyć tę hańbę. Duchowi spadkobiercy Muhammada XII Abu Abdallaha z nawiązką otrzymają od nas, Europejczyków, zadośćuczynienie za krzywdy rekonkwisty. Masz moje słowo. Twoja A.M.”. ■



Małgorzata Matuszak

Czym jest... miłość

Wyraz „miłość” pochodzi od prasłowiańskiego słowa „*mil-ostb”, którego sens ogólnosłowiański to „litość”. Zgodnie z tym w tekstach z XIV i XV wieku rzeczownik „miłość” pojawia się w znaczeniu „litość, miłosierdzie”, równolegle też, w wiekach XIV–XVI, oznaczając „łaskawość, łaskę, przychyłność”. W pierwszej połowie XVI wieku zaczęło się uwidaczniać trzecie znaczenie tego słowa, określające to, co kryło się pod łacińskim słowem „amor”, czyli właśnie „miłość”. Prasłowiańska „*mil-ostb” pochodzi z kolei od imiesłowu „miły” czasownika „mijać”. „Miły” oznaczał pierwotnie „godnego litości”, a czasownik „mijać” – „mijać kogoś; przechodzić, nie atakując”. „Miły” to zatem dawniej „ktoś, kogo można minąć (spokojnie); przejść obok, nie dobywając broni”.

ści; dla biochemików stanowi efekt działania hormonów, różnych w zależności od etapu miłości i jej rodzaju. Miłości nie można jednak wyjaśnić, w pełni można ją tylko przeżywać.

Grecy posiadali na określenie miłości cztery różne słowa: „eros”, „filia”, „storge” i „agape”. „Eros” to naturalne uczucie zakochania, któremu towarzyszy pociąg fizyczny. Według Platona, miłość-eros jest motywem skłaniającym człowieka do poznawania świata idei i dążeniem do zjednoczenia się z nim, niezaspokojonym pragnieniem doskonałej jedności z Dobrem poprzez Piękno. Owo niezaspokojenie wypływa z natury samego Erosa, syna Biedy i Dostatku. „Filia” to przyjaźń, rodzaj miłości tak pięknie opisaney z kolei przez Arystotelesa, w której kochamy przyjaciela ze względu na niego samego. Prawdziwa

„AGAPE” TO MIŁOŚĆ BOGA DO LUDZI I LUDZI DO BOGA, A TAKŻE MIŁOŚĆ DO DRUGIEGO CZŁOWIEKA ZE WZGLĘDU NA BOGA. JEST ONA MIŁOŚCIĄ BEZINTERESOWNĄ I NAJWYŻSZĄ FORMĄ TEGO UCZUCIA.

Słowo „miłość” długo ewoluowało, zanim stało się jednym ze słów najistotniejszych. Dla każdego z nas przecież miłość to uczucie ważne, często najważniejsze. Doświadczane w różny sposób, spotykamy się z nim wszak pod różnymi postaciami – miłości rodzicielskiej, małżeńskiej, braterskiej, siostrzanej, przyjacielskiej, miłości (do) Boga. Każda nadaje sens naszemu istnieniu, każda jest ważna i często przedkładana nad inne wartości w życiu. Mówi się o niej, że ślepa jest i że „góry przenosi”, że buduje i niszczy, rani i koi, że potrafi uskrzydlać i wpuścić w najczarniejsze otchłanie. Wielką w każdym razie jest siłą, która pozwala człowiekowi przerastać samego siebie i jednoczyć ze swym dobrem, kiedy jest prawdziwa, i tłamsić, wdeptywać w nędzę, kiedy staje się swoją karykaturą.

Poddawano ją oczywiście analizie, próbowano klasyfikować poszczególne jej postaci, dociekać przyczyn i uwarunkowań, nie wymyślono jednak definicji, z którą wszyscy by się zgadzali. Dla socjologów istnieje po to, by służyć dobru gatunków; dla psychologów stanowi źródło zaspokojenia podstawowych psychicznych potrzeb człowieka – oczekiwania oparcia, więzi czy blisko-

przyjaźń jest, jak pisał Clive Staples Lewis, miłością elitarną, rodzącą się wtedy, gdy pocujemy pewną jedność, pewną wspólną cechę z drugim człowiekiem... Przyjaźń nie stawia ograniczeń co do wieku, wykształcenia, statusu majątkowego; ważna jest w niej właśnie ta płaszczyzna porozumienia między dwojgiem ludzi. „Storge” to miłość-przywiązanie, instynktowna, którą rodzice darzą swoje dzieci i na odwrót. Może występować samodzielnie, ale często sprzężona jest z innym rodzajem miłości. Wreszcie – „agape”, najwyższa forma miłości. „Agape” to miłość Boga do ludzi i ludzi do Boga, a także miłość do drugiego człowieka ze względu na Boga. Jest ona miłością bezinteresowną, której cechy wylicza św. Paweł w „Hymnie o Miłości” z „1 Listu do Koryntian”. Miłość ta pochodzi wprost od Boga, jest darem, za który podziękować możemy tylko w jeden sposób – kochając na sposób „agape”.

Miłość to potężna siła. Dlatego też pamiętać musimy o tym, o czym pisał C.S. Lewis: „Zdarza się, że nasze ludzkie miłości obdarzamy tą bezwarunkową lojalnością, którą jesteśmy winni wyłącznie Bogu. Miłość taka staje się wtedy bogiem – a przez to demonem. Taka miłość niszczy nas, a przy tym siebie”.



Dariusz Jarosiński

Bo jeśli komu droga otwarta



Mirosław Trzasko (z prawej)



Prof. dr hab. Jerzy Janica


3

do nieba...

Komuniści byli pewni, że zatrą ślady mordów na żołnierzach antykomunistycznego podziemia, że skazą na niepamięć polskich bohaterów, dlatego Ich ciała zagrzebywali w bezimiennych dołach śmierci. Nie przypuszczali nawet, że z tych ludzkich szczątków odkrywanych w mozołę, grudka po grudce ziemi, kamyczek po kamyczku, narodzi się polska legenda.

Zidentyfikowani Żołnierze Wyklęci zostali zamordowani 10 października 1946 r. w Lesie Izabelińskim koło Olmont. Byli to:

1 Czesław Guzieniuk „GAŁĄŻ”

Żołnierz Zrzeszenia WiN. Urodził się 3 maja 1925 r. we wsi Brukowo w powiecie Sokółka. W styczniu 1946 r. wstąpił do oddziału terenowego WiN o kryptonimie „Pelusza”. Został aresztowany 7 sierpnia 1946 r. przez funkcjonariuszy UB w Sokółce. 27 września Wojskowy Sąd Rejonowy w Białymstoku skazał go na karę śmierci.

2 Konstanty Kuźmicki

Urodził się 18 marca 1918 r. w miasteczku Szereszów w powiecie prużańskim na Polesiu. 25 września 1946 r. WSR w Białymstoku skazał go w trybie doraźnym na karę śmierci.

3 Piotr Tomaszycy „GAŁĄZKA”

Żołnierz WiN. Urodził się 1 kwietnia 1926 r. w Sokółce. W kwietniu 1946 r. wstąpił do oddziału pod dowództwem Stanisława Biziuka „Sokoła”, współpracował też z oddziałem Stefana Ejsmonta „Wira”. Brał udział w akcjach zbrojnych przeciwko okupantowi sowieckiemu, oddziałom UB, prowadził kolportaż podziemnej prasy antybolshewickiej. Ujęty przez funkcjonariuszy UB w nocy z 20 na 21 sierpnia 1946 r. 27 września WSR w Białymstoku skazał go w trybie doraźnym na karę śmierci.



Tadeusz Waśniewski

21 kwietnia bieżącego roku odbyło się w Pałacu Prezydenckim kolejne uroczyste wręczenie not identyfikacyjnych członkom rodzin ofiar komunistycznych zbrodni. Wśród dwunastu zidentyfikowanych ofiar byli trzej Żołnierze Wyklęci wydobyli z dołu śmierci w 1996 r. w Lesie Izabelińskim koło Olmont, niedaleko Białegostoku. Warto tej ekshumacji poświęcić więcej miejsca. Po pierwsze – była to pierwsza po 1989 r. zorganizowana, udokumentowana i przeprowadzona z wszelkimi szukanami ekshumacja Żołnierzy Niezłomnych. Po drugie – odbyła się w najdelikatniej mówiąc, niesprzyjających warunkach politycznych, kiedy rządili w Polsce spadkobiercy Bieruta, Bermana, Kliszki.

Polacy z dużą uwagą śledzą prace poszukiwawcze i ekshumacyjne prowadzone przez prof. Krzysztofa Szwagrzyka i jego zespół. Mało kto dziś pamięta, że pierwsze prace mające na celu odszukanie szczątków zamordowanych w latach 40. i 50. żołnierzy powstania antykomunistycznego, polskich patriotów, prof. Szwagrzyk rozpoczął na wrocławskim Cmentarzu Osobowickim w 2003 r., a pierwszym ekshumowanym był kpt. Włodzimierz Pawłowski „Kresowiak”, zamordowany 24 kwietnia 1953 r. w więzieniu przy ulicy Kleczkowskiej w tym mieście.

Historia Powstania Antykomunistycznego, którego tragiczną częścią są doły śmierci, stała się ważnym elementem naszej narodowej tożsamości. „Łączka”, miejsce pochówku w bezimiennych grobach bohaterskich żołnierzy na Powązkach, to święte miejsce Polaków, to miejsce, do którego pielgrzymuje się, gdzie powodem do dumy jest udział w pracach ekshumacyjnych.

► Odkrycie leśnej mogiły

Zimą 1996 r. ks. Kazimierz Litwiejko, zasłużony dla niepodległości kapłan białostocki, przekazał dr. Tadeuszowi Waśniewskiemu raport oficera AK ps. Nałęcz, napisany 29 października 1946 r., informujący o zbiorowej mogile w lesie w pobliżu Olmont. Według „Nałęcza”, w mogile mogły znajdować się szczątki nawet 90 osób zamordowanych przez UB strzałem w tył głowy, ułożonych w trzech warstwach. Tymi wiadomościami Tadeusz Waśniewski podzielił się z kolegą Jerzym Rybnikiem, ponieważ wiedział, że szuka on miejsca pochówku swego ojca, Aleksandra Rybnika, ppłk. WiN ps. Jerzy, Dziki. Wczesną wiosną 1996 r. udali się po raz pierwszy we trójkę – Tadeusz Waśniewski, ks. Kazimierz Litwiejko i Jerzy Rybnik – na poszukiwanie mogiły. Wskazówką była figurka Chrystusa przybita do drzewa. 24 sierpnia dr Waśniewski z Rybnikiem i Trzaską dokonali próbnego wykopu. Przekonali się, że ziemia ta skrywa ludzkie szczątki – odkryli kości ręki i miednicę, po czym je zakopali.

Następnego dnia odbywał się Zjazd Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego w Białymstoku. Doktor Waśniewski poinformował członków Związku o odkryciu leśnej mogiły. Zjazd podjął uchwałę: „W ostatnich dniach grupa członków naszego Związku odkryła w rejonie wsi Olmonty zbiorowy grób zamordowanych przez Urząd Bezpieczeństwa więźniów politycznych. Na podstawie uzyskanych informacji wiadomo, iż byli to więźniowie z więzienia w Białymstoku zamordowani jesienią 1946 roku. [...] Związek zwraca się do Komisji Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu, Wojewody i Prezydenta Miasta Białostok oraz władz wojskowych o dokonanie ekshumacji zamordowanych i dokonanie pochówku zgodnie z polską tradycją i wiarą”.

Kombatanci przygotowali także „Odezwę” informującą mieszkańców Białegostoku i Podlasia o odkryciu leśnej mogiły. 27 sierpnia Tadeusz Waśniewski zapoznał z jej treścią media. 3 września Waśniewski i Trzasko udali się do nadleśniczego Nadleśnictwa Dojlidy – Jeremiego Szklarzewskiego, który od ręki wydał zezwolenie na prowadzenie prac ekshumacyjnych w Leśnictwie Sokolnicki Las w okolicy wsi Olmonty. Panowie jeszcze tego samego dnia spotkali się też z kierownikiem Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej, prof. Jerzym Janicą. Ojciec profesora był uczestnikiem kampanii wrześniowej 1939 r., został internowany przez bolszewików w obozie w Starobielsku, a rok później podzielił los tysięcy polskich oficerów – zginął od strzału w tył głowy w Charkowie. Jerzy Janica już od czasów szkoły średniej, liceum, był napiętnowany przez komunistów jako „obcy ideowo przedstawiciel inteligencji”. Profesor Janica bez chwili wahania zaofertował bezinteresowną pomoc swoją i swoich lekarzy. Podał od razu listę lekarzy, którzy mieli prowadzić ekshumację, przystał do tworzącego się społecznego komitetu. Powiedział później dziennikarce „Kuriera Porannego” Annie Pyżewskiej („Kurier Poranny” 12.09.1996 r.): „Mam moralny obowiązek okazać swoją wdzięczność pomordowanym, walczącym o wolną Polskę, poprzez przeprowadzenie ekshumacji”. Pieniądze na koszty pokrycia ekshumacji i pogrzebu zadeklarowali wojewoda i prezydent Białegostoku.

4 września 1996 r. rozpoczęły się prace ekshumacyjne – rozkopywanie leśnej mogiły. Pogoda, niestety, nie sprzyjała tego dnia pracom – padał ulewny deszcz. Obecni byli m.in. prof. Jerzy Janica i prokurator Waldemar Monkiewicz z Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu. Mimo przeciwności aury, odkopano dwa ludzkie szkielety. W pracach okazali się pomocni harcerze VII Białostockiej Drużyny Harcerskiej, których przyprowadził ich opiekun, ks. Jerzy Litwiejko.

Od początku przeciwny pracom ekshumacyjnym był prokurator Waldemar Monkiewicz. Sugerował, że to nie są pochówki więźniów politycznych, snuł teorie, że są to szczątki jeńców sowieckich lub niemieckich, tłumaczył też, iż koszty ekshumacji są wysokie. Robił wszystko, by zniechęcić ludzi do działania. Zwierzchnikiem Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu był w owym czasie prof. Adam Dobroński, historyk, białostocki nauczyciel akademicki, w PRL związany z ZSL-em, w III RP z PSL-em, według akt IPN zarejestrowany przez Służbę Bezpieczeństwa jako TW „Gustaw”. Profesor Dobroński kierował w Warszawie Urzędem do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Gros historyków białostockiego Oddziału IPN to magistranci lub doktoranci prof. Dobrońskiego.

– Po odkopaniu pierwszych szkieletów prokurator Monkiewicz pojechał do Warszawy – wspomina Tadeusz Waśniewski. – Po powrocie zadzwonił do mnie. Była to późna godzina, między 22 a 23. Powiedział, że ma polecenie, żeby natychmiast przerwać ekshumacje, a dwa wydobyte szkielety powinniśmy zawinąć w folię i z powrotem zakopać. Pytam się: „Dlaczego?”. „Bo ekshumacje będą wzbudzać niepokój społeczne” – mówi Monkiewicz. Oniemiałem. Ostro mu odpowiedziałem i się rozłączyłem. Na drugi dzień prokurator Monkiewicz próbował wstrzymać ekshumacje. Namawiał lekarzy, żeby przerwali prace i poszli do domu. Wywołał awanturę, której świadkami byli białostoccy dziennikarze obserwujący prace. Nie omieszkali zresztą później o tym napisać. Przy okazji powiem, że dziennikarze odegrali bardzo ważną rolę – nagłaśniali sprawę ekshumacji i władze postkomunistyczne nie mogły zamieść jej pod dywan, zablokować. Z nieżyjącym już dziennikarzem, Staszkiem Poznańskim, próbowaliśmy dowiedzieć się czegoś od mieszkańców Olmont i Hryniewicz. Ludzie bali się mówić. Ci, którzy się odważyli, opowiadali, że widzieli, jak przyjeżdżały do lasu auta – na przedzie jechał odkryty terenowy willys z ustawionym gotowym do strzału erkaemem, za nim dwa lub trzy samochody ciężarowe kryte plandeką, kolumnę zamykał willys z erkaemem. Później rozlegały się strzały. Mieszkańcy mówili o kilku mogiłach w lesie. Ludzie zakradali się nocą do lasu i rozkopywali świeże groby w poszukiwaniu swoich bliskich.

Po kilku dniach ekshumacji VII Drużynę Harcerską zastąpili żołnierze z 18. Białostockiej Brygady Zmechanizowanej. Przy pracach ekshumacyjnych duże zaangażowanie wykazali policjanci: Kazimierz Dąbrowski – zastępca komendanta posterunku w Juchnowcu Dolnym, komisarz Krzysztof Kot z Wydziału Docho-dzeniowo-Sledczego Komendy Wojewódzkiej, aspirant Zbigniew Treła z Wydziału Kryminalistyki Komendy Rejonowej, a także studenci Politechniki Białostockiej, koledzy syna Jerzego Rybnika, Wojciecha.

► Zabijali strzałem w tył głowy

Prace ekshumacyjne zakończyły się 18 września. Z leśnego grobu wydobyto szczątki ośmiu ofiar ubec-kich zbrodni. Znalezione łuski od nabojoj produkcji sowieckiej z 1945 r., cztery guziki wojskowe z orłami w koronie oraz medalik Matki Boskiej. Szczątki żołnierzy zostały poddane oględzinom i ekspertyzie w Zakładzie Medycyny Sądowej Akademii Medycznej. Doktor Zbigniew Antoniuk przekazał później dziennikarzom informację, że „wszystkie pochowane osoby to mężczyźni, w wieku od 25 do 35 lat, o wzroście 169–184 cm. Przyczyną ich zgonu były rany postrzałowe głów. Na wszystkich ośmiu odkopanych czaszkach odkryto pojedyncze, a nawet trzykrotne ślady postrzałów z broni kulowej kaliber 7,62 mm. Na jednym ze szkieletów stwierdzono też postrzał kości ramiennej. Wszystkie odkopane szkielety był zwrócone czaszkami w jednym kierunku. Wskazuje to na to, że zamordowani mogli stać lub klęczeć w rzędzie obok siebie, a ktoś strzelał do nich z tyłu, w wyniku czego martwe ciała padały do przodu. Na tylnych częściach szkieletów były usytuowane kończyny górne, co może świadczyć, że miały związane na plecach ręce”. – Fakt, że nie znajdowaliśmy charakterystycznych elementów wojskowych, oprócz kilku guzików, wskazuje na to, że osoby te były ubrane w cywilną odzież – mówił w rozmowie z dziennikarzem „Gazety Współczesnej” (14.10.1996 r.) prof. Jerzy Janica, kierownik Zakładu Medycyny Sądowej.

Po zakończeniu prac ekshumacyjnych członkowie Komitetu zostali zaproszeni przez prezydenta Krzysztofa Jurgieła do Urzędu Miasta. W czasie spotkania ustalono m.in. porządek uroczystości pogrzebowych. Ostatnie pożegnanie szczątków Żołnierzy Niezłomnych wydobytych z leśnej mogiły odbyło się 20 października. Do dzisiaj mieszkańcy Białegostoku wspominają tę wzruszającą uroczystość religijno-patriotyczną. Po Mszy świętej w kościele św. Wojciecha w intencji pomordowanych, celebrowanej przez ks. infułata Stanisława Piotrowskiego, kondukt pogrzebowy przeszedł ulicami miasta na cmentarz wojskowy. Na miejscu Tadeusz Waśniewski powiedział m.in.: „Pochylamy się nad trumnami żołnierzy Polski Podziemnej. [...] Zginęli z polskiej ręki, skrytobójczo zamordowani, skazani wyrokami Sądu Wojskowego, który był polski tylko z nazwy. [...] Składamy Ich doczesne szczątki na cmentarzu obok żołnierzy z 1920 i 1939 roku. Polecamy Ich Najwyższemu Bogu, niech ofiarę Ich życia nagrodzi życiem wiecznym. »Bo jeśli komu droga otwarta do nieba, to tym, co służy Ojczyźnie...«”. Koszty pogrzebu pokryli prezydent miasta, wojewoda, a także Zarząd „S” Regionu Białystok. Symboliczne wynagrodzenie za prace ekshumacyjne otrzymali również lekarze z Zakładu Medycyny Sądowej.

– Przed Narodowym Dniem Pamięci Żołnierzy Wyklętych, 28 lutego bieżącego roku, odbyła się konferencja zorganizowana przez białostocki Oddział IPN – mówi dr Tadeusz Waśniewski. – Doktor Marcin Zwolski, były student i doktorant prof. Adama Dobrońskiego, wygłosił referat na temat ekshumacji prowadzonych na terenie Białostocczyzny. Na temat naszej nawet się nie zająknął, wobec czego kilka osób na znak protestu opuściło ostentacyjnie salę konferencyjną, m.in. ks. Kazimierz Litwiejko, Jerzy Rybnik, Mieczysław Rutkowski. Wyszedłem też i ja zbulwersowany. 21 kwietnia odbyła się w Pałacu Prezydenckim w Warszawie uroczystość wręczenia not identyfikacyjnych rodzinom ofiar zbrodni komunistycznych. Wśród 12 zidentyfikowanych znaleźli się trzej Żołnierze Wyklęci wydobyli z leśnej mogiły koło Olmont. Marcin Zwolski na uroczystość do Warszawy zapraszał mnie telefonicznie, mówiąc mniej więcej: „Chcecie, to jeżdżcie, nie chcecie, to nie jeżdżcie”. Wyraźnie zniechęcał do wyjazdu. Może w Warszawie chciał sam błyszczeć, choć nie miał z tą ekshumacją nic wspólnego. „To nie przymusowy wyjazd, jak pan źle się czuje, to może pan nie jechać” – mówił. To ja tyle trudu, energii włożyłem w te prace i miałbym teraz nie jechać na tę uroczystość? Dla mnie to jest wielka satysfakcja. Przecież tu nie chodzi o żaden dorobek materialny. Nie robiliśmy tego przecież dla pieniędzy – pointuje.

► Nie miał wtedy jeszcze 18 lat

To nie przypadek, że Tadeusz Waśniewski był inicjatorem ekshumacji, a później prezesem Społecznego Komitetu Ekshumacji i Pochówków Żołnierzy Polski Podziemnej. Poznał z autopsji komunistyczne więzienia, ubeckie śledztwa, tortury. Wielu jego kolegów zapłaciło życiem za niepodległościową działalność. W 1953 r. jego starszy kolega z rodzinnego Goniądza nad Biebrzą, Dionizy Sosnowski, żołnierz WiN, który zyskał miano ostatniego cichociemnego, został stracony w warszawskim więzieniu przy ulicy Rakowieckiej. Szczęśliwie jego szczerą ekipą prof. Szwagrzyka odnalazła 14 maja 2013 r. w kwaterze „L” wojskowego cmentarza na Powązkach.

Tadeuszowi Waśniewskiemu poświęciłem niedgdy osobny tekst w „Nowym Państwie”, ale przypomnę jego losy. Urodził się w 1936 r. w Goniądzu. W tym niewielkim podlaskim miasteczku po 1945 r. działały aż cztery antykomunistyczne organizacje młodzieżowe. Tadeusz Waśniewski był współzałożycielem „Wolnego Orla Polskiego”. – Nasza organizacja działała najdłużej, bo ponad rok – opowiada Tadeusz Waśniewski. – Powstała w lipcu 1953 roku. Chodziliśmy wówczas do X klasy liceum. Postanowiliśmy dobrać się do skóry miejscowym komunistom. W październiku umówiliśmy się z kolegą, że włamiemy się w nocy

do budynku Komitetu Gminnego PZPR w Goniądzu. Kolega zasnął, więc nie czekałem na niego i poszedłem sam. Wziąłem ze sobą dwa worki na ziemniaki. Do nich zapakowałem partyjną dokumentację, listy członków, różne sprawozdania, protokoły zebrań, nawet były donosy w rodzaju: uprzejmie donoszę, że ten i ten jest wrogo ustosunkowany do Polski Ludowej itd. Mieliśmy później ciekawą lekturę. Oprócz dokumentacji zabrałem aparat telefoniczny. Portrety Stalina, Bieruta, Cyrankiewicza wyrzuciłem na chodnik. Do domu wróciłem niezauważony. Uznaliśmy, że musimy podzielić się naszą wiedzę zdobytą z dokumentacji partyjnej z mieszkańcami. Do tego potrzebne były akcje ulotkowe. Włamałem się więc do szkoły, skąd wyniosłem maszynę do pisania – na niej pisaliśmy ulotki. Wpadliśmy w sposób szpetny. Wprowadziłem do organizacji kolegę, a do jego rodziny przyjeżdżał konfident. Oczywiście o tym, że jest on konfidentem, dowiedzieliśmy się później. Jak wyczytałem z dokumentów IPN, ów kapuś UB nosił pseudonim „Stalowy”. Skupywał on dolary, jako że to było zabronione, a on nie wpadł, uznaliśmy go za naszego człowieka. „Stalowy” namówił nas, aby zawieźć maszynę do pisania do Elku, tam mieliśmy nawiązać kontakt z partyzantką. Mówił też o możliwości uzbrojenia nas. Pojechaliśmy do Elku 24 marca 1954 roku. Tam na nas czekali nie partyzanci, lecz ubecy. Zostaliśmy aresztowani. Mój towarzysz niedoli, niestety, szybko zaczął sypać. Po przesłuchaniu w Elku zostaliśmy przewiezieni do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Białymstoku. Tutaj trwało intensywne śledztwo. Ubecy sporo już na mój temat wiedzieli, więc przyznałem się do kradzieży maszyny do pisania. 20 sierpnia 1954 roku w Wojskowym Sądzie Rejonowym w Białymstoku zapadł wyrok, otrzymałem 4 lata więzienia. Zostaliśmy skazani z kolegami z artykułu 86 Kodeksu karnego Wojska Polskiego, mówiącego o zamiarze obalenia przemocą ustroju w Polsce Ludowej. Żaden z nas nie miał ukończonych 18 lat, trafiliśmy do różnych zakładów karnych – wspomina Tadeusz Waśniewski.

► Listy z celi śmierci

Ojciec Jerzego Rybnika, ppłk Aleksander Rybnik ps. Jerzy, Dziaki, był oficerem AK. Po Szkole Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej został skierowany do Korpusu Ochrony Pogranicza, gdzie dowodził kompanią w batalionie „Wolżyn”. Brał udział w kampanii wrześniowej jako dowódca kompanii piechoty w KOP-ie. Organizował konspirację niepodległościową AK w Wilnie i w Białymstoku. W październiku 1945 r. objął funkcję zastępcy Prezesa Okręgu Białystok Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, organizacji kontynuującej tradycje AK.

Jerzy miał trzy miesiące, kiedy ojciec został zamordowany w piwnicy ubeckiego więzienia. Było to dokładnie 11 września 1946 r. o godzinie 20:20. Babcia Jerzego, a matka Aleksandra Rybnika, oddała wszystkie pieniądze, złotą biżuterię, aby dowiedzieć się, gdzie został pochowany, ale na nic się zdwały jej prośby i kosztowności – do dzisiaj nieznane jest miejsce pochówku. Po śmierci ppłk. Aleksandra Rybnika cała jego rodzina musiała opuścić Białystok. Jerzy do ukończenia szkoły podstawowej mieszkał z matką w 14 miejscowościach. Co klasa, to nowa szkoła. Do Białegostoku mogli powrócić dopiero po kilkunastu latach.

Zachowały się listy ppłk. Rybnika „Jerzego” „Dzikiego” pisane do żony z więziennej celi:

„Nie zostawiłem Ci, Maryś moja, żadnego majątku, bo nie pracowałem dla korzyści osobistych i nigdy nie myślałem o tym, aby wzbogacić się. Pracowałem tylko dla Ojczyzny i bliźnich swoich, braci Polaków. Nagrodą moją jest za to śmierć. Może ta śmierć moja jest Ojczyźnie potrzebna, toteż nie sprzeciwiam się woli Bożej i nie narzekam. A jeśli przeznaczona mi jest śmierć, to może Bóg policzy moje sześćdziesięcioletnie tułactwo, moje śledztwo i więzienie oraz serdeczny żal za wszystkie grzechy i dopuści do oglądania siebie w szczęśliwości wiecznej”.

„Najdrożsi moi, Żono i Synku. Dziś słyszałem, że jestem skazany na śmierć. Kochani moi, trudno, taka widocznie jest wola Boża, ażeby moje życie skończyło się nagle. Pisząc do Was ten ostatni list, żegnam Ciebie ukochana moja i najdroższa Żono oraz Ciebie mój jedyny i ukochany oraz najdroższy skarbie, Jureczku, Synku mój. Nie dane mi jest dziś Ciebie hodować, pieścić i całować, opiekować się Tobą, dać wychowanie. Nie dane mi jest też nawet Ciebie oglądać. (...) Marychno moja, może ja już wysłowić się nie potrafię, żeby oddać pełnię swojej miłości ku Tobie. Wybacz to, Żono moja, wszak szósty to tydzień jestem pod cieniem śmierci. Przecierpiałem dużo, bardzo dużo. Opiekuję się i hoduję Synka naszego, Jureczka, a za mnie pomódl się i proś Bożenię, ażeby mię do siebie przyjęła. Daj na Mszę i postaw na cmentarzu choć krzyżyk koślawy, ażeby po mnie jaka pamięć została i przechodzić przypominał sobie i zmówił »Wieczne odpocznienie«”.

► Działali w pierwszej „Solidarności”

Mirosław Trzasko, rocznik 1932, ma podobnie bardzo polski życiorys jak jego koledzy – współzałożyciele Społecznego Komitetu Ekshumacji i Pochówków Żołnierzy Polski Podziemnej. W 1945 r. został łącznikiem działającego w Lipsku nad Biebrzą oddziału AK. Zadaniem ojca Mirosława Trzaski i jego było zapewnienie łączności między oddziałami operującymi na terenie ziemi augustowskiej i Grodzieńszczyzny. Miał okazję obserwować przygotowania wojsk sowieckich do prze-

prowadzenia Obławy Augustowskiej. Jak wynika z ubeckich akt kontrolno-śledczych, „Obciążony zeznaniami zatrzymanych członków AK–WiN ps. Gabrys i Lot został aresztowany 28 kwietnia 1953 r. w Sosnowcu przez Oddział Informacji ds. ZSW w Stalinogrodzie (Katowicach). Postanowienie o aresztowaniu wydała Wojskowa Prokuratura Garnizonowa w Stalinogrodzie na wniosek Wydz. III WUBP w Białymstoku. Podejrzany o udzielanie pomocy oddziałowi AK–WiN pod dowództwem Burdyna Piotra ps. Blady, Poręba oraz nielegalne posiadanie broni”. (Pseudonim „Blady” nosił faktycznie najbliższy współpracownik Piotra Burdyna Jan Sadowski). Mirosław Trzasko otrzymał wyrok 7 lat więzienia. Jedynie dzięki zatajeniu przynależności do oddziału „Lota” uniknął kary śmierci. Wyrok odbywał najpierw w białostockim areszcie przy ulicy Kopernika, a później w kamieniołomach i w kopalni.

Wszyscy trzech byli działaczami pierwszej „Solidarności”, opozycji antykomunistycznej, boleją nad tym, że do tej pory komunistyczni zbrodniarze nie zostali ukarani. Doktor fizyki Tadeusz Waśniewski, pracownik naukowy Politechniki Białostockiej, od września 1980 r. pełnił funkcję przewodniczącego Uczelnianego Komitetu Założycielskiego „S” tejże uczelni, wchodził w skład Zarządu Regionu „S” Regionu Białystok. 13 grudnia 1981 r. został internowany. Pełni funkcję wiceprezesa Zarządu Głównego Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego. Inicjował wiele akcji antykomunistycznych, m.in. „odkomunizowanie pomnika Bohaterów Ziemi Białostockiej”.

Jerzy Rybnik pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Regionu „S” Białystok. Na początku stanu wojennego ukrywał się przez rok, później został wcielony karnie do wojska. Działal w podziemnych strukturach „Solidarności”, do 1989 r. objęty był kontrolą operacyjną SB.

Mirosław Trzasko od 1978 r. jeździł w Białymstoku taksówką. „Solidarność” bardzo często korzystała z usług taksówkarzy, m.in. do kolportażu związkowej prasy. 2 listopada 1984 r. Mirosław Trzasko współorganizował z kolegami taksówkarzami pożegnanie ciała zamordowanego księdza Jerzego Popiełuszki, które karawanem wywożone było z prosektorium Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Białymstoku do Warszawy. Kilkaset aut na światłach i klaksonach, jadących wolno, około 20 kilometrów na godzinę, nie zważając na sygnalizację świetlną, odprowadziło ciało ks. Jerzego do granic diecezji, która znajduje się na rzece Narew w miejscowości Żółtki. Tam samochody zatrzymały się, również te nadjeżdżające od strony Warszawy. Kilka tysięcy ludzi wysiadło z samochodów – wszyscy spontanicznie uklękli. Powrócili do domów dopiero po modlitwie. Po 1989 r. Mirosław Trzasko pełnił m.in. funkcję prezesa Porozumienia Organizacji Kombatanckich i Stowarzyszeń Niepodległościowych w Białymstoku. ■



Tomasz P. Terlikowski

Sienkiewicz – nasz Homer

To nie politycy unarodowili chłopstwo i sprawili, że duma z polskości stała się skuteczna. Zrobił to pisarz, którego nienawidzą – jak zarazy – ci wszyscy, którym polskość przeszkadza. Mowa o Henryku Sienkiewiczu.

Nie będę wyjątkiem wśród czytelników „Nowego Państwa”, jeśli powiem, że na Henryku Sienkiewiczze się wychowałem. „Trylogia” stała w moim rodzinnym domu na honorowym miejscu w salonie. I nie była to książka zakurzona czy pozostawiona sama sobie. Mój tata przynajmniej raz w roku czytał od nowa wszystkie jej tomy. A pasją wobec Henryka Sienkiewicza zaraził także mnie i gdy tylko nauczyłem się składać literki do kupy, i ja zacząłem, z częstotliwością raz do roku, wciąż na nowo czytać napisane ku pokrzepieniu serc powieści. Początkowo głównie po to, by poznać (i przypomnieć sobie) dzieje Jana Skrzetuskiego i jego Halszki, a także Andrzeja Kmicica i Oleńki czy niezapomnianego Michała i Baśki, ale z czasem by pośmiać się z facecji Zagłoby, a także zachwycić się polszczyzną i republikańskimi passusami.

Z czasem, co pewnie normalne, bardziej pochłoniął mnie Dostojewski, a potem Kierkegaard, Buber czy Szestow, ale gdzieś do połowy studiów wracałem do „Trylogii”, by po założeniu rodziny odłożyć ją głęboko na półkę. Nie, nie dlatego, że uznałem, że nie ma w niej nic ciekawego, i nie z powodu typowego dla tego wieku odcięcia się od mitotwórstwa narodowego, ale dlatego, że uznałem, iż wszystko, co miałem z nich wyczytać, już wyczytałem, a przygody Panów Jana, Michała, Andrzeja czy Onufrego znalazłem niemal na pamięć. I gdyby nie przypadek, to pewnie książka nadal stałaby na półce, a ja byłbym przekonany, że wszystko już o niej wiem. Pewnego dnia jednak na moje redakcyjne biurko trafił wydany przez Polskie Radio audiobook z „Trylogią” właśnie, a że czekała mnie kolejna odsłona długiej podróży po Polsce, a nie było czasu, by zamawiać cokolwiek innego, to... wrzuciłem w samochódowy odtwarzacz Henryka Sienkiewicza i... jego świat pochłoniął mnie całkowicie. Tak całkowicie, że gdy wysiadałem z samochodu, a miałem choć chwilę wolnego, to natychmiast sięgałem do wożonej ze sobą wersji książkowej. Tym razem jednak nie chodziło o przygody (mimo wieloletniej przerwy w lekturze większość z nich pamiętałem), ale o... teologiczną i filozoficzną stronę mistrza Henryka.

► Republikański etos

Wiem, wiem. Zaraz usłyszę, że „pierwszorzędnny pisarz drugorzędny” (by zacytować Gombrowicza) nie miał w sobie nic z mistrza czy nauczyciela, bo przecież „to nieznośna opera”, „taniocha”, a sam Sienkiewicz to „katastrofa naszego rozumu” i „szkodnik”. Ale gadajcie sobie, co chcecie, cytujcie Gombrowicza i Brzozowskiego do woli, a ja i tak mam najgłębsze przekonanie, że Sienkiewicz jest nie tylko mistrzem opowiadania historii (na co zgodzą się nawet najwięksi jego krytycy), lecz także wielki polski teolog

i moralista. Przesada? To przeczytajcie jeszcze raz choćby „Potop”. Oczywiście nie brak tam rabusiów, grzeszników i zdrajców, ale to także wielka przypowieść o wypływającym z sumienia błędzie, nawróceniu i pojednaniu. A jakby tego było mało, to lekcja normalnej, codziennej pobożności. Wojacy niezależnie od tego, co robią, gdzie się znajdują, nigdy nie zapominają o modlitwie. Ona ich prowadzi i umacnia, ona nadaje sens ich działaniom. Oleńka i Kmicic – i to nawet gdy ten ostatni grzeszy na potęgę – gdy rozmawiają o swoich wyborach, odwołują się do Boga, Jego Opatrzności i Miłosierdzia. Przygodowa powieść, od której trudno się oderwać, jest więc także katecheza.

Nie brak także w tych powieściach nieustannego odwoływania się do prawdziwie republikańskiego etosu, ostrzeżeń przed warcholstwem, prywatą i przekonania, że tylko poświęcenie dla ojczyzny może przynieść pozytywne rezultaty. Taką lekcję daje wszystkim Jan Skrzetuski. I choć można naśmiewać się z jego „szlachetności”, to już trudno zrobić to samo, gdy pod jego wpływem identyczne decyzje podejmuje Kmicic, który zamiast prywatnej zemsty wybiera poświęcenie dla ojczyzny. Nie sposób także ignorować przemów Zagłoby, który – lubo sam często warchol – przemawia w dziełach Sienkiewicza głosem prorockim, a niekiedy nauczycielskim. To jemu przychodzi budować wizję prawdziwego republikanizmu, który miał ratować Polskę.

Wszystko to jest w „Trylogii” i nie ma co ukrywać, że właśnie dlatego jest to cykl nie tylko „pokrzepiający serca”, lecz także budujący polską tożsamość. Nikt wcześniej i nikt później nie uchwycił w sposób tak doskonały tego, co stanowi o polskości, i nikt nie był w stanie tego tak doskonale przedstawić w formie powieściowej. Nie dziw zatem, że ci wszyscy, którym z taką polskością – kształtowaną przez katolicyzm i sarmackość – nie jest po drodze, tak nieustannie się na Sienkiewicza wyżywają. On jest dla nich potężnym zagrożeniem, bowiem pod płaszczykiem powieści przygodowej przemycą najbardziej fundamentalne prawdy o Polsce, o człowieczeństwie, o tym, czym jest prawdziwa szlacheckość i jak rozumieć republikanizm, a także co znaczy być prawdziwym mężczyzną i kochającą kobietą. Szkoda tylko, że – na co zwrócił ostatnio uwagę Dariusz Karłowicz – również prawa strona nie jest w stanie tego dostrzec, i tak często zaniedbuje lekcję, jaką mogłby być dla niej Sienkiewicz.

► Katecheza dziejów

Święty Jan Paweł II, gdy po raz pierwszy przyjechał do Polski, zaproponował nam wszystkim przeje-

ście drogą „katechezy dziejów”, powędrowania przez nasze dzieje i przyjrzenia się mitom, świadectwom, zakrętom naszych dziejów i wyciągnięcia z nich wniosków na przyszłość. Sienkiewicz – z pokazującymi nasze korzenie „Quo vadis”, choć także z „Krzyżakami” czy nieśmiertelną „Trylogią” – to takie zaproszenie do „katechezy dziejów”, do zmierzenia się nie tylko z pozytywnymi, lecz także negatywnymi elementami naszej tożsamości czy religijności (wbrew opinii Brzozowskiego, nie zgadzam się, że jest to katolicyzm zdzieciniały, bo to zwyczajnie nieprawda). Dobrze do tej lekcji od czasu do czasu powrócić, dobrze się z nią zmierzyć. Szczególnie że daje to tyle przyjemności. Przyjemności płynącej i z przesłania, i z przepięknego języka, a także „pokrzepienia serc”, które każdemu narodowi i człowiekowi jest – od czasu do czasu – niezmiernie potrzebne.

Sienkiewiczowska „katecheza dziejów” (by posłużyć się terminem zapożyczonym z homilii z pierw-

jąc do „korzeni”, „początków” ojczyzny, opowiada jej trudne losy, by nie tylko je przypomnieć, lecz także by je „uobecnić”, uczynić aktualnymi, a co za tym idzie – doprowadzić do regeneracji polskości, jej odrodzenia i umocnienia. W jakimś sensie – odnosząc się do mitologicznych rozważań Mircea Eliadego – można powiedzieć, że w czasie „świętych dni” papieskiej wizyty poprzez opowiadanie trudnych losów ojczyzny dokonać się miała jej regeneracja, odrodzenie z nieuszczipionymi siłami vitalnymi.

► Pokarm patriotów

Takie spojrzenie na Sienkiewicza, na jego dzieło, pozwala dostrzec w nim swoistego twórcę polskiej tożsamości, kogoś, kto, jak w starożytnej Grecji Homer, dał Polsce narzędzia do samorozumienia, historie do opowiadania i bohaterów, z którymi można się utożsamiać. Nie pozwólmy wypchnąć go z kanonu lektur

SIENKIEWICZ POD PŁASZCZEM POWIEŚCI PRZYGODOWEJ PRZEMYCA NAJBARDZIEJ FUNDAMENTALNE PRAWDY O POLSCE, O CZŁOWIECZEŃSTWIE, O TYM, CZYM JEST PRAWDZIWA SZLACHECKOŚĆ I JAK ROZUMIEĆ REPUBLIKANIZM, A TAKŻE CO ZNACZY BYĆ PRAWDZIWYM MĘŻCZYZNĄ I KOCHAJĄCĄ KOBIETĄ.

szej pielgrzymki św. Jana Pawła II do Polski w 1979 r.) ma przecież charakter hagiograficzny. Jest swoistym, polskim wypełnieniem przykazania, jakie przekazał Bóg narodowi wybranemu w Księdze Wyjścia, „abyś opowiadał dzieciom twoim i wnukom, co zdziałałem w Egipcie” (Wj 10, 2). Hagada jednak, i tak jest w przypadku Sienkiewicza, nie jest tylko wspomnianiem wydarzeń przeszłości, nie jest tylko ich opowiadaniem, jest także uobecnieniem tamtych wydarzeń we współczesności. Żydowski mistrzowie wskazują, że opowiadając w noc pesachową hagę, każdy człowiek powinien „widzieć samego siebie, tak jak gdyby to on sam wyszedł z Egiptu”. Celem zaś tego opowiadania jest nie tylko uzmysłowienie sobie tego, kim jest naród wybrany, nie tylko uświadomienie sobie wielkich rzeczy, jakie mu Pan uczynił, lecz w nie mniejszym stopniu także konstytuowanie się samego narodu poprzez przybliżenie sobie własnych korzeni, powrót do nich i ich uobecnienie w swoistym czasie sakralnym. I podobny cel wydaje się przyświecać również Sienkiewiczowi. On, wraca-

i z kultury popularnej. Nasze pokolenie (a dokładnie pokolenie naszych dzieci) potrzebuje nowych, bardziej współczesnych, odpowiadających ich wrażliwości ekranizacji „Ogniem i mieczem”, „Potopu” i „Pana Wołodyjowskiego”, a także – co nie mniej ważne – „Quo vadis” (dzieło sprzed kilku lat to jednak gniot) i „Krzyżaków”. Kilkadziesiąt lat temu upowszechnienie „Trylogii” w środowiskach wiejskich sprawiło, że wielu chłopskich synów i wiele córek dało się uwieść sarmackiej i katolickiej wizji Polski i postanowiło żyć w ten sam sposób, jak pan Michał, pan Jan czy pan Andrzej. To oni (tak jak ich koledzy z inteligentkich rodzin, którzy często kręcili nosem, że woleliby czytać Josepha Conrada niż Sienkiewicza, choć tego ostatniego pochłaniali z wypiekami na twarzy), gdy wybuchła wojna, nadawali sobie właśnie sienkiewiczowskie pseudonimy i walczyli tak jak literaccy bohaterowie. Do końca. Jeśli chcemy wychować kolejne takie pokolenia, nie możemy pozwolić, by wyrwano im Sienkiewicza, by pozbawiono ich pokarmu, który rzeczywiście formuje patriotów i ludzi wiary. ■

Małgorzata Matuszak



Sportowcy w „szponach” sportu

Kiedy wygrywają i sięgają po najwyższe laury, hołubimy ich i otaczamy estymą. Krytykujemy i obsypujemy kąśliwymi komentarzami, gdy przegrywają. Sportowcy dzisiaj nie są tylko ludźmi uprawiającymi sport. W wielu przypadkach to ludzie na świeczniku. Muszą mieć niezwykle silną psychikę i poczucie własnej wartości, by przetrwać permanentną wiwisekcję.

fot. Grzegorz Mamon/PAP



To wcale nie jest proste – jednego dnia być noszonym na rękach, a drugiego odsądzanym od czci i wiary. Jeśli dodamy do tego fakt, że życie sportowca poddawane jest nieustannej ocenie, możemy dojść do wniosku, że życie wyczynowego zawodnika wcale nie jest taką bajką, jak mogłoby się wydawać. Oczywiście można powiedzieć, że dotyczy to tych najwybitniejszych. To prawda, jednak pewne aspekty życia wyczynowca są niezależne od tego, jak bardzo jest znany.

► Tutaj rządzi pieniądź?

Sport dostarcza rozrywki i emocji setkom milionów ludzi na całym świecie. W dzisiejszych czasach kibicowanie jest o wiele łatwiejsze niż jeszcze przecież nie tak dawno temu. Włączamy telewizor czy Internet i bez problemów możemy śledzić relacje z różnych wydarzeń sportowych. Bez kibiców sport by nie istniał, a bez mediów nie byłoby sporej części kibiców. Dzięki niemu identyfikujemy się ze społecznością miasta, regionu, państwa. Podczas występów reprezentantów kraju budujemy narodową tożsamość, podnosimy swoją dumę narodową. Kiedy „nasi” wygrywają, panuje euforia, gdy zaś przegrywają – narodowa rozpacz. Łaska kibica na pstrym jednak koniu jeździ. Przypomnijmy choćby sytuację z Mistrzostw Europy w Piłce Ręcznej w 2016 r. Przed meczem z Chorwacją nasza reprezentacja była naszą dumą narodową, po meczu – najgorszą z najgorszych. Według badania CBOS-u z 2010 r. dotyczącego „Powodów do dumy i wstydu Polaków”, na pytanie (otwarte): „w jakiej sytuacji (w jakich sytuacjach) odczuwał(a) lub odczuwa Pan(i) dumę z tego, że jest Pan(i) Polakiem/Polką”, aż 27 proc. ankietowanych (z ogromną przewagą nad innymi sytuacjami) odpowiedziało, że szczególnie dumni ze swej przynależności narodowej są w momentach związanych ze sukcesami sportowymi polskich zawodników.

Współczesny sportowiec może być gwiazdą medialną i ikoną popkultury, kimś wykonującym trudny i śmiertelnie ryzykowny zawód, bożkiem i jednocześnie ofiarą swego własnego kultu, czy też celebrytą i osobą z okładek magazynów. Jest także produktem marketingowym, podobnie jak sam sport. W grę niekiedy wchodzi ogromne pieniądze, dla „zwykłego śmiertelnika” wręcz niewyobrażalne. Gary Linker, znakomity angielski napastnik, powiedział kiedyś, że sam nie może się nadziwić, że „tak dużo mu płacą za tak dziwne zajęcie jak kopanie wypełnionego powietrzem okrągłego, skórzanego przedmiotu”. Można oczywiście powiedzieć, że – tak jak na wolnym rynku – „produkt” wart jest tyle, ile jest w stanie za niego zapłacić, kiedy jednak czytamy o sumach, jakie wchodzi w grę przy transferach na przykład piłkarzy nożnych, możemy doznać swego „zawrotu głowy”.

► Sportowi celebryci

Sportowcy nie są typowymi celebrytami, zgodnie z definicją sformułowaną przez Daniela Boorstina w 1961 r., według której „celebryta to osoba, która jest znana z tego, że jest znana”. Oni są jednak znani z powodu swych osiągnięć, przynajmniej w pewnej mierze, pewna ich część. Choć oczywiście są i tacy, którzy niewiele osiągnęli, a pragną być w centrum zainteresowania. To bowiem stanowi cechę konstytutywną celebryty – zainteresowanie, jakie uda mu się wywołać własną osobą. Nad sytuacją, w której gwiazdę tworzy się sztucznie w oparciu na marketingu, nie zaś sukcesach sportowych, można jedynie ubolewać. Sport, na szczęście, przynajmniej w tym wypadku, jest czymś mierzalnym, ma jasne reguły, którym typowi celebryci na dłuższą metę nie będą w stanie sprostać. Szybko wyjdzie na jaw, z kim ma się do czynienia, a jeśli nie szybko, to na pewno po pewnym czasie.

Pamiętać jednak trzeba także o tym, że często ich „pokazywanie się” jest wymagane przez sponsorów i jeśliby odmówili, nie mogliby liczyć na pomoc finansową z ich strony. Dlatego pozują do zdjęć, choć wcale nie sprawia im to przyjemności, udzielają wywiadów, chociaż nie mają na nie ochoty. Sponsor płaci, sponsor wymaga. I naciska na wyniki. Gwiazdy sportu używają „swej twarzy” różnym markom. Także polscy zawodnicy coraz częściej pojawiają się w reklamach. Nie ma nic w tym złego, o ile nie rozmieniają się na drobne, a reklama nie uwłacza ich godności bycia sportowcem. Dają się także poznać jako ambasadorzy kampanii społecznych. Swoją osobą mają zwrócić uwagę społeczeństwa na jakiś ważny problem. Robert Lewandowski na przykład zachęca do krwiodawstwa w akcji „Twoja krew, moje życie”, a Piotr Żyła wraz z Kajetanem Kajetanowiczem niedawno włączyli się w kampanię „Przejszcie oddaj pieszym”, w której apelują o bezpieczeństwo na drogach.

► Cena za szybki sukces

Świat sportu ma zdolność do tworzenia celebrytów bardzo szybko, w szczególności w niektórych jego dziedzinach. Nieraz dotyczy to bardzo młodych ludzi, zupełnie nieprzygotowanych na to, by okrzykiwano ich gwiazdami. Młodzi zawodnicy muszą radzić sobie nie tylko z popularnością, odpowiadaniem na setki wiadomości nowych fanów, lecz także z rzeszą agentów i menedżerów, która pragnie dopomóc, czasami w budzący duże wątpliwości sposób, w osiąganiu sukcesów. Kiedy pojawiają się pierwsze propozycje finansowe i sponsorskie, trudno zachować młodemu człowiekowi zdrowy rozsądek. Pierwsze większe pieniądze rodzą wiele pokus, którym łatwo ulec. Alkohol, narkotyki, hazard, przekraczanie granic prawa – to tylko kilka z nich. Niektórzy zbyt szybko i zbyt łatwo zawierają swoim możliwościom,

zachłystują się pierwszymi większymi sukcesami, co prowadzi często do obniżenia profesjonalizmu na treningach i pogorszenia wyników na boisku. O młodym, świetnie zapowiadającym się sportowcu można już tylko przeczytać na portalach plotkarskich albo w ogóle przestać się słyhać. Wiadomo, że „imprezowanie” nie idzie w parze z treningiem. Niektórzy o tym zapominają.

Przyczyną załamania obiecujących karier bywa także depresja, nie tak rzadko wcale spotykana u sportowców. Zbyt duża presja kibiców, otoczenia, zbyt wysokie oczekiwania względem siebie są mobilizujące, z drugiej jednak strony bardzo obciążają, bo przecież nie zawsze jest się w wyśmienitej formie, a porażki potrafią dotkliwie boleć. Wielu sobie z tym nie radzi. Wprawdzie przegrane są także wpisane w życie sportowca, nigdy nie jest ono tylko pasmem sukcesów, i ten, kto uprawia sport, powinien umieć sobie z niepowodzeniami radzić, jednak w trudnych sytuacjach nie każdy potrafi się z pokorą na nowo odnaleźć.

► Depresja się czai

Nie potrafił tego choćby trzech młodzi żużlowcy, Robert Dados, Rafał Kurmański i zaledwie 23-letni Łukasz Romanek. Targnęli się na własne życie. Jak stwierdził psycholog Łukasz Mazur, tych samobójstw można było uniknąć: „Każdy z tych sportowców w bardzo młodym wieku osiągnął wielki sukces. Byli mistrzami świata, Europy i Polski. Potem przeżyli załamanie formy. Nie sprościli wielkim oczekiwaniom: swoim, kibiców, klubu. Każdy człowiek w takiej sytuacji przeżywa stres. A ci młodzi ludzie nie zdołali pewnie nauczyć się w sposób dojrzały żyć z niepowodzeniami”. Jeśli sportowiec nie posiada alternatywnego pomysłu na własne życie, pojęcie sukcesu i klęski potrafi utożsamiać tylko ze światem wyczynowego sportu, skutki mogą być katastrofalne. Presji doświadczają nawet dzieci. One tym bardziej wymagają wsparcia osób dorosłych, by nauczyły się radzić sobie w sytuacjach dla sportowca trudnych. Gdy się coś przeoczy, konsekwencje mogą być wręcz tragiczne, jak miało to miejsce w przypadku trzykrotnego mistrza Moskwy w podnoszeniu ciężarów – 15-letni Igor Tiepikin po porażce w zawodach popełnił samobójstwo, rzucając się z okna swego pokoju, z 16. piętra bloku. Prawdopodobnie przed zawodami wziął środki na zabicie wagi, których efektem ubocznym mogła być depresja.

Depresja czyha nie tylko na tych, którzy ponieśli porażkę. Ot, choćby przykład Svena Hannawalda, świetnego skoczka narciarskiego. Jako pierwszy w historii wygrał wszystkie cztery konkursy w Turnieju Czterech Skoczni. Ten historyczny triumf przyniósł Niemcowi międzynarodową sławę, czyniąc go w krótkim czasie jednym z najbardziej rozpoznawalnych sportowców na świecie. On jednak już wtedy przeżywał pierwsze zała-

manie. „Tak naprawdę byłem wykończony. Totalnie pusty. Przez wiele ostatnich nocy kręciłem się po hotelowych pokojach jak jakiś freak. To wszystko mnie przeszło. Było mi już wszystko jedno” – opowiadał później o swoim stanie przed ostatnim konkursem. Niedługo później zakończył karierę. Cierpiał na syndrom wypalenia, popadł w depresję, myślał nawet o samobójstwie. „On już się nie śmiał, nie bawił, nie płakał. To nie był człowiek”, powiedział Reinhard Hess, ówczesny trener reprezentacji Niemiec. Trzeba w tym miejscu dodać, że popularny „Hanni” pokonał depresję i dziś na nowo cieszy się życiem.

► W trybach wielkiej maszyny

By osiągnąć w sporcie prawdziwy sukces, trzeba wielkiego talentu i jeszcze większej nad nim pracy, ogromnej determinacji w dążeniu do wyznaczonych celów. Nikt jednak nie dostaje medalu za trud, który włożył w trening, za hektolitry wylanego potu, za poświęcony czas i zaangażowanie. Tu liczy się wynik, którego wszyscy wokół oczekują i na który naciskają. Czasami też działa chorobliwa ambicja. Niektórzy sięgają więc po środki dopingujące. Po nich lepszy wynik osiąga się znacznie łatwiej, choć liczyć się trzeba z wszystkimi jego stosowania konsekwencjami. Niektórzy mówią dzisiaj nawet, że wszyscy „biorą”, problem polega tylko na tym, by nie dać się złapać. Nie sądzę, by tak było, nie chcę sądzić, z przykrością jednak odnotowuję fakt, że kolejni z nich „złapany” został.

Niedawno Sanya Richard, czterokrotna mistrzyni olimpijska i pięciokrotna mistrzyni świata w biegach na 400 i 4x400 metrów, poruszyła lekkoatletyczny świat swoimi słowami, wedle których wiele lekkoatletek poddaje się w trakcie swej kariery aborcji. Sama zdecydowała się na taki krok, będąc pod presją środowiska, trenerów, sponsorów, bała się reakcji kibiców. Stwierdziła, że w świecie sportu jest to bardzo poważny problem, o którym zupełnie się nie mówi. „Nie znam lekkoatletki, która nie musiałaby poddać się aborcji” – wyznała Richards. Muszą być w topowej formie, nie mogą pozwolić sobie na przerwę. Kiedyś, w NRD, sportsmenki z kolei celowo zachodziły w ciążę, która po pewnym czasie była usuwana, co było swoistym, „naturalnym” rodzajem dopingu.

Dzisiejszy sport, niestety, także odczłowiecza. Stał się wielkim biznesem. Uprawiających go traktuje się jak maszyny, automaty do realizacji celów narzuconych nie tylko przez chęć pokonywania kolejnych barier. Rekordy potrzebne są dzisiaj po to, by napędzały tryby wielkiej maszyny, w której, trudno oprzeć się temu wrażeniu, niekoniecznie o sport chodzi. On sam potrafi być piękny i bywa okrutny, przynosić radość i działać destrukcyjnie. Trzeba też zadawać pytanie, na ile sport to zdrowie, nie tylko fizyczne, ale też psychiczne. ■



Piotr Lisiewicz

Najpiękniejsza Pani Warszawy

Wiosną 1950 roku z luksusowego, zbudowanego jeszcze przed wojną, polskiego transatlantyku M/S Sobieski postanowiła ulotnić się w Nowym Jorku część załogi, na czele z kapitanem. Także „ludzie pracy”, czyli kucharze i stewardzi, okazali się nie doceniać zalet komunistycznego ustroju. Ku swemu zdziwieniu wszyscy znaleźli natychmiast nową pracę – w Old Warsaw, pierwszej europejskiej restauracji w Dallas. Zatrudniła ich przedwojenna polska aktorka Janina Wilczówna, dając początek ważnemu ośrodkowi życia polskich wygnańców.

Janina Wilczówna należała do pokolenia aktorów, których sytuacja na wygnaniu była najtrudniejsza. Bo gdy niepodległa Polska przestała istnieć, miała dopiero 23 lata i była uważana za jeden z jej największych talentów aktorskich. Ale, jak przewidywano, ten jej talent rozkwitnąć miał w latach, w których rozkwitnąć nie mógł, bo przestała istnieć ojczyzna...

W PRL prasa nie szczędziła złośliwości aktorce, w czasie wojny pracownicze znienawidzonego rządu emigracyjnego. „Otworzyła wraz z mężem drogą restaurację »Old Warsaw« w Dallas, w naftowym Teksasie, gdzie roi się od świeżo wzbogaconych eks-pastuchów” – pisał o niej „Przekrój”.

► „Posterunek polskiej sztuki gastronomicznej”

„La Vielle Varsovie, the Old Warsaw” – taki napis zdobił front restauracji w Dallas. „Dekorują restaurację sztychami, orłami w koronach, każdy wieczór rozpoczynają dźwiękami poloneza As-dur Chopina; angażują do pracy Polaków ze wszystkich zakątków świata, tworząc tam początek polskiej kolonii w Dallas; otrzymują najwyższe nagrody amerykańskie za doskonałość kulinarną” – opisywała klimat restauracji aktorka Karin Tiche w londyńskich „Wiadomościach” (1979, nr 47).

Któż z największych spośród wygnańców nie był w „Old Warsaw”? Jak wyliczał na łamach londyńskich „Wiadomości” ich redaktor Mieczysław Grydzewski, restaurację odwiedzali światowej sławy pianista Artur Rubinstein i dyrygent Artur Rodziński, a za barem stał przebrany w strój kelnera przedwojenny amant Mieczysław Cybulski. W lokalu bywała także szkocka powieściopisarka Helen MacInnes.

O małżeństwie właścicieli mistrz Grydzewski pisał: „Stanisław Sławik, z wykształcenia prawnik i ekonomista, przed cofnięciem uznania legalnemu rządowi polskiemu urzędnik ambasady polskiej w Waszyngtonie, i żona jego, artystka dramatyczna Janina Wilczówna, stworzyli w Dallas (Texas) posterunek polskiej sztuki gastronomicznej”.

Janinę Wilczównę odkopał niedawno z niepamięci Grzegorz Rogowski, autor książki „Skazane na zapomnienie”, który poświęcony jej szkic zatytułował „Kawałek Warszawy w Dallas”. Jest on najważniejszym źródłem, z którego korzystam przy pisaniu tego tekstu.

Wilczówna, która jako aktorka przed wojną otrzymała tytuł „Najpiękniejszej pani Warszawy”, na wygnaniu potrafiła swym urokiem zjednać sobie Teksańczyków, choć o gotowaniu nic wcześniej nie wiedziała. Dania „a la Varsovie” czy „gout polonais” stały

się przebojami, a restauracja odniosła zupełnie niespodziewany sukces.

A Wilczówna na pochwały reagowała jak na patriotkę przystało. „Wszelkie pochwały i komplementy objaśniała swym polskim pochodzeniem i obyczajami, które chciała przekazać Teksańczykom. Jej głębokie przywiązanie do tradycji polskiej, które wyrażało się w chęci przyswojenia ich nowej i drogiej krainie teksańskiej, było bardzo charakterystyczne dla ideału amerykańskości. Nie trzeba przestać kochać ojczystego kraju, aby być dobrym Amerykaninem – takie było motto Janiny” – pisała Karin Tiche.

► Urodzona w pociągu Moskwa–Warszawa

„Urodziła się podobno w pociągu relacji Moskwa–Warszawa 21 marca 1916 roku. W oficjalnych dokumentach emigracyjnych jako miejsce urodzenia wpisywała jednak zawsze Warszawę. Nie wiadomo, kim byli jej rodzice. W akcie zgonu w rubryce, gdzie powinny znaleźć się ich imiona i nazwiska, widnieje jedynie napis »niemożliwe do uzyskania«. Przypuszczalnie więc nie utrzymywała z rodzicami kontaktów lub została oddana na wychowanie” – pisze o owianych tajemnicą początkach jej życia Rogowski w książce „Skazane na zapomnienie”.

Wiadomo, że Janina Maria Wilczer – tak brzmiało jej oryginalne nazwisko – dzieciństwo spędziła w Warszawie, a w 1933 r. jako 17-latką, zdała egzaminy do Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej, który został utworzony zaledwie rok wcześniej przez Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Janusza Jędrzejewicza. „Była to szkoła średnia o wysokim poziomie nauczania, którą dziś można porównać z uczelnią wyższą... Radziła sobie bardzo dobrze, a jej nauczyciele dostrzegali, że skromna dziewczyna posiada ogromny talent, który jak najszybciej należy wykorzystać” – pisze Grzegorz Rogowski.

„Wilczówna – prześliczne warunki, szczerość uczucia, przekonywająca prostota ekspresji i gestu” – tak o zaledwie 20-letniej aktorce pisał reporter czasopisma „Światowid” w 1936 r. (nr 30). Opisywał w ten sposób jej występ w przedstawieniu kończącym naukę w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej. Olbrzymia widownia Teatru Wielkiego, w którym odbywało się przedstawienie, wypełniona była do ostatniego miejsca. „Wilczówna” zamiast zbyt szorstko brzmiącego „Wilczer” – odtąd aktorka będzie posługiwać się wyłącznie tym nazwiskiem.

Po występie podszedł do niej Arnold Szyfman, reżyser i dramaturg, a jednocześnie dyrektor Teatru Polskiego i od razu zaproponował jej angaż w dwóch Teatrach – wspomnianym Polskim oraz pokazującym często debutantów Teatrze Małym.

Zadebiutowała w tym pierwszym zaledwie dwa miesiące później w roli Arabelli w scenicznej wersji „Klubu Pickwicka” Karola Dickensa. Sztuka przypadła do gustu recenzentom. „Najmłodsze pokolenie aktorek debutantek (Lidia Wysocka, Kurylukówna i Wilczówna) zniewalało urodą i wdziękiem” – pisał recenzent pisma „Bluszcz”. Zaś Antoni Słonimski ocenił, że Wilczówna „prezentowała się bardzo miłutko”.

W listopadzie 1936 r. w Teatrze Małym wystawiona została komedia Jarosława Iwaszkiewicza „Lato w Nohant”, w którym zadebiutowała Nina Andrycz, późniejsza żona premiera PRL Józefa Cyrankiewicza – w roli George Sand, słynnej miłości Fryderyka Chopina.

► Bał w Bristolu i najmodniejsze perfumy

Wśród publiczności oglądającej pierwszy występ Wilczówny byli też ludzie branży filmowej, a wśród nich reżyser Michał Waszyński, który przygotowywał latem 1936 r. swój nowy film „Bolek i Lolek”, w którym aktor Adolf Dymśa wcielił się w obie tytułowe postacie.

Niespodziewanie Janina Wilczówna otrzymała propozycję zagrania w nim... jednej z głównych ról. Dlaczego? „Waszyński nie lubił marnować taśmy, a jego filmy powstawały w ścisie ekspresowym tempie. Był znany między innymi z tego, że nawet kręcąc plenery do filmu, nie wychodził w ekipą dalej, niż kilka ulic od hali atelier. Każda godzina pracy kosztowała bowiem majątek. Janina z punktu widzenia filmowca zapowiadała się więc bardzo obiecująco. Miała talent, mówiła płynnie, dlatego ryzyko nakręcania dubla z jej udziałem spadało do bezpiecznego minimum” – wyjaśnia prozaiczne przyczyny propozycji Rogowski.

W filmie Wilczówna zagrała Kysię – obiekt westchnień głównego bohatera, czyli Bolka. W efekcie była bardzo zapracowana – od rana w Teatrze Polskim bywała na próbach do „Klubu Pickwicka”, a w nocy chodziła na zdjęcia do „Bolka i Lolka”.

Niespodziewanie większy od filmu rozgłos dało jednak aktorce pojawienie się na Balu Mody, organizowanym w Hotelu Bristol na Krakowskim Przedmieściu. Wystąpiła tam w kreacji z bladonóżowej koronki, wykonanej przez firmę „Villars”.

To w czasie tego balu otrzymała tytuł „Najpiękniejszej Pani Warszawy”. „Palmę pierwszeństwa zdobyła artystka teatrów Polskiego i Małego p. Janina Wilczówna, zaangażowana na te sceny zaraz po ukończeniu Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej ubiegłego lata” – informował tygodnik „Kino”. „Najpiękniejsza pani, Janina Wilczówna, otrzymała

od światowej firmy Worth najmodniejsze perfumy Vert toi oraz idealny tusz do oczu Riel's" – pisał z kolei „Światowid”. Dodatkową nagrodą było pamiątkowe zdjęcie w studiu fotograficznym słynnego fotografa Benedykta Dorysa.

Dalszym ciągiem „balowych” sukcesów był Bal Prasy w słynnej „Adrii”, który miał charakter nieco poważniejszy, bo uczestniczyli w nim dyplomaci z ambasad: amerykańskiej, francuskiej, włoskiej, węgierskiej, norweskiej czy tureckiej.

Później były Bale Filmu Polskiego w tej samej „Adrii”. „I tym razem oczarowała filmową brać i reporterów poczytnych magazynów swoją kreacją z czarnego velours-chiffon z wykończeniem ramion i pleców czarnego tiulu. Na takim samym balu w 1939 roku ostatni raz Warszawa podziwiała smukłą sylwetkę

Zofię (Wilczówna), na których patrzymy jak na obrazki” – pisał recenzent J. Leman w tekście „Czasy peruk wracają...”.

Sukces filmu doceniło nawet Ministerstwo Spraw Zagranicznych – został on wytypowany do pokazu w czasie Wystawy Światowej w Paryżu w 1937 r. We Francji „Halka” zebrała bardzo pozytywne recenzje, przez co trafiła do amerykańskich kin. Ale tam film okazał się zdaniem recenzentów zbyt rozwlekły jak na amerykańskie standardy...

► Zepsuta, zubożała hrabianka

Reżyser Juliusz Gardan musiał być z Wilczówny zadowolony, bo postanowił dać jej dużą rolę w swoim kolejnym filmie „Doktor Murek”, będącym ada-

ROZGŁOS DAŁO AKTORCE POJAWIENIE SIĘ NA BALU MODY, ORGANIZOWANYM W HOTELU BRISTOL NA KRAKOWSKIM PRZEDMIEŚCIU. WYSTĄPIŁA TAM W KREACJI Z BŁADORÓŻOWEJ KORONKI, WYKONANEJ PRZEZ FIRMĘ „VILLARS”. TO W CZASIE TEGO BALU OTRZYMAŁA TYTUŁ „NAJPIĘKNIEJSZEJ PANI WARSZAWY”.

aktorki otuloną wykwintną toaletą z różowej tafty, wykończoną koronką” – pisze w „Skazanych na zapomnienie” Rogowski. Według filmowych portali, Janina później pojawiła się w filmie „30 karatów szczęścia”, którego żadna kopia nie zachowała się, a jak zauważa Rogowski, recenzenci także nic o niej nie wspominali.

► „Halka” we Francji i Ameryce

Kolejnym filmowym występem była rola w głosnej adaptacji opery Stanisława Moniuszki „Halka”, której reżyserem był Juliusz Gardan. „Halka” była pierwszym dziełem w polskiej kinematografii, w którym na wielką skalę zastosowano playback.

Recenzja występu Wilczówny w „Światowidzie” była pozytywna. „Świetnie wyszli w dekoracyjnych przebraniach główni aktorzy polscy grający w >>Halce<<. Sympatyzujemy z prostymi naturami z ludu, z wzruszającą Halką, którą gra Lili Zielińska, z nieśczęśliwym Jontkiem – Władysławem Ladisem, ale podziwiamy Janusza (Witold Zacharewicz) i śliczną

ptacją dwóch powieści Tadeusza Dołęgi Mostowicza. „Nira, zimna i obojętna, która kochała innego (JANINA WILCZÓWNA)” – krzyczały dużymi literami na jej temat reklamy.

„Franciszek Murek (Franciszek Brodniewicz), doktor prawa, jest sekretarzem dyirekcji przedsiębiorstwa w małym miasteczku. Jest człowiekiem na wskroś uczciwym i prawym. Gdy niejaki Jazwicz (Kazimierz Junosza-Stępowski), człowiek o podejrzanym reputacji, ale za to z poważnymi koneksjami, proponuje mu korzystny interes, szkodliwy jednak dla firmy, stanowczo odmawia. Wymusza on więc na skorumpowanej dyirekcji jego zwolnienie. Murek jest zrozpaczony, narzeczona Nira (Janina Wilczówna) opuszcza go i wyjeżdża do Warszawy, a Karolcia (Ina Benita), służąca jego gospodni, u której wynajmował pokój, oznajmia mu, że jest w ciąży” – tak fabułę filmu opisuje portal filmweb.pl.

Jak podkreśla Rogowski, Janina bardzo dobrze wypadła w roli zepsutej, zubożałej hrabianki. Doktor Murek, nie mogąc znaleźć pracy, również udaje się do stolicy, gdzie mieszka w przytułku i dorywczo pra-

cuje na kolei. Tam przypadkowo dowiaduje się z prasy, że Nira popełniła samobójstwo. W akcie rozpaczry również próbuje odebrać sobie życie.

Uratowany zostaje w ostatniej chwili przez pewnego stolarza, który znajduje mu pracę. Mieszka w kilkuosobowym pokoju, gdzie poznaje narzeczoną szefa złodziejskiego gangu. W pewnym momencie dowiaduje się, że rzekoma ciąża Karolci była fikcją. A on każdą ciężko zarobioną złotówkę wysyłał na nieistniejące dziecko! W efekcie szanowany niegdyś doktor prawa przystępuje do gangu...

Z tym filmem z Wilczówną w jednej z głównych ról historia też nie obejdzie się dobrze. Dopiero w latach 2011–2013 film został poddany digitalizacji z wykorzystaniem... trzech źródeł ze zbiorów Filмотeki Narodowej, by odzyskać jego jak najpełniejszą wersję. Udało się uzupełnić go o ponad 2 minuty. Obecnie trwa on 94 minuty i 4 sekundy, jednak nadal nie jest kompletny.

► Boy-Żeleński: „pokazała, że potrafiłaby i więcej”

Krytyka filmowa nie doceniała Wilczówny na tyle, na ile zasługiwała. Co innego z jej występami scenicznymi. „Gwiazda aktorki błyszczała mocno, ale w teatrze” – pisze Rogowski. Latem 1937 r. pojawiła się ona na scenie w komedii w trzech aktach „Subretka”, autorstwa francuskiego pisarza Jacques’a Devala w przekładzie Gustawa Olechowskiego, w roli Filis Carrington.

„Pani Wilczówna odznacza się sportowymi ruchami i stylem iście amerykańskiej star” – pisał recenzent „Myśli Narodowej”. Pod koniec roku świetnie zagrała w Teatrze Małym w sztuce „Walący się dom” Marii Morozowicz-Szczepkowskiej. Potem była niemniej udana rola w „Małej Dorrit” w Teatrze Polskim. Sam Tadeusz Boy-Żeleński napisał wówczas o niej, iż „pokazała, że potrafiłaby i więcej”...

Szczególnie te ostatnie słowa warto są zapamiętać: naprawdę wielką karierę dopiero jej wróżono. Jak stwierdza Tiche, należała do pokolenia, które w r. 1939 „dobrze się zapowiadało”, ale „nie wypełniło pokładanych w nim nadziei z powodów niezależnych od siebie”.

► W Wojsku Polskim i rządzie emigracyjnym

Według Encyklopedii Teatru Polskiego, aktorka do Paryża wyjechała jeszcze przed rozpoczęciem wojny, w związku z udziałem w filmie. Tam zastała ją wojna. Na początku 1940 r. występowała z zespołem Teatru Polskiego w Paryżu. Następnie przystąpiła do służby w organizującym się tam

Wojsku Polskim, by po porażce Francji trafić do Wielkiej Brytanii. Tam podjęła pracę w biurach emigracyjnego rządu.

Ala w 1942 r. przeprowadziła się do Nowego Jorku. Powodem była miłość. Jeszcze w Warszawie poznała bywającego na spektaklach z jej udziałem Stanisława Sławika, prawnika, który wkrótce miał zostać dyplomata. Sławik do Londynu trafił przez Węgry i Francję. Tu spotkali się ponownie. I gdy Stanisław został skierowany do ambasady w Ameryce, pojechała razem z nim.

Akurat w tym czasie powołany został Polski Teatr Artystów w Nowym Jorku, częściowo finansowany przez rząd londyński. Wilczówna jeździła w nim po polskich parafiach z przedstawieniami „Ślubów pannieńskich” czy „Warszawianki”. W 1943 r. zagrała rolę w „Pierwszej lepszej” Aleksandra Fredry w reżyserii Zygmunta Modzelewskiego. Występowała u boku bardziej znanej Jadwigi Smosarskiej. Jan Lechoń zrecenzował jej występ w nowojorskim „Tygodniku Polskim” w tekście „Premiera jak w Warszawie”: „Panna Wilczówna po bohatersku wywiązała się z zupełnie nieodpowiedniej roli”.

Gdy skończyła się wojna, wygnańczego rządu nie było stać na dalsze finansowanie teatru. Większość polskich aktorów, którzy trafili do Ameryki, zmieniła zawód. Nie poddała się wielka przedwojenna aktorka, przyjaciółka wspomnianego Lechonia Maria Modzelewska, która zaczęła prowadzić własny teatr w miasteczku Mattituck na Long Island. Wilczówna, która została zarządcą polskiego pensjonatu w tej samej okolicy, każdą wolną chwilę poświęcała, by jej pomóc.

„Przed kilkoma dniami wystawiono w tym teatrze komedię opracowaną dla sceny polsko-amerykańskiej przez artystkę warszawską Janinę Wilczównę, pt. Herod Baba. Komedia przeplatana jest śpiewami” – pisał w marcu 1949 r. „Tydzień Polski”.

► „Kalifornia jest naprawdę gorąca”

Krótko po wojnie Stanisław poprosił Janinę o rękę. Przyjęła oświadczyń i ślub doszedł do skutku. Bynajmniej jednak nie miały być to miodowe lata. Janka pracowała jako stewardesa na jachcie należącym do miejscowego milionera, natomiast Staszek jako akwizytor, sprzedający klimatyzatory.

Wiodło się nielekkko, więc postanowili zmienić miejsce pobytu. „Usłyszeliśmy, że Kalifornia jest naprawdę gorąca, więc pojechaliśmy tam małym samochodem Crosley. Zepsuł się pomiędzy Dallas a Fort Worth i został odholowany do Dallas celem naprawy” – taką relację Sławika z amerykańskiej gazyty cytuje Rogowski.

Imali się jakiejkolwiek pracy. „Gdy się kończyły pieniądze na benzynę i żywność, angażowali się jako służba domowa: doktor ekonomii i były dyplomata wraz z byłą aktorką, znakomicie się wywiązywali ze swoich ról, tym bardziej, że Staś Sławik był nie tylko doskonałym znawcą kuchni i win, ale także zamożnym kucharzem-amatorem” – pisała Karin Tiche.

Jak pisze Rogowski, w Dallas Sławikowie wprawili w osłupienie właściciela warsztatu samochodowego tym, że przemierzali kraj tak małym samochodem. Zapropował on Stanisławowi pracę na stanowisku kierownika sprzedaży w swoim komisie samochodowym.

Zrezygnowali z dalszej podróży do Kalifornii i – po latach nikt nie uwierzyłby, że był to przypadek – postanowili spróbować szczęścia w Dallas w Teksasie. Janina znalazła pracę w luksusowym sklepie Neiman-Marcus, jako sprzedawczyni. Pewnego dnia zauważyli jednak budynek restauracji z wielką tablicą „do wynajęcia”.

Polskość i niewymuszona elegancja

– Dlaczego nie my?

– Bo żadne z nas nie umie gotować...

– Ale wiemy, jak dobrze zjeść...

Taki dialog między małżonkami przytacza Rogowski. Z pomocą znajomych udało im się otworzyć interes. Brakowało tylko odpowiedniego personelu.

I wtedy w gazetach pojawiły się informacje o uciekinierach z M/S Sobieski. „Mój cały zespół składał się z jednego francuskiego szefa kuchni. Wiedziałem jednak, że na statku są kucharze i stewardzi, więc pojechałem do Nowego Jorku i sprowadziłem ich wszystkich do pracy w Dallas. Żaden z kelnerów nie mówił po angielsku, ale 14 czerwca 1950 roku Dallas otrzymało swoją pierwszą europejską restaurację: La Vielle Varsovie, the Old Warsaw” – taką relację Sławika czytamy w „Skazanych na zapomnienie”.

Rogowski pisze, że zupełnie niespodziewanie lokal odniósł olbrzymi sukces, a ludzie walili do niego drzwiami i oknami. Polskie dania „przedstawiane przez piękną panią i wytwornego gentlemana, w dyskretnie oświetlonej, rozbrzmiewającej dyskretną muzyką sali, były rewelacją dla Teksasńczyków” – pisała Karin Tiche. Jak stwierdzała, aktorskie umiejętności Wilczówny miały tu niemałe znaczenie: „Janina Sławikowa, dzięki swej aktorskiej przeszłości i dyscyplinie zaszczepionej na zawsze wszystkim uczniom Zelwerowicza – »reżyserowała« nastrój niewymuszonej elegancji, surowo wymagała nieskazitelnego usługi i bezbłędного przygotowania potraw”.

Interes przynosił na tyle duże zyski, że wreszcie mogli kupić sobie pierwszy amerykański dom – na bogatych przedmieściach Dallas. Ale mał-

żeństwo było zaprzeczeniem tych spośród rodaków, którzy z podobnego powodu uważaliby się za lepszych od reszty. Zarówno pomoc polskim emigrantom, jak działania na rzecz zachowania przez ich kolejne pokolenia przynależności do polskiej kultury stały się ich wizytówką. Janina manifestowała polskość, jeżdżąc po polskich skupiskach w Ameryce. „W społeczności polskiej Dallas Janka działała zawsze dla dobra współziomków: stworzyła Bratnią Pomoc, Teatr dla Dzieci, gdzie wystawiała polskich klasyków, objeżdżając kraj. Była niestrudzona, pełna inicjatywy, nieustraszona” – pisała Karin Tiche.

► Woląta towarzystwo starej Polonii niż kłśliwych komunistów

„Janina nigdy nie wróciła do Polski, chociażby na chwilę. Woląta towarzystwo starej Polonii niż kłśliwych komunistów” – pisze Rogowski. Pływała za to na statkach do Londynu, gdzie spotykała się z tamtejszymi wygnańcami. Antoni Borman, współpracownik Mieczysława Grydzewskiego, pisał o tych podróżach emigrantów do Marii Modzelewskiej, wymieniając Wilczównę w bardzo nobilitującym gronie: „Miliony obróciły w te i we w te z Ameryki do Europy. Papieru by zabrakło na listę w porządku alfabetycznym. Kto tu nie był? I gwiazdy filmowe (Jadzia Smosarska), i gwiazdy sceny polskiej (Janka Wilczówna), i właścicielki restauracji (Janka Wilczówna), i poeci (Kazio Wierzyński), i hipochondrycy (Józio Wittlin)”.

Prawowity, legalny polski rząd w Londynie docenił to, co dla polskości robili Janina i Stanisław – oboje odznaczyl w 1974 r. roku Złotym Krzyżem.

► Kawalek Warszawy na Dzikim Zachodzie

Nie wiadomo, na ile na zbyt wczesną – w wieku 63 lat – śmierć Janiny Wilczówny wpływ miało jej nalożone palenie papierosów, typowe dla wielu z jej pokolenia, nieuznającego politycznej poprawności. „Nawet ciężka choroba nie odebrała jej chęci do walki, borykała się dzielnie z losem... Walczyła do końca, bo taka była jej natura: nie upadać wobec nieszczęścia, nie rezygnować, póki tchu w piersiach” – pisała Karin Tiche.

Zmarła we śnie o drugiej nad ranem w szpitalu przy Gaston Avenue w Dallas. Uroczystość pogrzebowa odbyła się na cmentarzu Calvary Hill. Mąż postanowił, że na cmentarzu pomnik dla żony wykonany ma być w formie krzyża, z metalową twarzą ukrzyżowanego Chrystusa w centrum.

„Razem z nią odszedł tak pięknie kreowany na dzikim, półpustynnym zachodzie Ameryki kawalek Warszawy” – napisał Grzegorz Rogowski. ■

Magdalena Złotnicka



Ostatni z przeklętych

Była Wigilia, sypał śnieg,
zimno kęsało policzki.
Poeta Wincenty Różański
wracał do domu z żoną
przez zimowy, wieczorny
Poznań. Zobaczył
siedzących na ławce
„sztajmersów”, czyli
mówiąc wprost: meneli.
Poznańskie żuliki były
zmarznięte i osowiałe.
Witek tak wzruszył się ich
losem, że zorganizował
dla nich uroczystą kolację.



„Poeta wyklęty”. Gdy słyszymy to hasło, przed oczami stają nam automatycznie sylwetki Rafała Wojaczka, Andrzej Bursy czy Edwarda Stachury. Bardziej światli wymienią jeszcze Ryszarda Milczewskiego-Bruna, może Halinę Poświatowską. A pytani, dlaczego „poeta wyklęty”, powiedzą, że żywot pokretny i burzliwy, taki co sam często staje się legendą literacką, oraz śmierć w młodym wieku – najlepiej śmierć samobójcza. Co dzieje się jednak, gdy poeta, chętnie wsadzany do szufladki z napisem „przeklęci”, buntuje się i postanawia – ewidentnie na złość biografom – nie umierać młodo? Takiego psikusa zrobił badaczom literatury Wincenty Różański, dla poznaniaków po prostu: Witek. Dożył 71 lat, a jego twórczości nie da się zamknąć w czasach, kiedy był przyjacielem Edwarda Stachury i wraz z całą zgrają niepokornych literatów tworzył klimat bohemicznego Poznania.

Nim jednak Różański zaprzyjaźnił się ze Stachurą i zaczął pisać wiersze, musiał przeżyć dzieciństwo i młodość. Urodził się 12 lipca 1938 r. „w Mosinie, gdzie zawsze żyli ludzie pocziwi. Byłem radosnym dzieckiem, które zapamiętało coś niecoś z okupacji – mimo że miałem wówczas zaledwie parę lat” – pisał sam Różański (cytuje za: „Czas kultury”, Poznań 2009). Dalej poeta wspominał, że w czasie wojny zdarzyło mu się rzucić kamieniem w opalającą się Niemkę. Zdenerwowała go nadmierna pewność siebie przedstawicielki narodu okupantów, więc rzucił „z takiego szczeniackiego odruchu”. Oczywiście wybuchła wielka awantura, a mały Wincenty lękał się, że trafi do Oświęcimia, ze strachu schował się nawet w pobliskim lesie. Na szczęście jego ojcu udało się załagodzić jakoś sytuację. Różański wspominał także „wyzwolenie”, pojawienie się żołnierzy radzieckich. „Myśmy wtedy wyszli z kolegami z piwnicy i kiwaliśmy czołgom. Żołnierze podchodzili do nas. Zdawało się, że wszystko jest w porządku. Tymczasem nasze babcie i mamy siedziały w domach i modliły się ze strachu” – pisał.

► Czołgi nie dla poety

W poświęconej Różańskiemu książce „Syn bogini”, autorstwa Marka Nalepy i Wiesława Setlaka (z której pochodzi też początkowa anegdota o kolacji dla meneł), ten drugi podaje, że Witek był jednym z pięciorga dzieci Cezarego Różańskiego, który na życie zarabiał jako ogrodnik, oraz Józefy Różańskiej z domu Frąckowiak. Losy latorośli Różańskich potoczyły się rozmaicie: najstarszy z braci został architektem i plastykiem, inny profesorem elektroniki. Mało kto w tej rodzinie rozumiał literackie zamięłowania Witka. „Żyłem wyalienowany. Oprócz jednego brata i siostry nikt z mojego rodzeństwa nie znał się na literaturze, nie chciał o niej rozmawiać, nie chciał mnie rozumieć. Nie trawił litera-

tury mój ojciec. Dopiero pod koniec życia zorientował się chyba, że nie miał racji. Zawsze z drwiną wymawiał słowo: poeta” – wspominał sam w książce Piotra Kępińskiego i Andrzeja Sikorskiego „Któż to opisze, któż to uciszy. Rozmowy z Wincentym Różańskim”.

Tymczasem mały Witek już filtrował świat przez swoją wrażliwość, patrzył na te niezwykle misteria codzienności, których głównymi bohaterami byli zamiatacz ulic Antoś, kioskarz „Ruchu” Arnold Pawlak czy wuj Miecio Frąckowiak (wszystkich ich wspominał podczas spotkania z mieszkańcami Mosiny w 1998 r.). Wówczas też spełnił jedno ze swoich dziecięcych marzeń – autografy rozdawał przez okienko specjalnie zbudowanego kiosku; jako chłopiec chciał bowiem być kioskarszem.

Kiedy poeta dorastał, Mosina stała się dla niego za ciasna i zbyt szara. Jedyne wydarzenia kulturalne wią-

– dojeżdżając z Mosiny – w poznańskich księgarniach, rolniczej i literackiej, krótko zahaczył się też w Turoszowie, jak pisze Setlak – na „wielkiej budowie socjalizmu”. Wrócił także na studia (jeszcze przed pobytem w wojsku zaczął studiować polonistykę na Uniwersytecie Adama Mickiewicza), jednak nigdy nie udało mu się skończyć studiów.

Warto jednak wspomnieć o klimacie, jaki wytworzył się na uczelni wokół Różańskiego. Wielu studentów – czy też może raczej studentek – było nim zafascynowanych, a to głównie za sprawą „Całej jaskrawości” Edwarda Stachury, której Witek był jednym z bohaterów. – Na drugim roku studiów podeszłam do niego i zapytałam, czy zna Stachurę i czy jest bohaterem jego książek. Tak się zaprzyjaźniliśmy – mówiła w 2001 r. „Gazecie Wielkopolskiej” Maria Bosacka, redaktor wydawnictwa Media Rodzina. – Byłam zauroczona jego

JAK DOSZŁO DO TEGO, ŻE DZIEŁA WITKA W KOŃCU ZACZĘŁY UKAZYWAĆ SIĘ W DRUKU? NIEBAGATELNA ROLĘ ODEGRAŁ TUTAJ INNY POETA – EDWARD STACHURA. STED BYŁ JEDNĄ Z BARDZIEJ ZNACZĄCYCH POSTACI W ŻYCIU RÓŻAŃSKIEGO.

zały się tu z akademiami ku czci Józefa Stalina czy występami aktorów w swoich sztukach sławiących reżim Polski Ludowej. Możemy się nadto domyślać, że do Mosiny raczej nie wysyłano aktorów pierwszoligowych. Różański – jak pisze Setlak – wymykał się więc do pobliskiego Poznania, kiedy tylko mógł. Tam bowiem – zwłaszcza po nastaniu odwilży 1956 r. – życie wręcz buzowało. „Powstają liczne kabarety, działa Biuro Wystaw Artystycznych. W kawiarence BWA zbierają się pisarze, plastycy i wszelkiego autoramentu »kibice« kultury” – pisze Setlak.

Ostatecznie – w 1961 r. – Różańscy przeprowadzili się do Poznania. Nim jednak to się stało, Różański zdążył zdać maturę, a potem trafić na pięć miesięcy do batalionu czołgów Ludowego Wojska Polskiego. „Dostałem się do najcięższego oddziału czołgów. Nie wytrzymałem [...] Wzięli mnie ze studiów, nie zdałem egzaminów, oblałem ze szkolenia wojskowego... Nie wiedziałem, pamiętam, jak głębokie są okopy. W 1956 roku byłem w Biedrusku i od wtedy zaczęła się moja gehenna szpitalna” – wspominał w „Któż to opisze...”. Co miał na myśli, mówiąc o gehennie szpitalnej? Pobyt w wojsku zakończył się – jak podaje Setlak – „bezlitosną jak na owe czasy” diagnozą lekarską stwierdzającą schizofrenię paranoidalną. Choroba nie miała jednak na tyle ostrego przebiegu, by uniemożliwiać Różańskiemu normalne funkcjonowanie. Pracował więc

wierszami. Potrafił wypowiedzieć w nich niewypowiedziane – dodawała.

Także inni przyjaciele poety potwierdzają, że na studiach był żywą legendą. – Wiedzieliśmy, że Witek jest bohaterem powieści Edwarda Stachury „Cała jaskrawość” i poematu „Po ogrodzie niech hula szarańcza” – przytacza ich wypowiedzi „Gazeta Wyborcza” z 2009 r. Znajomi Różańskiego dawali dość ciekawe wyrazy uznania dla twórczości Witka. Mianowicie – pracownicy przepisywali jego wiersze z różnych świstków i serwetek, bowiem Różański pisał – niczym młodopolscy bywalcy kawiarni „Jama Michalika” – najchętniej właśnie w kawiarniach i knajpach. A że był skromny i nie wyrzywał się z nachalnym promowaniem swoich dzieł – prawdopodobnie serwetki z nimi zgubiłby lub nawet wyrzucił. Jak więc doszło do tego, że dzieła Witka w końcu zaczęły ukazywać się w druku? Niebagatelna rolę odegrał tutaj inny poeta, wspomniany już Edward Stachura. Sted był jedną z bardziej znaczących postaci w życiu Różańskiego. Szkoda jednak, że przez tak długi czas Witek funkcjonował raczej jako kumpel Edwarda, nie zaś jako byt osobny.

► Wykopki u Potęgowej

Różański i Stachura poznali się w Poznaniu. Były lata 60. Ich znajomość szybko przerodziła się w przyjaźń.

Wspomniana już Maria Bosacka podkreślała, że przyjaźń ze Stedem zaważyła na życiu Witka. Sam Różański opowiadał z kolei na łamach „Sztandaru Młodych” (w styczniu 1984 r.), jak to kiedyś przyjechał do Warszawy, był zziębnięty, głodny, nie miał gdzie nocować, więc snuł się przysgnębiony stołecznymi ulicami. – Przez jakiś czas mieszkalem u Himilsbacha, a potem Stachura zabrał mnie do „siebie” na Kickiego. Lecz po dwóch miesiącach wysłał mnie z powrotem do Poznania, twierdząc, że jestem jeszcze „za dziki” na przebywanie w środowisku literackim. Wyjechałem – opowiadał. Witek rozwlekł opisywał również, jak wyglądały wspólne ze Stachurą dni. Co może zdziwić, Sted, na pozór włóczyki i lekkoduch, miał bardzo rygorystyczny stosunek do poezji. Tuż po tym, jak obu udało się obudzić, natychmiast nakazywał zajmowanie się twórczością. – Niejednokrotnie męczyłem się nad kartką papieru, wówczas on dawał mi wskazówki, wyjaśniał, potem skreślał, niszczył, darł wiersze i od nowa tłumaczył. Staralem się chłonać to, co mówił, wszystkie arkania i tajemnice sztuki poetyckiej. Nigdy potem nie spotkałem już nikogo, kto byłby tak zarażony poezją, przyjaźnią – wspominał Witek.

Obaj jeździli razem po Polsce, odwiedzali prowincję, jakieś wiejskie zapadłe dziury, razem pracowali przy wykopkach u siostry matki Steda, niejakej Potęgowej.

*Gdzie nas powiedzie skrajem dróg
Gzygzakowaty życia sznur*

*Do wsi Zagubin na Kujawy białe
Gdzie ziemia licha piachy niebywałe
Kozy dziewanna sosny i rozstaje
I Potęgowa samotna jak palec*

*U Potęgowej zatem zagościli
Kwaterę tam czasowo ustalili
W polu robili z boru drwa nosili
Jak stara matka i dwóch synów żyli*

Tak właśnie w „Balladzie dla Potęgowej” Stachura opisywał czasy w Aleksandrowie Kujawskim. Potęgowa i Witek pojawiają się także we wspomnianej już „Calej jaskrawości”. „Urozmaicaliśmy sobie robotę pażeniem na przechodzących po mostku. Na nas przeważnie nikt nie patrzył. Jak już mówiłem, psuliśmy trochę naszym wyglądem, z estetycznego, z pejzażowego punktu widzenia ten laurofilowy zakątek. Ale trudno. Robiliśmy dobrą robotę, jak już mówiłem, nie żaden sabotaż, a poza tym zawsze można było na nas nie patrzeć i udawać że nas nie ma. Co też prawie wszyscy czynili. Przystawali na mostku i opierali się o tamtą balustradę z widokiem na większy basen, pokazując nam

plecy. Co było na pewno nietaktowne. Nie, nie to, że pokazywali nam plecy, ale to, że gapili się beczelnie na męczącego się tam wielkiego łabędzia potykającego się nogami o płytkie zamulone dno, wpadającego piersią na błotniste mielizny i tak dalej” – tak Stachura opisywał odmulanie stawu, przy którym pracował wraz z Różańskim.

Jednak, jak zaznacza Setlak, Aleksandrów Kujawski nie był jedynym miejscem, w którym bywali razem: obaj snuli się praktycznie po całym kraju, „wypili niejedną butelkę piwa, rzadziej wódki, wymieniali korespondencję, przemieszczali się pociągami PKP i ciężarówkami PTHW”. Biograf Różańskiego pisze też wiele o stosunku obu poetów do pieniądza. Otóż zazwyczaj zaczynali oni podejmować aktywność zawodową tam, gdzie zastawała ich „trywialna prawda o mizerii portfeli czy raczej kieszeni”. Oczywiście tym pracom najczęściej towarzyszyło picie piwa. Setlak zaznacza, że chociaż obracali się w środowisku dalekim od abstynencji i sami lubili wypić – czy to w barach i hotelach, czy po prostu na przysłowiowym murku – to mówienie w ich przypadku o alkoholizmie jest zdecydowaną przesadą.

Debiutancki tomik Witka ukazał się w 1968 r. Nosił tytuł „Wiersze o nauce nawigacji między kamieniami”. Do wydania przygotowywał go właśnie Sted. Setlak podkreśla ponadto, że Stachura dbał także o inne aspekty życia Witka: zabiegał na przykład w Związku Literatów Polskich o to, by Różańskiemu przyznano stypendium, formułował w tej sprawie rozmaite podania. A stypendium było dla Różańskiego niezwykle istotne, ponieważ od 1968 r., a więc już od trzydziestego roku życia, utrzymywał się dzięki skromnej rencie.

Sted bardzo często pisał o utworach Różańskiego, jednocześnie tłumaczył, dlaczego w jego twórczości zdarzają się tak długie przerwy. Na łamach „Głosu Wybrzeża” (1985 r.) wyjaśniał: „Przyczyny tego stanu rzeczy są liczne i powikłane, jak powikłane bywają niektóre choroby spadające na ludzi niczym bicz, ale chyba już nie Boży. Jedną ze zdrowych przyczyn tego stanu rzeczy jest to, że Różański pisze mało i jakby od niechcenia i nigdy usilnie nie zabiega o druk. Działo się przeważnie tak, że wiersze jego trzeba było mu, że tak się wyrażę, delikatnie wydzierać z rąk i zanosić do redakcji czasopism (wiersze W. Różańskiego drukuje regularnie od wielu lat jedno z najlepszych czasopism literackich Europy Wschodniej i Zachodniej, warszawska „Twórczość”).

Nie przypadkiem też zapewne osobny tomik wierszy Różańskiego ukazał się w Meksyku, w którym to kraju Sted przebywał na stypendium. – W Meksyku ukazał się szczupły tomik moich liryków wybranych z trzech pierwszych książek. Wiersze przetłumaczyła na język hiszpański Barbara Stawicka Munoz. Tytuł zbioru wydany nakładem Universidad Veracruzana w Xala-

pie w 1983 roku brzmi „Frente a la puerta roja del sol” – opowiadał sam Różański czasopismu „Nurt” (czerwiec 1986 r.)

Ze Stedem przyjaźnił się do jego samobójczej śmierci w 1979 r. Co ciekawe, nie pojawił się jednak na pogrzebie przyjaciela, nie pozwolił mu na to stan zdrowia. Setlak podejrzewa, że miało to związek z faktem, iż Witek „nie chciał przyjąć jego śmierci do wiadomości definitywnej – nieobecności Steda w swoim życiu”. Biograf Różańskiego zarazem definitywnie odrzuca tezę, że Witek miał do Steda żal o jego samobójczą decyzję, „dodać należy, żal wzmocniony przez katolicką orientację poety. Najbardziej racjonalnym wytłumaczeniem jest spychanie (tłumienie) – reakcja ucieczkowa, nie na tyle jednak efektywna, aby Różański – porażony na domiar złego aurą polityczną kraju na przedprożu stanu wojennego – uniknął psychologicznych skutków śmierci z własnej ręki bliskiej – po matce może najbliższej mu osoby”.

zajmował się rodzicielką. „Z matką był związany niemal organicznie” – pisał w marcu 2010 na łamach „Gazety Wyborczej” Andrzej Niziołek, jeden z przyjaciół Witka. Dodawał, że Różańska opiekowała się synem latami, chroniła go, oporządzała, wybijała mu z głowy znajomości męsko-damskie. „Witek, ty nie możesz się ożenić” – tłumaczyła. Niziołek dodaje, że Witek i jego matka mieszkali przy ulicy Ostrobramskiej, pod adresem, pod którym poeta spędził większość życia. Mieszkanie było zapuszczone, zabałaganiowane. „Ale on w tym wszystkim, nieogolony i zaniedbany, o zniszczonej twarzy, naprawdę fascynował. Był inny. Nie było w nim cienia fałszu, maski, udanej mądrości. Mówił najprostszym językiem, bywał wulgarny, ale był przenikliwy i otwarty. Choć wygadywał także głupstwa i mylił się w ocenach, miewał fobie, do których rozsądek nie przemawiał” – wspominał Niziołek. Później rolę zaczęły się odwracać. To poeta opiekował się matką. „Siwowłosa i drobna, stawała

„ŻYŁEM WYALIENOWANY. OPRÓCZ JEDNEGO BRATA I SIOSTRY NIKT Z MOJEGO RODZĘNSTWA NIE ZNAŁ SIĘ NA LITERATURZE, NIE CHCIAŁ O NIEJ ROZMAWIAĆ, NIE CHCIAŁ MNIE ROZUMIEĆ. NIE TRAWIŁ LITERATURY MÓJ OJCIEC. [...] ZAWSZE Z DRWINĄ WYMAWIAŁ SŁOWO: POETA”.

► Matka i stan wojenny

W rozmowie z „Gazetą Poznańską” w 1994 r. Różański zwierzał się, że lubi słuchać muzyki. Przy tej okazji po raz kolejny wspominał Stachurę. – Uwielbiał paryskie walczyki. Mówił: piwko i zabawa przy akordeonie. We Francji podczas ludowej zabawy Stachura wspinał się na wysoki słup, wysmarowany tłuszczem. Słup miał chyba dziesięć metrów długości, a na górze przymocowana była kielbasa. Stachura wlaź na wierzchołek. Zawsze chciał być najlepszy – opowiadał. W tym samym tekście poruszał inne, mniej radosne tematy. Mówił m.in. o czasach stanu wojennego, które dla niego, osoby chorej na lęk, były bardzo trudne. „Stan wojenny będę pamiętał do końca życia. Palilem jednego papierosa za drugim. Okno i dzwonek były moimi największymi wrogami. Miałem lęki. Spałem z matką w pokoju. Nie wiem, jakim cudem dochodziłem do szpitala [...] Był to straszny czas. Bałem się wychodzić na ulicę. Wychodziłem tylko po najpotrzebniejsze rzeczy. Dużo więcej wtedy czytałem, z pisaniami było różnie. Dużo czytałem o takich ludziach jak ja”.

Warto tu poświęcić kilka słów relacji poety z matką. Chociaż miał czworo rodzeństwa, to właśnie on

się bezradna. Traciła pamięć. Choroba Alzheimera pustoszyła ją. Teraz to on nią się opiekował, oporządzał, mówił, co ma robić. Aż już nie dawał rady. Rodzeństwo oddało mamę do domu opieki. Chodził do niej codziennie. Zmarła po paru tygodniach” – pisał Niziołek.

Temat odchodzenia często zresztą pojawiał się w twórczości Różańskiego. W 2001 r. na łamach „Nowych Książek” ukazała się recenzja jego kolejnego tomu, dobrze chyba oddająca cały styl Witka. Jego poezja bowiem „wydaje się tak bardzo wyobcowana, pełna zwątpienia i – pozornie – braku nadziei. Jest w niej bowiem wypowiedzany z wielką siłą głód miłości świata i ludzi, ale takiej miłości, która nie chce zaspokoić się gestami i słowami pozornymi. Różański zazwyczaj odrzucał to, co dawało łatwe i proste ukojenie, nie godził się na kompromisy” – czytamy. „Odpowiedzią na zło świata nie jest ucieczka w nicość, ale wiara w ocalającą moc Bożego planu. Jest to powrót do siebie i swojego miejsca pod »nieboskłon co trwa nad nami jak łaska Boga«. To ona prześwieśla mrok Szeol i odmienia wiersze Różańskiego”.

Z 2001 r. pochodzi także „Wiersz bez pointy i odpowiedzi”, zadedykowany Janowi Pawłowi II:

*Jestem pyłkiem, który usilnie chce zdobyć miłość
Boga*

*Jest jeszcze nadzieja, ale ona ginie za nawą
Okreću, który prowadzi nas do wieczności
Na Eden trzeba zapracować.*

*Kto wie czy ten pyłek najmińszysj jest
Najważniejszj na ziemi. To miłość wszystko
Wyjawi swoję tajemnicę radosną
Bóg i miłość są niepojęte*

► Ślub, gdzie orkiestra cygańska przygrywała

W 1999 r. Witka odwiedził Jan Trzciniński, autor „Nowego Państwa”. Także on zwrócił uwagę na chaos panujący w domu poety. „Kawa jest po turecku, znaczący po polsku, fusowata, każda w innej filiżance, co to ma w końcu za znaczenie. Co do zegarka, trudno się zorientować, czy chodzi, z popielniczki wysypują się niedopalki. – Jak tu nie palić? – pyta Witek. Jest cicho

sześćdziesiątce. W jakiej atmosferze odbył się ślub, opisywał na łamach „Głosu Wielkopolskiego” Andrzej Mendyk, inny z poznańskich poetów: „O swoim ślubie oznajmił mi sam bohater. Poraziło mnie ze zdumienia. – Z kim? – nieomal krzyknąłem z niedowierzaniem. – Z flecistką! – No, to się tobie, łobuzie, udało – skomentowałem. »Książę poetów« skurczył się w sobie, jakby wciąż rozwiązywał wątpliwości, czy aby dobrze robi, jeśli po 62 latach pozostawania w stanie kawalerskim żeni się, i podniósł na mnie wzrok, pytając szukając aprobaty. – Co tam, masz ode mnie orkiestrę cygańską. – Ale ja nie mam pieniędzy! – Spoko. Tym już nie musisz się przejmować” – pisał. Oczywiście Mendyk też nie miał pieniędzy na orkiestrę ani samej orkiestry na podorędziu. Dwa tygodnie kombinował, ale słowo się rzekło. Nie do końca wiadomo jakim cudem, ale orkiestrę faktycznie załatwił. Ta zaś rąbnęła ognistą nutą, gdy państwo młodzi wychodzili z urzędu stanu cywilnego.

POBYT W WOJSKU ZAKOŃCZYŁ SIĘ „BEZLITOSNĄ JAK NA OWE CZASY” DIAGNOZĄ LEKARSKĄ STWIERDZAJĄCĄ SCHIZOFRENIĘ PARANOIDALNĄ. CHOROBA NIE MIAŁA JEDNAK NA TYLE OSTREGO PRZEBIEGU, BY UNIEMOŻLIWIĆ RÓŻAŃSKIEMU NORMALNE FUNKCJONOWANIE.

i żaden telefon tej ciszy nie zburzy, bo Różański telefonu po prostu nie ma. Starał się kiedyś, ale że zakładanie przedłużało się w nieskończoność, zdecydował więc ostatecznie, że w takim razie to on dzięki wie w ogóle” – pisał.

Witek był bowiem zupełnie niezaradny. Chociaż potrafił sobie zrobić herbatę czy ugotować jajko, codzienność zwyczajnie go przerastała. Nie był typem, który mógłby pracować w biurze, żyć w rytmie od-do. W jego życiu brakowało kobiety, takiej, która by się nim zajęła. I choć pojawiały się różne panie, jednak – jak pisał Trzciniński – „przeminęły jak kometa Halleya”. Witek miał w późniejszych latach życia też dość zdystansowany stosunek do bliskich. – Wolę przyjaciół z oddali. Chcę mieć świadomość, że ich mam, nie przeżywać razem z nimi sprawy najgorsze czy najlepsze. Oni są zbyt zajęci, nie mają czasu. Ja zaś, jako ten nieliczny, mam sporo wolnego czasu. Także na przemyślenia – mówił „Sztandarowi Młodych”. Na łamach „Nowego Państwa” wypowiedziała się również bibliotekarka z Mosiny, Aleksandra Próchniewska. – On nie spotkał w życiu kogoś, nie spotkał w życiu kobiety, która by go rozumiała, która odbierałaby na tej samej fali – mówiła.

A jednak okazuje się, że na miłość nigdy nie jest za późno. Witek, zatwardziały kawaler, ożenił się już po

Z żoną, Małgorzatą Kasztelan-Różańską, był do śmierci. To ona opiekowała się nim, ona wspierała, gdy zachorował tak poważnie, że na pewien czas przestał mówić. Legenda literacka głosi, że podobno wówczas był już po drugie stronie, ale w zaświaty nie chcieli wpuścić go koledzy poeci. Warto dodać, że Witek do końca życia był człowiekiem niezwykle skromnym, choć niepozbawionym ciętego poczucia humoru. W filmie „Będziemy piękniejsi” w reżyserii Żukowskiego, poświęconym właśnie Różańskiemu, jest scena, w której wielka kopara rozpracowuje hałdę złomu. Obraz ma charakter symboliczny, co na spotkaniu z nim i z Różańskim usiłował wyjaśnić publiczności reżyser (samo spotkanie relacjonowała poznańska „GW”). Witek jednak ograniczył się do jednego komentarza: – Po cholere to złomowisko! – krzyknął.

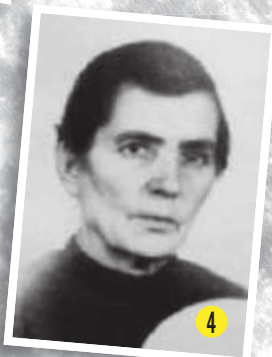
Umarł właściwie przypadkiem. W pierwszych dniach 2009 r. zakrztusił się kolacją. Podczas pogrzebu żona Małgorzata włożyła mu do trumny jeden z jego tomików. Poezja była bowiem dla niego wszystkim.

Witek wyszedł z szufladki przeznaczonej dla „poetów przeklętych”. Dorobił się własnej szufladki i własnej legendy. Opowieści o ciepłym, skromnym, tak bardzo niedzisiejszym człowieku. Dobrze, by ta legenda żyła i była przypominana. ■

Agnieszka Kowalczyk

Pamiętnik z niehumanitarnej ziemi

*Ojczyzno nasza, Polsko ukochana,
W trzydziestym dziewiątym cała krwią zalana.
Nie dość, że Polskę na pół rozerwali,
Jeszcze Polaków na Sybir wygnali.
(fragment pieśni ułożonej na Sybirze)*





„Pamiętnik z Sybiru”
Bronisławy Danuty
Ciebiera, wydany
staraniem jej córki
Ireny, staje się dla nas
świadectwem życia
polskich zesłańców
w czasach stalinowskiego
terroru. Jest niezwykle
zapisem wspomnień
dziewczyny z Kresów,
którą nadzwyczaj
ciężkie warunki życia
i nieustanne zmagania
z przeciwnościami losu
zahartowały, nauczyły
odwagi, uczyniły kobietą
silną, nie pozbawiając
jednocześnie ludzkiej
godności i wrażliwości,
a przede wszystkim
nadziei na powrót
z nieludzkiej ziemi.

1. Bronka jako drwal leśny.
2. „Nasza Karawana” (marzec 1940 r.); obrazek namalowany przez autorkę pamiętnika
3. „Obiad w lesie”
- 4, 5 – Rodzice Bronisławy Danuty Ciebiera
6. Kołchoz Czeptych-Chonych
7. Polacy w Abakanie (23 września 1945 r.)
8. Autorka pamiętnika na początku lat 50.



Nazywana jest Syberią albo z rosyjska Sybirem. Mówi się o niej też „ziemia przeklęta”, „lodo-
we piekło”, „dziecko nieszczęść, łez, cierpień
Rosji i Polski”. Stanowi lwią część Imperium
Rosyjskiego, rozpościerając się między Uralem a Oce-
anem Spokojnym i sięgającą aż po stepy Kazachstanu.
Tam despotyczni rosyjscy imperatorzy zsyłali na kator-
gę bądź osiedlenie wiele pokoleń Polaków. Byli wśród
nich konfederaci barscy, powstańcy kościuszkowscy, li-
stopadowi i styczniowi, konspiratorzy oraz studenci, pi-
sarze, poeci, artyści, słowem – wszyscy ci, którzy walczy-
li z caratem o niepodległą Polskę. A gdy ta odrodziła się
w 1918 r., nikt nie przypuszczał, że po 20 latach rozpęta
się piekło nowej wojny, a Sybir zapelnia setki tysięcy
polskich zesłańców.

Jedną z tych, którym przyszło znaleźć się w „krainie
wiecznych śniegów i wiecznej tęsknoty”, była Bronisła-
wa Danuta Ciebiera. Miała 17 lat, gdy w lutym 1940 r.
siłą wydarto ją z ukochanych Monasterzysk na Kresach
Wschodnich, wrzucono do wagonu i wywieziono wraz
z rodzicami w głąb Związku Sowieckiego. Była wówczas
uczennicą czwartej klasy gimnazjum w Stanisławowie,
którą teraz czekała sześćioletnia gehenna na Sybirze.
Koszmarne życie zesłania pomagał jej przetrwać pamięt-
nik, który pisała „na gorąco” – w podróży, na postojach
i noclegach, w syberyjskiej tajdze, w brudnym baraku,
w chwilach wytchnienia od ciężkiej pracy w lesie, ko-
palni i kołchozie.

► Kir wojny przesłonił im świat

Bronka urodziła się we wsi Zgłobień koło Rzeszowa,
ale jej rodzice sprzedali ojcowiznę i wyjechali na Kresy,
gdzie w pobliżu Buczacza nabyli ziemię i postavili
dom. Wiodło im się dobrze – wielka gospodarka, prze-
piękny sad, uprawy zbóż, tytoniu i buraków. Niedługo
jednak cieszyli się tym sielskim ustroniem, bo wrzesień
1939 r. zmienił wszystko. Naloty niemieckich bombow-
ców, rzesze uciekających do Rumunii i mama Bronki
gotująca strawę dla zgłodniałych – tak teraz wyglądała
ich codzienność. Najgorsze miało jednak nadejść ze
Wschodu wraz „z rykiem motorów i szczeniem żela-
stwa wojsk ruskich”. Zbliżał się też czas bestialskich
mordów, których dokonywali Ukraińcy na Polakach.
Nocami rodzina Bronki ukrywała się w zaroślach, wszy-
scy drżeli ze strachu, wpatrując się w krwawe łuny po-
żarów i nasłuchując wycia dzikich hord grasujących po
lasach. Wtedy to zachorował i zmarł ukochany braci-
szek Bronki. „Kir wojny i okolicznych mordów oraz kir
śmierci brata przesłaniają nam świat” – zapisała w pa-
miętniku.

Pod koniec grudnia po domach zaczęły chodzić ko-
misje złożone z Ukraińców i Rosjan, a na bocznicę kole-
jowej stanęły niezliczone wagony zaopatrzone w żela-

zne piecyki i prycze z desek. Nikt nie wiedział jednak, jakie jest ich przeznaczenie. Odpowiedź przyszła 10 lutego 1940 r.

*Dziesiąty luty będziem pamiętać,
Przyszli Moskale, gdyśmy jeszcze spali.
Dzieci i chorych na sanie wrzucili,
Na stację powieźli, a chorych pędzili.*

O czwartej nad ranem zbudziło Ciebierów gwałtowne walenie do okna, po czym do środka wpadł Ukrainiec Baczyński z kilkoma ruskimi żołnierzami. Wszystko działo się błyskawicznie – kazali ojcu położyć się na ziemi, dokonali rewizji, odczytali akt przesiedlenia. Rodzice skamienieli – rozpacz, zaskoczenie, niedowierzanie całkowicie ich sparaliżowały. Bronka pamięta, jak ojciec długo leżał pod lufą karabinu, a mama strasznie płakała. Cały ich dobytek mieścił się teraz w małym tobołku – pościel, kilka garnków i książek. „Musielśmy opuścić nasz piękny, cichy dom [...]. Zostały nasze krówki, konie, nasz Pikuś i cały nasz świat...” – wspominała rozgoryczona.

Gdy wieczorem transport zesłańców ruszył z Monasterzysk na wschód, w kolejnych wagonach rozległ się przejmujący jęk rozpacz, a potem w niebo wzbili błagalny śpiew „Pod Twoją obronę...”. Po trzech dniach jazdy w Kopyczyńcach przeładowano wszystkich do rosyjskiego pociągu, a kiedy ryknęła sowicka maszyna, serce Bronki „przeszył straszny ból i strach przed nieznanym”.

*Mijają doby, tygodnie mijają,
Raz na trzy dni wody i chleba nam dają.
Mijamy Rosję i góry Uralu
I tak jedziemy coraz dalej, dalej.*

Pociąg pędził nieubłagane. Przekroczyli Don, potem miasto Haławaj, gdzie dostali trochę chleba i kaszę z wodą, wreszcie minęli Kujbyszew, skąd droga prowadziła wprost na Syberię. Podróż 35 osób przez 12 dni w ciasnym wagonie stała się nie do zniesienia: „Okropnie rozmnożyły się wszy. Piecyk dymi, z kąta z dziurą w podłodze rozchodzi się straszliwy fetor. Woda z wiader wychlapuje się na podłogę, miesza z pyłem i węglem leżącym koło piecyka, tworząc czarną maź, którą niespokojne dzieci roznoszą na prycze i pościel”.

Ciągle jadą i jadą. W nocy mijają Abdułyno, nad ranem Czingis-Czume, w południe stają w Ufie. Podróż zdaje się nie mieć końca. Wreszcie przez malutkie okienko Bronka widzi ogromne masywy gór – zalesione, pokryte śniegiem, strome i wysokie. To majestatyczny Ural, o którym uczyła się na lekcjach geografii. Nigdy w życiu nie oglądała gór tak pięknych i strasznych zarazem. Wreszcie otwiera się przed nimi Azja, ale tajemni-

czy czar nieznanego kontynentu musi ustąpić rzeczywistości towarowego wagonu – „smród, brud, zimno, niedostatek, wszy i klótnie o wszystko” dają się we znaki. Bronka chwilę pisze, a potem leży zeszytywniała na prycy. Nie może usnąć, przenosi się myślami do domu zatopionego wśród kwitnących sadów i złotych pól. Jakis straszny ból przeszywa jej duszę.

*O smutna była nasza karawana,
Kipiatku z chlebem dają nam co rana.
Dzieci zmarznięte, chorzy z sań spadają.
A na postojach umarli zostają.*

► Koniec podróży, koniec świata

W Kańsku na zesłańców czekały już ciężarówki, którymi odstawiono ich do Pietropawłowska, a stamtąd w dalszą drogę ruszyć mieli saniami. Karawanę mknącą przez śnieżne pustkowia tworzył długi sznur typowych ruskich zaprzęgów, po dwie-trzy osoby przywiązane do sań i owinięte pierzynami. Bronka wspominała: „Wydawało się, że już zamarzliśmy. Zdrętwiałam tak okropnie, że nie czułam już ani zimna, ani głodu, i gdyby nie sznury, na pewno bym spadła. Pod wieczór dotarliśmy do jakiegoś osiedla, które nazywa się Bogorodzkie. [...] Tutaj był koniec naszej podróży i chyba koniec świata”.

*Słoneczko złote smutno nas witało,
Gdy do baraków rano zagładało. [...]
Świat nam zamknęły te szumiące drzewa,
Nawet ptaszyna żadna nie zaśpiewa.*

Osiedle stanowiły trzy baraki zagubione w głuchej, białej tajdze. W małej izdebce ułożono ciężko chorą mamę Broni i wezwano lekarza. Okazał się nim Polak, doktor Michalski, syn zesłańca z 1863 r., który niezmiernie ucieszył się, że zobaczył swych rodaków, ale jednocześnie „pękało mu serce z bólu, bo wiedział, ile tragedii niesie ze sobą taka zsyłka”. Mama Bronki czuła się coraz gorzej, a ojciec kaszlał tak, że trząsał się cały barak. Na domiar złego pieniądze się skończyły, a z zapasów jedzenia została tylko garść kaszy i odrobina suchego chleba. Od śmierci głodowej uratował ich ludzki komendant NKWD, który przysłał trochę żywności i po 20 rubli za liczki. Byli ocaleni!

Z Bogorodzkiego wyjechali dość szybko, bo osiedle leżało na bagnach i miało klimat malaryczny, więc postanowiono wszystkich stamtąd wywieźć. Inaczej pewnie czekałaby ich wycieńczająca praca w tutejszych kopalniach złota, gdzie całymi dniami stało się w wodzie i ciemnościach, płucząc ręcznie złoto w poszukiwaniu grudek cennego kruszcu.

Nowym miejscem ich pobytu stał się Kirowski Prysk, a „domem” – ciasna izba drewnianego baraku, którą dzielili z jedenastoma zesłańcami. Tu właśnie mieli w pełni doświadczyć tego, czym jest mordercza praca Sybiraków wprzęgniętych w tryby maszyny stalowego państwa. Bronka w jednej chwili musiała stać się robotnicą wykonującą najcięższe męskie prace. Nigdy nie zapomni, jak przydzielili ją po raz pierwszy do wyrębu drzewa. Do lasu szło się 3 kilometry przez zasypany powyżej kolan, a na miejscu trzeba było ścinać olbrzymie brzozy i modrzewie, okorować pnie, pociąć na jednometrowe polana, a wszystko złożyć na wysoki stos – „norma wynosi 3 m³ na jedną dziennie”, a za metr sześciennej płacą 2,20 rubla. Wszystko to dziewczętom objaśnił dziesiętnik Bruchanow, znany ze swej nienawiści do Polaków, bo w 1920 r. stracił rękę w bitwie pod Warszawą. Gdy tylko usłyszały, co mają robić, przerażone wybuchły głośniejszym płaczem. Bronka i Tereska miały przecież po 17 lat, Hania – 18, Wisia – 16, a wymagano od nich siły i sprawności rosnącego drwa. Pewne, że temu nie podoleją, zaczęły błagać Bruchanowa o zmianę pracy, ale ten wpadł w furję, krzyczał, przeklinał, wygrażał, że zgłosi komendantowi, iż się buntują, i wtedy wywiozł je tam, gdzie słońce już nie świeci. Nie miały wyboru – szlochając, zabrały się do roboty. Gdy wyręb drzewa skończył się, zagnano kobiety do palenia gałęzi. Codziennie szło się do lasu 7 kilometrów przez jeden wielki strumień wody zmieszanej ze śniegiem. „A buty – śmiechu warte, jakie my mamy buty: cholewa z filcu przywiązana pod kolanem, żeby nie opadała, i podeszwa z cienkiej skóry albo też z filcu. Buty zużyły się już przez zimę, podziurawiły, wytarły. Przemakają jak szmata, że można je wyżyłować”.

Praca w dziewczęcych lasach Syberii miała jednak i swój urok. Odwieczna tajga okazywała Bronkę swym pierwotnym pięknem. Zachwycił ją nadzwyczajny świat przyrody – wiekowe modrzewie, brzozy i sosny, przyglądała się ciekawie zająców bielakom i wiewiórkom letniuchom, podpatrywała głuszcze i dzikie kaczki gnieżdżące się nad rzeką. Zajaśniała się przepysznymi brusznicami, krzepiła wodą z jagodowym sokiem, żuła różową, pachnącą żywicę modrzewiową, smaczniejszą od gumy do żucia, zaspakajając na chwilę głód. Zwykle miała przy sobie kostkę czarnego chleba, ciężkiego i niewyrośniętego. Tym kawałkiem dzieliła się jeszcze z mamą i odkładała co nieco na „czarną godzinę”.

► Choroby i śmierć czały się wszędzie

W lipcu 1940 r. całą społecznością polskich zesłańców wstrząsnęła niespodziewana wieść o ucieczce Krasowskich – ojca z dwoma synami i córką. Nikt nie mógł uwierzyć, że zdecydowali się na tak szaleńczy krok. Nie mieli przecież kompasu, mapy ani dostatecznych zapa-

sów żywności, a przed nimi rozciągała się ogromna rzeka Angara i nieprzebyte bagna. Pocztę i prowiant przewożono do osady samolotem, stacja kolejowa znajdowała się 800 kilometrów stąd, a na Angarze pływał tylko jeden prom. Sama zaś tajga, choć bez murów, krat i bram strażniczych, była doskonałym więzieniem. Nie minął więc nawet miesiąc, jak schwytano Krasowskich nad Angarą. Ojciec ze starszym synem Frankiem wtroczeni zostali do więzienia, a Wandzia z młodszym bratem odesłani do osiedla. To przewoźnik, który obiecał uciekinierom pomoc, zdradził ich, donosząc o wszystkim NKWD. Na taki sam desperacki czyn odważył się jeszcze w następnym roku Szczepaniuk. „Oby mu się lepiej poszczęściło niż Krasowskim!” – życzyła śmiałkowi w duchu Bronka.

*Głód i tęsknota bardzo nas przygniata,
Tyfus i szkorbut dużo ludzi zniata.
Co dzień to więcej pod świerkami leży
I nikt nie słyszy jęków, leż, pacierzy.*

Dni ciągnęły się jednostajnie wypełnione pracą ponad ludzkie siły. Walka o byt nie ustawała nawet podczas 40-stopniowych mrozów, szerzących się chorób, głodu i rozpacz. Śmierć czała się wszędzie i zbierała ogromne żniwo, o czym świadczą zapiski z lutego 1941 r.: „Ten tydzień był bardzo smutny. Najpierw umarł Władek Gawlik – miał może ze 30 lat. Potem zmarł Michał Marek – miał 50 [...] Jego żona też jest ciężko chora. Wiśka i Stefa, małe jeszcze dziewczynki, są zrozpaczone. Janek, ich starszy brat (przyrodni), ożenił się z Rosjaną i odszedł od nich. Wojciech Ziemiński leży na szkorbut w szpitalu; chorzy są też obaj Baki, a Ziębina ma chyba tyfus, bo szybkoitko przewieźli ją do szpitala w Južno-Jenisiejsku. [...] Wczoraj zachorowała mała Gienia Gawlikówna – taka milutka, cichutka dziewczynka z naszego baraku [...]. Zmarła sąsiadka Bąkowa. Tylu ludzi choruje i umiera, choć nie ma żadnej epidemii. Przyczyną jest wycieńczenie, szkorbut, zapalenie płuc”.

W końcu lipca i Ciebierów dotknęło wielkie nieszczęście, bo mama Bronki zachorowała na tyfus i przewieziono ją na oddział zakaźny do Južno-Jenisiejska. Tej nocy Bronka nie mogła zmruznąć oka, płakała wciąż i rozmyślała o jej losie. By dostać się do szpitala, musiała wraz z ojcem pokonać piechotą ponad 20 kilometrów. Matkę zastali strasznie zmienioną, prawie nieprzytomną. Błagała ich, by ją stąd zabrali. 18 sierpnia Bronka napisała w pamiętniku: „Jestem przerażona jej stanem. Wygląda jeszcze gorzej niż przedtem i jeszcze bardziej bredzi [...]”. Wracałam do domu płacząc i równocześnie drząc ze strachu, bo było już ciemno, a cały czas idzie się lasem. Po drodze nie ma ani jednego domu i ciarki po plecach przechodzą, gdy zaskrzypi jakieś drzewo czy poderwie się ptak”. Szczęście Ciebierów nie

znało granic, gdy 8 września mamę odesłano do domu. Przypominała szkielet, ale wracała do zdrowia.

Zaświtała nadzieja wolności

*O, Polsko nasza, ziemio nasza święta,
Gdzie Twoje dzieci, gdzie Twoje Orleża?
Dzisiaj w syburskie tajgi przyjechali,
Czy Cię jeszcze kiedyś będziem oglądali?*

26 czerwca 1941 r., do Kirowskiego Pryska dotarła niespodziewana wieść o uderzeniu Niemców na Rosję, a 2 września, ku największemu zaskoczeniu Polaków, ogłoszono ich wolnymi! „Nasze uwolnienie narobiło niebываłego rozgardiaszu – pisze podekscytowana Bronka – Polacy chodzą jak w gorące i na gwałt się gdzie wybierają. Cały czas radzą i planują wyjazd. Kierownictwo osiedla udaje zupełną obojętność, ale chyba im to nie w smak. Przecież tracą tanią siłę roboczą, którą można poganiać jak bydło”. Z powodu choroby mamy Ciebierowie nie mogą na razie wyjechać. Rosjanie ostrzegają, że do końca wojny lepiej nie ruszać się z miejsca, a szczególnie odradzają przeniesienie do kolchozu. Nawet listonoszka Wisznikowa mówiła, że tam „po zbożu ludzie depczą, a głodem przymierają”. Jej słowom jednak nie dowierzano. Część Polaków wyruszyła już w drogę, a niektórzy zdążyli nawet przysłać listy z kolchozów, jak Petel, który stwierdził, że: „Jeden czort wszędzie”.

Bronka siedzi w izbie i pisze, grzejąc nogi w popielniku. Łachy schną nad piecem, po którym bez opamiętania biegają karaluchy i pluskwy – „paskudna plaga wszystkich baraków”. Jak tu nie marzyć o powrocie do Polski. Tymczasem dochodzą wieści, że „na froncie niewesoło”. Bronka z ciekawością słucha radia u Wisznikowej. Donoszą, że Niemcy prą na Moskwę i Donbas, a armia sowiecka zadaje nieprzyjacielowi ogromne straty. Ludzie jednak mówią, że to Rosjanie „cienko przędą”. Wszędzie prowadzą zbiórkę cieplej odzieży dla wojska, nawet u nich, na Syberii, wystawili skrzynię, do której ktoś wrzucił jakieś obskurne szmaty. „Ładnie ta armia będzie wyglądać – myśli Bronka – jak ubiorą ich w takie łachmany, jak się tu nosi [...]”; większość trzyma nawet najgorsze w wielkim poszanowaniu, bo każda ła-ta jest tu na wagę złota”.

Nieoczekiwanie, 16 grudnia, do osady przedostała się wieść, że generał Anders tworzy armię polską na terenie Związku Sowieckiego, a generał Sikorski jest w Kujbyszewie i będzie przemawiał do rodaków przez radio. Ciebierowie z bijącym sercem oczekują jego słów, a gdy tylko usłyszeli dźwięki „Mazurka Dąbrowskiego”, łzy same popłynęły im z oczu. Tego roku Polakom pozwolono zebrać się na wspólną Wigilię. Kobiety ugoto-

wały barszcz z uszkami, a opłatek zastąpiły cienkie kromki czarnego chleba. „Poplakaliśmy się wszyscy, myśląc o naszej Ojczyźnie, w której panoszą się Niemcy [...]”. Było smutno, ale świeża już nadzieja wolności – wspominała ze wzruszeniem Bronka.

► W kolchozie od świtu do nocy

1 marca 1942 r. doszły do nich słuchy, że na terenie ZSRS powstaje organizacja polska, która ma pomóc wrócić zesłańcom do kraju. Po długich namysłach Ciebierowie postanowili, tak jak większość, opuścić swoją osadę i wyruszyć do położonych bardziej na zachód lub południe kolchozów, by znaleźć się bliżej ojczyzny. Podróż okazała się niekończącym pasmem udręki: „Najpierw saniami do Kańska do stacji kolejowej – dwadzieścia kilka noclegów na brudnych podłogach w różnych »zimowlach« i »klubach« [...]”. Jazda pociągiem z Kańska do Aczyńska. Wagony nieogrzewane, nabite ludźmi – tłumem koczowników z tobołkami i czajnikami. Siedzenie i spanie na podłodze. Potem całą dobę oczekiwanie [...] na połączenie do Abakanu. Zimno, brudno, duszno, gromada włóczęgów i rzezimieszków. [...] No i wreszcie miasto Abakan – stolica dużego autonomicznego obwodu Chakasji”. I tutaj trzeba było przejść przez dantejskie piekło, nocując w niskim, obdartym baraczkach, gdzie gnieździły się wszelkiej maści bandziory i obieżyświaty, słowem – „brudne wnętrza, brudni ludzie”, powietrze zaś tak obrzydliwe, że zbierało się na wymioty. Wreszcie, po pięciu dniach dalszej podróży, dotarli na miejsce – do „Czeptych-Chonych”, co w języku chakaskim oznaczało „Szczęśliwe Życie”.

W istocie kolchoz ten stanowił obraz nędzy i rozpaczy: gdzie okiem sięgnąć – lepianki, wkopane w ziemię nory, pokryte darnią i zielskiem, z malutkimi okienkami, wokół zaś rozwalone płoty, kupy śmieci i słomy. W całej wsi stały tylko trzy drewniane domki – rozpadające się rudery, a w jednej z nich mieścił się zarząd kolchozu. Dalej widać niechlujne i nędzne fermy hodowlane – „zwierzęta toną w gnoju, dachy dziurawe, ściany odrapane, okna wybite, załatane tekturą”. Kolchoz „Szczęśliwe Życie” leży na płaskiej równinie bez drzew, tak że „na widnokręgu jak na krawędzi misy widać góry” – Sajan i Altaj. I choć na dobre rozpoczął się już kwiecień, pola przynębiały szarością i martwością, a bezkresny step był niczym królestwem smutku i melancholii wsączających się w ludzką duszę.

W kolchozie pracowano się od świtu do nocy, a o wolnej niedzieli czy świętach można było tylko pomarzyć. Bronka została rachmistrzem w pierwszej połowej brygadzie, bo umiała mówić i czytać po rosyjsku, a do tego dobrze liczyć. Na miejscu dostała szańców do mierzenia, zeszyty i dzikiego, stepowego konia, którego zdołała ujarzmić, tak że stał się „potulny jak baranek”.

Wstawiała równo ze słońcem – „szybkie umycie się pod studnią, kubek wody z mlekiem i kromka chleba na śniadanie – i do pracy”. Na 300 hektarach ornej ziemi musiała mieć wszystko i wszystkich pod kontrolą, przydzielić każdemu robotę, wypełnić całą tonę papierów i sporządzić meldunek do kierownictwa kolchozu. Pracy było w bród – orka, bronowanie, siew pszenicy, owsa, sadzenie kartofli, nawadnianie pól, czyszczenie kanałów. Bronka ani się obejrzała, a już rozpoczynały się żniwa – koszenie, młocka, odstawianie zboża do elewatora, potem znów orka, kopanie buraków... A przy uprawach pracowało kilkadziesiąt osób, w lecie – 150 ludzi. „Ale cóż to byli za robotnicy! – żaliła się – Dorosłych było tylko kilkoro: mężczyźni – sami kalecy, tzn. ci, których nie zmobilizowano do wojska; większość stanowiły kobiety, około połowa to były dzieci w wieku 12–14 lat. Dziewczynki pracowały przy obróbce buraków, chłopcy orali, bronowali, coś przewozili. Z takimi robotnikami to był krzyż Pański! Spóźniali się, nie przychodzili, nie radzili sobie z różnymi przeszkodami, zapominali narzędzi. Dziewczynki to płakały, to znów śmiały się, to się bawiły. [...] Taki 13-letni chłopak wyjeżdża w pole parą koni; konie szarpia się, płaczą, uprząż się rozlatuje, coś się urywa przy pługu – chłopak płacze jak dziecko i klnie jak dorosły. Jak od takiego wymagać, jak liczyć mu dniówkę? Albo konie poniosą i rozwalą wóz; cóż winne dziecko?”.

Ledwie Bronka zdołała odetchnąć po zakończeniu prac polowych, a już wysłano ją do kolchozu Biały Jar po drugiej stronie rzeki Abakan. W jej grupie było 13 osób: dwie Rosjanki, cztery Chakaski, Koreańczyk, Japończyk i pięciu Polaków. „Szliśmy pieszo przez zaśnieżone pagórki do wyznaczonego miejsca pracy – wspominała – Mróz dochodził na pewno do minus 20 stopni i wiał przenikliwy, ostry wiatr. Byliśmy głodni, zmarznięci i zmęczeni, policzki paliły nas od wiatru. Przed nocą dotarliśmy na miejsce. Jakieś małe baraczki podszyte wiatrem, zasypane śniegiem – to kwatery”. Trzeba było wstać o wpół do szóstej, coś przekąsić i jechać do pracy. Przy młockarni, która ciągle się psuła, musiano się nieźle uwijać, aż „z człowieka pot ściekał ciurkiem”. Pojechali tam na pięć dni, a choć minęły już ponad trzy tygodnie, o powrocie nie było mowy. Nie dało się już dłużej znieść „tylu dni bez mycia się, bez zmiany bielizny, w takim zimnie”. Polacy postanowili więc uciec i z samego rana, w dzień Wigilii Bożego Narodzenia, jak gdyby nigdy nic, opuścili znienawidzony Biały Jar. Dołączyły do nich Chakaski, które dobrze знаły drogę. „Ostatkami sił, brnąc po kolana w śniegu – pisze Bronka – dotarliśmy do rzeki Abakan. [...] Wokół cisza – tylko śnieg skrzypi pod nogami; przed nami ciemność, nad nami gwiazdy i księżyc. Mroźna Bożonarodzeniowa noc! Gdy na horyzoncie ukazały się światła kolcho-

zu, zaczęliśmy niemal płakać z radości, jakby ten obskurny kolchoz był już naszym rodzinnym domem. Wtedy pomyślałam, że tak chyba będę się czuć, gdy kiedyś wrócę do Polski”.

► Prosto do Polski

Los rodziny Ciebierów odmienił się na początku 1943 r., gdy dzięki życzliwości dyrektora instytutu nauczycielskiego z Abakanu ojciec Bronki otrzymał tam pracę. Ich nowe lokum, w porównaniu z zapłuskwionym barakiem, wydawało się istnym rajem – pokój z wielkim oknem, w kącie kuchnia do gotowania, a do tego podłoga i pomalowane ściany. Ojciec, jak zwykle przedsiębiorczy i zaradny, wypatrzył nawet duże i jasne pomieszczenie na własny warsztat stolarski. Mama prowadziła dom, a Bronka za namową tutejszych profesorów zaczęła w styczniu 1944 r. uczęszczać na kurs nauczycielski, wybierając kierunek przyrodniczo-biologiczny, dzięki czemu została nauczycielką we wsi Krasny Abakan. Gdy sprawy zaczęły się lepiej układać, na Ciebierów spadła jak grom z jasnego nieba wiadomość o tym, że ustalono granice przyszłej Polski. Zachodnia Ukraina miała zostać przyłączona do ZSRS, co oznaczało oderwanie od ojczyzny rodzinnych Monasterzysk i to, że nigdy już tam nie wrócą, nie zobaczą więcej swojej ziemi, ukochanego domu, sadu z jabłonią... Gorycz tej straty była ogromna.

Maj 1945 r. przyniósł nareszcie tak długo oczekiwany kres wojny. Związek Polskich Patriotów zaczął przygotowywać listy tych, którzy mieli powrócić do ojczyzny. Jakże wielka była rozpacz Ciebierów, gdy zobaczyli, że na dwóch kolejnych wykazach nie ma ich nazwiska. „Myślałam że świat się dla mnie kończy i rozpacz pomiesza mi w głowie – tamci pakowali się i jechali do POLSKI, a my nie!” – pisała o swoich przeżyciach Bronka. Na szczęście dyrektor instytutu, Andriej Porchomienko, interweniował w ich sprawie u władz miejskich i komitetu partii, tłumacząc, że „mają prawo jechać pierwszym transportem i w pierwszym wagonie”. I udało się, 21 maja 1946 r. wyruszyli na drogę do POLSKI!

„Byłam u szczytu szczęścia – wspomina ten wzruszający moment Bronka – Sześć lat tułaczki zakończone! Zdawało mi się, że jadę do raj. [...] Bez znaczenia było jedzenie, a właściwie jego brak, bez znaczenia warunki, w jakich podróżowaliśmy. Nieważne było, że byłam ubrana w łachmany z worka, a na nogach miałam rozłazące się chodaki. Nie myślałam, że jadę na nowy etap poniewierki, że nie jadę do żadnego domu. Nasz dom, nasze gospodarstwo pozostało za nami, na terenach ZSRS. Ale wtedy nie liczyło się, gdzie będziemy mieszkać, ważne było tylko to, że w POLSCE!”.

2



1



3



4



5



6



Ewa Polak-Palkiewicz

Lekcje Madame Sophie



Kiedy w sierpniu 1944 r. Zofia Schuch wyszła z kanału na Nowym Świecie z plecakiem pełnym sprzętu medycznego, natknęła się na elegancką panią, ufryzowaną i pachnącą perfumami, która zapytała zgorszona, dlaczego jest tak umorusana. „Wyszłam z kanału”. „Ach, z kanału! Jakie to romantyczne! Czytam właśnie powieść francuskiego pisarza o podziemnym świecie pod Paryżem”. Zofia bezbłędną francuszczyzną podała nazwisko autora i tytuł tej powieści, zacytowała kilka myśli Wictora Hugo, po czym zostawiła osłupiałą damę i pognęła z ciężkim plecakiem dalej.

1. Janina Schuch z d. Iwicka (mama)
2. Zofia Schuch z bratem Tadeuszem
3. Na motorowym szlaku w Antwerpii
4. Zofia Schuch z koleżankami z Powstania (w środku, w ciemnych okularach Maria Jasiukowicz), lata 70.
5. W Gimnazjum im. Królowej Jadwigi
6. Zofia Schuch z polskim skautem w Komendzie Harcerstwa w Belgii (lata 30.)
7. W Powstaniu działała w Sanitariacie Harcerskim

fot. archiwum autora

Czy łatwo sobie wyobrazić policjanta, który łączy fantazję, zamiłowanie do przygód, fascynację przyrodą, wykształcenie humanistyczne i techniczne, czułość i mądrość wychowawczą w stosunku do własnych dzieci (której im, Zofii i Tadeuszowi, tak zazdrośczone), i oddanie, wręcz bezgraniczne, wobec młodszych policjantów i kandydatów do zawodu? Komendant Jan Schuch odcisnął niezatarte piętno na historii Policji Państwowej w odrodzonej po 1918 r. Rzeczypospolitej. Jego życie zakończyło się gwałtownie w 1940 r. Ten zastępca szefa Policji m.st. Warszawy w randze nadinspektora (odpowiednik generała brygady), potomek spolonizowanej rodziny niemieckiej, mógł uniknąć losu skazańca osadzonego w twierdzy w Dniepropietrowsku. Zbyt chory, by dołączyć go do grupy polskich oficerów, więźniów Ostaszkowa – co było zamysłem NKWD – zmarł w celi, którą wykuto w skale sześć poziomów pod ziemią. Żył bez ciepłego ubrania, bez możliwości oglądania ludzkiej twarzy. Raz dziennie podnoszono zapadkę otworu w drzwiach, wsuwano kawałek czarnego chleba... Nie wykonał rozkazu, jaki otrzymał na początku września 1939 r., nie wyjechał z Polski, bo nie był w stanie zostawić na pastwę niemieckiej zemsty uczniów swojej ukochanej Szkoły Policijnej w Mostach Wielkich pod Lwowem. Był jej współzałożycielem, tu wykładał. Wtedy, na początku września, nie traktowano poważnie możliwości ataku ze strony Sowietów. Ogromny wysiłek intelektualny i organizacyjny patriotów ze służb państwowych miał na celu minimalizowanie strat zadawanych przez Niemców, którzy polską policję mieli za zbrodniarzy, jej funkcjonariuszy zabijali lub wywozili do obozów koncentracyjnych. Schuch odłączył się od konwoju ewakuacyjnych i skierował się pod Lwów, by tam błyskawicznie przemianować Szkołę Policijną na wojskową, studentów uczelni chroniłaby wtedy konwencja genewska. Czerwony wywiad działał bezbłędnie. Sowietci aresztowali go w Tarnopolu. Tak zginął ojciec bohaterki tego szkicu, sanitariuszki Powstania Warszawskiego, komendantki harcerskich Patroli Sanitarnych – Zofii Schuch.

► Francuski od kołyski

„Jeśli francuski, to tylko u Madame Sophii” – mawiało się w Warszawie jeszcze 10 lat temu, w kregu znawców, o 91-letniej nauczycielce języka francuskiego Zofii Schuch-Nikiel (1916–2012). Pani Zofia choć nie była romanistką, tylko przedwojenną absolwentką ekonomii i wydziału konsularnego w Antwerpii i Liège, miała wśród uczniów naukowców, artystów i dyplomatów (uczyła ich polskiego)

oraz gromadę dzieci swoich przyjaciół. Jej lekcje to specjalna kompozycja sztuki, zabawy i nauki myślenia. Wymagająca i dowcipna nauczycielka była dla grona wtajemniczonych ideałem pedagogicznym. Miałam szczęście być jej uczennicą. A przy okazji mogłam podpytać o koleje jej życia pełnego nieprawdopodobnych przygód, jak zresztą życie niemal każdego z rodu Schuchów, spolonizowanej rodziny niemieckiej, od 1775 r. żyjącej na ziemiach polskich, i o jej nieoczekiwane – tak jak autorska metoda nauki francuskiego – pasje. Jej główną cechą była jednak niebawyma skromność, absolutny brak zamiłowania do gromadzenia dóbr materialnych. Tylko ludzi kręciło się wokół niej wyjątkowo dużo. Dom był zawsze pełny przyjaciół i znajomych.

„Ojciec wpajał mi trzy zasady, którymi kierowałam się przez całe życie” – wspominała pani Zofia. „Od najmłodszych lat wiedziałam, że mam pomagać każdemu potrzebującemu pomocy, nawet zanim o to poprosi. Że nie mam oczekiwać od nikogo nigdy wdzięczności. »Dobro zawsze wraca« – zaznaczał – »choć nigdy nie wiadomo, kiedy i od kogo«. Zaznałam wielokrotnie prawdziwości tej maksymy. W 1943 roku przed wywiezieniem do obozu koncentracyjnego uratował mnie gestapowiec. Niemcy zrobili łapankę na stacji kolejowej w Warce, część pasażerów ustawili po lewej, resztę po prawej. Znalazłam się wśród tych po prawej. I nagle rzucił się do mnie Niemiec z psem. Wilczur szczyrzył kły, a on popychał mnie gwałtownie kolbą, krzycząc: »Nie, ty idziesz na lewo!«. Tych z prawej wywożono budami prosto do pociągu, i dalej, do obozu... Druga zasada ojca brzmiała: »Nie przywiązuj się do rzeczy materialnych, dziś są – jutro ich nie ma«. I trzecia: »Szanuj każdego człowieka, kimkolwiek by był, i pamiętaj, że miłości i przyjaźni nikt ci nigdy nie odbierze“.

Po francusku mówiła od dzieciństwa. Gdy była zupełnie małą, ojciec wieszal koło jej łóżeczka rysunki z żółwiami, biedronką, gazelą, wielbłądem i francuskimi podpisami; wciąż je zmieniał i sprawdzał, czy pamięta. Zatrudniano też francuską nianię, która rzekomo nie знаła ani jednego słowa po polsku. Opowiadała fantastycznie bajki.

► Ogrodnik królewski

Dla każdego z Schuchów – po dwustu latach życia na ziemiach polskich, po udziale reprezentantów rodu w polskich powstaniach (Zofii i jej brata Tadeusza w konspiracji AK) – nie mogło być większej obelgi niż nazwanie ich „spolszczonymi Niemcami”, jak przydarzyło się to w jakimś urzędzie, gdzie Zofia wyciągała dokumenty rodzinne.

Najsłynniejszy z rodu Jan Chrystian Schuch był założycielem Łazienek Królewskich. Architekt, ogrodnik i planista, pochodził z rodziny intendenta ogrodów elektora saskiego. Malarstwo i architekturę studiował w Akademii Drezdeńskiej, w Holandii uczył się ogrodnictwa i botaniki. W Anglii, we Włoszech i Francji poznawał sztukę ogrodów. W 1775 r., gdy przyjechał do Polski na zaproszenie jednego z arystokratów, miał zaledwie 23 lata. Stanisław August Poniatowski uczynił go Intendentem Ogrodów Królewskich. Propozycja była niemalym wyzwaniem dla młodego artysty: zamiana Łazienek Królewskich z parku francuskiego na ogród w stylu angielskim. Z zapalem zaczął przetrzącać mostki, grupować drzewa, wyznaczać nowe, płynne linie ścieżek i kanałów, sprowadzać z całego świata rośliny. Projektował i budował także łazienkowski teatr, pomarańczarnię. Król nagroził go posiadłością niedaleko Łazienek, gdzie po zaślubieniu Ludwika z Wolskich wybudował pierwszy dom Schuchów na polskiej ziemi – niewielki klasycystyczny dworek dla żony i pięciorga dzieci. Ziemię wraz z dworkiem utracił syn, za udział w Powstaniu Listopadowym. Aleja Schucha właśnie jemu zawdzięcza swoją nazwę.

Schuchowie byli pasjonatami głównie dziedzin inżynierskich i architektury, zawsze twórczy i zaangażowani. To głębokie rodzinne zainteresowanie było kontynuowane w Polsce. „Mój brat, Tadeusz – wspominała Zofia – jeszcze w młodości postanowił, że będzie budował metro w Warszawie i szybką kolej. Bratanek został we Francji profesorem architektury i kierował rozbudową Paryża”.

► Jachtem i na koniu

Ojciec Zofii był też zamiłowanym gimnastykiem. Jego pasja do ćwiczeń gimnastycznych przetrwała w wielu warszawskich anegdotach. „Na ulicy Solec, gdzie mieszkaliśmy, często widywano młodego chłopaka przechadzającego się na rękach po balustradzie balkonu, co wywoływało gwałtowne protesty przechodniów. Jako młodzieniec nągminnie też wchodził po schodach na rękach – na IV piętro, gdzie mieszkaliśmy. Ojciec nawet jako Komendant Policji nie uznawał komunikacji kolejowej. Żeby pociągiem gdzieś jechać, jedyne 20 kilometrów? Nigdy. Kiedy w czasie wakacji przebywaliśmy przez dłuższy czas z mamą w Brwinowie, a on z racji swych obowiązków pozostawał w Warszawie, zawsze przychodził do nas wieczorem piechotą i piechotą wracał. Na zwiedzanie Wilanowa musieliśmy także iść na nogach... Odziedziczyliśmy z moim bratem sportowe zamiłowania ojca. Tadeusz jako czter-

nastolatek wybudował niewielki jacht i wspólnie żeglowaliśmy po Wiśle. Wyłączyliśmy na całe dnie, rodzice domagali się tylko, byśmy wrócili do domu o ściśle określonej godzinie. Tadeusz zdobył nawet pierwsze miejsce w regatach po Wiśle. Gdy wywołano jego nazwisko i na podium wkroczył drobniutki chłopaczek, jurorzy kazali mu przyprowadzić rodziców. Nie mogli uwierzyć, że to on właśnie jest zwycięzcą. Naszą wspólną wielką pasją było harcerstwo”.

Matka Jana Schucha, babcia Aniela z Michałowskich Schuchowa, której Schuchowie – ewangelicy – zawdzięczają nawrócenie na wiarę katolicką, córka ziemian z Wileńszczyzny, wniosła w rodzinę element polskiej fantazji i kresowy temperament. Jej malownicze, barwne stroje, noszone nawet gdy była już w podeszłym wieku, opiekuńczy charakter i mnóstwo anegdot ukazują osobę z połotem i nieprawdopodobną inwencją językową. Z jednym ze swoich kuzynów wymyśliła specjalny język, którym posługiwali się, gdy trzeba było wyrazić jakąś uczuciową zawilość. Zwrot oznaczający przywiązanie i czułość brzmiał: „A Patiu Patiułku Bałahukaka”... Któregoś razu ktoś przygodny posłyszał na peronie kolejki w Podkowie te słowa i zapytał: „Przepraszam, w jakim języku państwo rozmawiają?”. „Po pergolesku” – odrzekła bez namysłu starsza pani. Rozbawiła kiedyś towarzystwo na wycieczce w Tatrach, gdy widząc tablicę „Uwaga, niedźwiedzie!”, zawołała: „Nie można tego napisać dyskretniej, przecież one zaraz to zauważą i będą ostrożne, nikt ich nie zobaczy!”.

Janina z domu Iwicka, matka Zofii, także pochodziła z ziemiańskiej rodziny osiadłej na Litwie i tak jak ojciec należała do „Sokoła”. Jako młoda dziewczyna wędrowała ze swoim tatą po Tatrach. „Dziadek miał lęk wysokości. Często wysoko w górach zamykał oczy i wtedy mama go prowadziła za rękę. Właśnie w takich okolicznościach, na którymś ze szczytów, poznała mojego ojca. Mama, mimo pracy zarobkowej, miała dla nas dużo czasu i prowadziła wspaniały, ciepły, otwarty dom. Lubiana przez naszych rówieśników także z powodu ogromnego poczucia humoru. Prowadziła dla naszej drużyny kursy sprawnościowe”.

Ojciec Zofii w kwestii wychowania sportowego był bardzo wymagający. „Oprócz chodzenia na rękach wymagał ode mnie i brata, byśmy jeździli na rowerach, na nartach i łyżwach. Bardzo wcześnie zaczęliśmy jeździć konno. Ojciec nie widział żadnych problemów, żebyśmy jazdę konną ćwiczyli codziennie przed pójściem do szkoły – miałam powiedziane, że muszę się tak zorganizować, żeby zdążyć. Jeździłam na Colominie, półrabce. Cudownie skakała. Co-

dziennie o 5.30 rano przyjeżdżałam tramwajem »P« z Solca na Krochmalną, gdzie był maneż i stajnie policji warszawskiej. Kiedy po godzinie kończyłam jazdę, musiałam zatelefonować do ojca i zdać sprawozdanie, jakie przeszkody brałam, ile razy spadłam z konia etc., i wtedy dopiero mogłam jechać do mojego Gimnazjum im. Królowej Jadwigi przy placu Trzech Krzyży. Żeby się nie spóźnić, pojawiałam się czasem na lekcjach w butach do konnej jazdy. Nasza wychowawczyni wchodziła do klasy, głośno wzdychała i mówiła groźnie: »Co tu dzisiaj tak stajnią śmierdzi!«. Koleżanki chichotały i informowały, że »Schuch nie zdążył się umyć“.

► Na motocyklu w nieznane

Odziedziczyła po ojcu żylkę podróżniczą. Jako maturzysta Jan Schuch opłynął dookoła cały świat. Statek, na jaki się zaciągnął, potrzebował chłopca okrętowego. Wkrótce – jako jedyny z załogi znający perfektnie kilka języków – został tłumaczem rosyjskiego kapitana, gdy zawijali do portów. Po studiach na Politechnice we Frankenhausem stał się odkrywcą nowych szlaków turystycznych i narciarskich oraz kilku tatrzańskich jaskiń. Dokonał tego z Mariuszem Zaruskim, późniejszym generałem, z którym się przyjaźnił. Zaruski wstąpił do Legionów, w wojnie 1920 r. bronił Wilna, Schuch był ochotnikiem w wojnie bolszewickiej, bronił Warszawy. Rana, którą otrzymał, najprawdopodobniej przyspieszyła jego śmierć w Dniepropietrowsku.

„Ciągnął mnie świat, chciałam poznawać ludzi – mówiła pani Zofia. – Gdy w 1933 roku wybrałam się na studia w Antwerpii, było tam sporo Polaków, istniała nawet Komenda Harcerstwa Polskiego, do której się zgłosiłam. Jeszcze w Antwerpii kupiłam motocykl i w czasie pobytu w Liège objeżdżałam na nim kolonie polskie, w których mieszkali górnicy; z gromadkami dzieci przyjechali tu z Niemiec. Uczyłam te dzieci, że są Polakami, muszą mówić po polsku, pomagałam im w nauce języka. Organizowałam zabawy i gry, o których dziś powiedziano by, że były atrakcyjne, a wówczas były typowe dla harcerskiego życia. To był ten skautowski haczyk, by z bardzo młodych ludzi mogli się wykluczyć w przyszłości mężni i dobrzy Polacy, tacy, którzy działają poza utartymi schematami”. W wolnych od zajęć harcerskich miesiącach zwiedzała na motocyklu Europę, od Antwerpii po Neapol; miała ze sobą mały namiot i nocować mogła w dowolnym miejscu. Przez trzy miesiące jeździła autostopem po Niemczech, żeby nauczyć się niemieckiego. „Zawsze opowiadałam kierowcom po drodze najróżniejsze fantastyczne historie o sobie, żeby rozmowa była cie-

kawsza. Wędrowałam też po górach. Ze szlaków i schronisk pozostali mi w pamięci smutni młodzi ludzie, którzy widząc krzyż skautowski przypięty do mojej bluzki, nierzadko zatrzymywali się, prosili dyskretnie na bok i w poufnej rozmowie zwracali się, że także byli skautami, zanim zmuszono ich do wstąpienia do Hitlerjugend”.

Po ostatnim letnim obozie ze swoimi belgijskimi zuchami wyruszyła do Anglii. Starła się o pracę w konsulacie polskim w Australii, była już przygotowana umowa, ale coraz częściej słyszało się o wojnie. Zamiast do Australii, ostatnim statkiem, jaki przepływał Kanał Kiloński, przepłynęła do Gdyni. I tu wsiadła na swój motocykl, by udać się do Warszawy. Był 27 sierpnia 1939 r.

► Druhá Komendantka

Zaraz po rozpoczęciu działań wojennych pobiegła do Komendy Harcerskiej na Łazienkowską i poprosiła o przydział. Gdy zobaczono tam jej dokumenty – niemieckie nazwisko, paszport z mnóstwem pieczętek, podejrzliwie na nią spojrzano. To samo było w Czerwonym Krzyżu. „Jak będziemy potrzebowali, damy znać” – usłyszała. „Zrozpaczona chodziłam po Warszawie z moją torbą sanitarną, którą nosiłam ze sobą na wszelki wypadek. Na rogu Poznańskiej i Nowogrodzkiej zobaczyłam porucznika i armatkę z obsługą. Wyglądał dość samotnie. »Panie poruczniku, może pan potrzebuje sanitariuszki?«. »Ach, bardzo chętnie» – odparł. Zbierał ludzi z rozbitych oddziałów, nie miał przydziału. Dostał się do Warszawy po rozbiciu oddziału w bitwie pod Bzurą. Znalazł gdzieś porzuconą armatkę i zaczął organizować oddział. Zostałam jego sanitariuszką. Jacyś państwo z tej dzielnicy właśnie się wyprowadzali i zostawili nam samochód. Okazało się, że z całej grupy tylko ja potrafię prowadzić. Pojechaliśmy do dowództwa. Porucznik zgłosił, że ma trzy działka z obsługą, sanitariuszkę, samochód i kierowcę – i wtedy dopiero go przyjęli do obrony Warszawy. W ten sposób udało mi się zaliczyć całą kampanię wrześniową”.

Po kapitulacji Warszawy zaczęła od razu zbierać dziewczyny ze swojej szkolnej drużyny, z „czternastki”, żeby organizować Sanitariat. Organizowały się błyskawicznie: Pogotowie Harcerskie, w przewidywaniu wojny, rozpoczęło przygotowanie do działalności wojskowej dużo wcześniej. W 1942 r. Zofia została komendantką Sanitariatu Harcerskiego Miasta Warszawy.

„Każda z nas musiała zdobyć przynajmniej dwie sprawności z czterech: sanitariuszki, łączniczki, opieki nad żołnierzem i opieki nad dzieckiem. Była też zawczasu przygotowywana organizacyjna sieć

wojenna. Oficjalna władza harcerska miała pewnego dnia zapaść się pod ziemię i pojawić się miała sieć nazwisk nikomu nie znanych. Jednym z ważnych punktów było przygotowanie do samodzielnego działania, poprzedzonego rozeznaniem sytuacji, bez czekania na rozkazy. Przy organizacji Sanitariatu Harcerskiego pracowałyśmy z Murką, Marią Kann, późniejszą znaną pisarką. Danuta Gawryłow-Janowska, nasza koleżanka, pracowała na Pawiaku. Przychodziła codziennie z miasta; przenosiła więzniom Komunię św. Dostarczała także grypsy i lekarstwa. I sama zabierała od nich grypsy. Nigdy jej nie zdekonspirowano. W lutym 1942 r. zostałam zastępczynią Murki jako kierowniczką Sanitariatu Harcerskiego. Wkrótce władze AK zarządziły, że będziemy włączone do Wojskowej Służby Kobiet WSK AK. Murka wtedy odeszła do pracy w Biuletynie Informacyjnym – pracując nadal w Żegocie. Referentką Sanitariatu WSK AK Warszawy była wówczas Maria Jasiukowiczowa, żona Stanisława Jasiukowicza, ministra w podziemnej Delegaturze Rządu i trzeciego zastępcy Delegata Rządu na Kraj, który został skazany w słynnym procesie Szesnastu i zmarł w moskiewskim więzieniu. Zostałam jej zastępczynią. W dalszym ciągu prowadziłam Sanitariat Harcerski. Wiele przeszkolonych przez nas dziewcząt szło do oddziałów bojowych, do »Parasola«, »Żółki«.

Moim oficjalnym miejscem zatrudnienia było biuro podróży, a potem, gdy mój brat Tadeusz rozkręcił swoją działalność, pracowałam w biurze przy jego warsztacie. Było to niewielkie przedsiębiorstwo robót elektrycznych przy ulicy Widok 8. Kiedyś przyjechali Niemcy, pytając, czy my »wspieramy« silniki. Brat i jego współpracownicy wykombinowali, że dobrze byłoby robić coś dla Niemców, bo wtedy będziemy mieć zaświadczenie, że »firma pracuje dla frontu wschodniego« i nikt z nas nie może być zatrzymany w łapankach. Niemcy nie pojawiali się w warsztacie. Myśmy wszystko pakowali i wysyłaliśmy do Wehrmachtu. Dzięki temu mogliśmy tu mieć czworo ukrywających się Żydów: dwóch inżynierów, robotnika i jeszcze jedną panią. Pracowali też u nas dwaj synowie Juliusza Kadena-Bandrowskiego. Mój brat, porucznik AK, ps. Żaba, prowadził w tym lokalu Podchorążówkę. Dostał polecenie zorganizowania Dywizjonu Motorowego obszaru Warszawy, podległego Komendzie Głównej AK. Szkolił w swoim warsztacie żołnierzy. Dom oficjalnie był własnością kolejarzy niemieckich, miał nawet niemiecki szyld. Wszyscy nasi inżynierowie i robotnicy należeli do tej samej jednostki AK”.

Tuż przed Powstaniem dostała przydział do Sześciu Sanitarnego Powstania płk. Henryka Lenka ps.

„Bakcyl” na kierowniczkę harcerskich Patroli Sanitarnych. Razem z Marią Jasiukowicz, Staszka Kacperską, Krystyną Zwolińską, Magdą Milewską-Jasińską, Zułą Lesisz-Szapiańską przeżyły Powstanie „w biegu”. Pełniły służbę wszędzie tam, gdzie trzeba było zorganizować pomoc dla żołnierzy Powstania i dla cywilów. Pomiędzy magazynami z materiałami sanitarnymi, barykadami, wejściami do kanałów, przy których czatowały na wychodzących rannych, szpitalami powstańczymi. Na szesnaście harcerzek z jej patrolu – osiem przeżyło.

Pewnego dnia jej harcerki znalazły w leju po bombie żywe niemowlę. Przybiegły do Zofii z pytaniem, co mają z nim zrobić? Dostały rozkaz nakarmienia go. Dziecko przeżyło, po wojnie harcerki odnalazły jego rodziców.

► Reduta Matki Boskiej

„Ktoregoś dnia dostałam wiadomość, że mój brat Tadeusz został ranny. Przypadkiem spotkany jego dowódca powiedział mi, że brat jest na Starym Mieście, na Długiej: była tam barykada zwana Redutą Matki Boskiej. Kiedy doszło do ewakuacji Starego Miasta, jednostka brata dostała rozkaz wyjścia jako ostatnia. W pewnym momencie pojawił się tam ktoś z rodziny Radziwiłłów – stosunkowo niedaleko znajdował się pałacyk Radziwiłłów. I kiedy już porozdawał wszystko, co mogło być żołnierzom potrzebne, wręczył jeszcze bratu buteleczkę bardzo dobrej wody kolońskiej. Brat machinalnie włożył ją do kieszeni bluzy. Kiedy bronił Reduty Matki Boskiej przed nacierającym czołgiem, dostał postrzał w nogę. Gdy schodził – jako ostatni – do kanału, już się bardzo źle czuł, oprócz ran miał popękane bębniaki uszne. W kanale zrobiło mu się słabo. I wtedy przypomniał sobie o tej wodzie kolońskiej. Alkohol wrócił mu siły. Jakoś doszedł do Śródmieścia. Zawsze potem powtarzał, że to dzięki wodzie kolońskiej księcia Radziwiłła, ale ja wiedziałam, że życie zawdzięczał Matce Boskiej”.

Kiedy powstańcy ze Starówki przechodzili kanałami, Zofia dyżurowała razem z koleżankami przy wyjściu z kanału na rogu Nowego Światu i Chmielnej. Ponieważ akurat odwołano ją do „Bakcyła”, koleżanki przybiegły do niej: „Chodź, znalazł się, ale jest bardzo poharatany...”. Przetransportowano go do szpitala na rogu Dobrej i Drewnianej. Kiedy Zofia dowiedziała się, że poraniony przeszedł kanałami ze Starówki, uświadomiła sobie, że dostanie też ca, jeżeli natychmiast nie otrzyma szczepionki. Z surowicą przeciwężcową obiegała wszystkie sale szpitala i znalazła go na ostatnim piętrze. Zapytała tylko: „Masz przeciwężcową?”.

Została w Warszawie do końca października. Powstańcy, zgodnie z protokołem kapitulacyjnym, uzyskali status kombatantów, służba sanitarna AK musiała wyjść z miasta. Do końca opiekować się rannymi i pomagać ludności cywilnej, która jeszcze pozostała w Warszawie, mogły tylko osoby z PCK. Oczywiście ustalenia przyjęte w czasie podpisywania aktu kapitulacji Powstania były regularnie łamane.

„Na moją i paru moich koleżanek z harcerstwa prośbę, nasz szef przepisał nas na listę PCK, formalnie byliśmy oddat Służbą Sanitarną Miasta Stołecznego Warszawy PCK. Zależało mi na tym, bo od 1942 roku byłam w kierownictwie harcerskiej służby sanitarnej i nie chciałam, żeby harcerki, które pozostawały w szpitalach, były pozbawione opieki. Było ich w mieście bardzo dużo, wiele z nich nie miało rodzin, nie miały dokąd wracać. Częste były wtedy okrucieństwa i gwałty popełniane przez Włascowców. Obeszłam te wszystkie szpitale, żeby nasze dziewczęta wiedziały, że ktoś o nich myśli, kogoś ich los obchodzi. Z ostatnim ewakuowanym szpitalem powstańczym, 24 października, wyjechałam z Warszawy”.

Konspiracja Zofii Schuch nie skończyła się po wojnie. Grono przedwojennych instruktorek harcerstwa postanowiło, że kto czuje się na siłach, powinien chronić młodzież, bo Organizację Harcerską będą przejmować komuniści. Ale to już inna opowieść. Harcerski duch – już poza oficjalnymi strukturami, w najbardziej niesprzyjających warunkach zewnętrznych – okazał się silniejszy niż wszystko, co w komunizmie ludzi dzieliło. Po latach do jej fotela w małym mieszkaniu na VI piętrze wieżowca – nie do łóżka, bo mimo zaawansowanej niesprawności nie pozwoliła sobie nigdy, by pozostawać w ciągu dnia w łóżku – pielgrzymowały tłumy. Nie dlatego, by ją pocieszyć, rozzerwać, osłodzić jej samotność. Po to, by samemu zostać pocieszonym, by się przekonać, że to nie siły fizyczne decydują o tym, że można być kimś naprawdę upragnionym i wciąż innym ludziom potrzebnym.

Uczyła francuskiego, tak jak żyła. Z prostotą i z ogromną fantazją zarazem. Ta przedstawicielka historycznej, zasłużonej dla Polski rodziny, nigdy niczego nie potrzebowała. Była zażenowana, gdy w maju 2007 r. prezydent RP Lech Kaczyński odznaczył ją Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski za zasługi dla niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej, za działalność kombatancą i społeczną. Mimo licznych wcześniejszych prób uhonorowania jej zawsze zdecydowanie protestowała. Uważała, że nic jej się nie należy. ■

Piotr Lisiewicz

„Powinszuj Zahorskiej doskonałego i miazdzącego artykułu o Miłoszu” – pisał poeta Jan Lechoń w liście do redaktora londyńskich „Wiadomości” Mieczysława Grydzewskiego z 24 marca 1952 r. „Uważam, że to jest postać mauriakowska, godna powieści – na takich właśnie skurwysynach wybili się dyktatorzy” – stwierdzał dalej. Kilkadziesiąt artykułów opublikowanych na wygnaniu krytykujących postawę Czesława Miłosza po tym, jak jako dyplomata komunistycznego państwa poprosił on w 1951 r. o azyl polityczny we Francji, to ważna i bardzo aktualna część dorobku publicystycznego „niezłomnej” emigracji. Dostrzegła ona i trafnie zdiaгноzowała zagrożenie, jakim jest usprawiedliwianie i tłumaczenie postawy inteligencji wobec komunizmu. Artykuł pisarki Stefanii Zahorskiej „Stachanowiec na wygnaniu” należał do najważniejszych, pokazujących, jak powstawał obecny do dziś świat inteligencji przekonanej, że „niemożliwe jest istnienie innego społeczeństwa niż tylko to, które stworzył stalinizm”.

Stefania Zahorska

Stachanowiec na wygnaniu

W całym wypracowaniu Miłosza nie ma ani jednego włókna, związanego z rzeczywistością życia w Polsce. Uderza właśnie najmocniej – obcość rzeczywistości. Ten Polak, półgębkiem tylko, w jednym zdaniu, wspomina o unicestwionej niepodległości swego kraju jako o „zagadnieniu spornym”.

„Wielka Pokusa, czyli dramat intelektualistów w demokracjach ludowych” – pod takim tytułem Czesław Miłosz ogłosił imaginacyjny wizerunek duchowego rozwoju intelektualisty w dzisiejszej Polsce. Ma to być obraz obiektywny, sama prawda. Miłosz nie wypowiada jakoby swojego sądu o sprawach, o których pisze. Z doboru faktów i przemilczeń, z tonu i słów wyłania się wszakże jego własna postawa, a może zamierzenie.

Pisarze, artyści, uczeni – pisze Miłosz – są w demokracjach ludowych nową arystokracją. Otacza się ich wszechstronną opieką, mają szeroki posłuch. Jeden tylko stawia im się warunek: mają służyć komunizmowi.

Warunek ten spełniają, gdyż służąc swojej władzy, czują po raz pierwszy w życiu, że są światu na coś potrzebni. W ustroju kapitalistycznym czuli się zbędni. Olbrzymia ich większość od dawna darzyła sympatiami

rewolucję, nie odmówiła przeto współpracy w dziele przebudowy, jaka dokonywała się w demokracjach ludowych, mimo że jej inicjatywa wyszła nie od ludności miejscowej, lecz od czerwonej armii, która przyniosła tym krajom wyzwolenie. Jedynymi wątpliwymi punktami w tej współpracy są sprawy niepodległości narodowej i doktryny stalinowskiej. Tutaj też objawia się cichy opór, podtrzymywany przez nastrój społeczeństwa.

Miłosz stwierdza: „Opanowanie intelektualistów daje klucz do rządzenia krajem”. Twórcy stają się narzędziem wykonawczym. Poprzez intelekt kształtuje się umysłowość dziecka, czytelnika prasy i książek, widza w teatrze. Stalinizm urzeczywistnia się poprzez intelektualistów. Jest bowiem „dyktaturą filozoficzną”.

Pozyskiwanie intelektualistów przez dyktaturę sowiecką odbywa się bez przymusu. „Nie trzeba sobie wy-

obrażać – wyjaśnia Miłosz – że w demokracjach ludowych ktokolwiek nakazuje intelektualistom w sposób konkretny by pisali, malowali czy prowadzili badania w jakimś określonym kierunku”. Na odwrót, sami intelektualści dojrzejają do poglądu, że powinni czynić właśnie to, czego władza od nich oczekuje. Istnieją na to różne sposoby. Na początku dawano wiele pieniędzy, nic w zamian nie żądając.

Dalsze stadium polega na dyskretnie objawionym życzeniu, by taki intelektualista, suto alimentowany, zechciał napisać jakiś potrzebny artykuł. Pisarz powiada sobie, że za tę cenę będzie mógł dalej spokojnie tworzyć swoją wiekopomną powieść czy zgola niebosięzny epos. A później rzecz posuwa się już automatycznie naprzód: po pierwszym artykule następuje drugi, trzeci i dziesiąty, aż wreszcie dopełnia się formuła Marxa: „byt określa świadomość”, w wersji Lenina.

Intelektualista poczyną rozumieć ważność swojego nowego pola pracy i dojrzuje do świadomego przyjęcia Nowej Wiary. Przeobrażenie to, będące owocem mądrości i życzliwej polityki wychowawczej, jest dogłębne. Pisarz tylko wtedy może „nadążyć” za rytmem życia, gdy umie odgadnąć natężenie i kierunek „zapotrzebowania społecznego”.

W Europie środkowej i wschodniej wojnę rozumie się jako walkę komunizmu z faszyzmem, w której faszyzm został pobity. Pozostaje więc komunizm. W Powstaniu Warszawskim Polacy próbowali wystąpienia samoistnego. Olbrzym rosyjski poczekał cierpliwie, aż polską muchę zgniecie olbrzym niemiecki, po czym położył na tym miejscu łapę. Intelektualiści wywnioskowali stąd – powiada Miłosz – że „armia czerwona działała jako narzędzie historii, jako potęgą bezosobową”, że powstaje „nowy świat ze stolicą w Moskwie”. W tym świecie „nie ma miejsca dla żadnej trzeciej siły”. Wszystkie małe państwa w Europie zachodniej będą pochłonięte [...]

„Nigdy dotąd – pisze Miłosz – nie drukowano klasyków w tak wielkich nakładach, jak w demokracjach ludowych, w zgodzie z założeniem że »proletariat jest dziedzicem ludzkości«. Stwarza to olbrzymie możliwości dla pisarzy współczesnych i otwiera drogę do mas, o której przed tym próżno było marzyć”.

„Okoliczność, że klasycy zostali udostępnieni masom i wywołanie w masach rzeczywistego zainteresowania zagadnieniami historycznymi i literackimi, jest poważnym argumentem na rzecz nowej religii świeckiej”. Co prawda pisarze ponoszą w zamian za te zdobyczne ofiary ze swojej swobody, ale godzą się na nią chętnie, pamiętając, jak bardzo byli przedtem osamotnieni. [...]

Upojeni pierwszymi oznakami euforii, towarzyszącej powrotowi do zdrowia, nie umieją już żyć bez doktryny, roztapiającej człowieka w społeczności. Po jakimś

czasie pisarz „nie umie już mówić i myśleć inaczej niż jego otoczenie”, zaczyna wierzyć, że „niemożliwe jest istnienie innego społeczeństwa niż tylko to, które stworzył stalinizm” [...]

Powstaje pytanie, czy pełnienie roli „klucza do rządzenia krajem” jest uczciwe i czy jest aktem „lojalności wobec narodu”. Miłosz nie rozważa wcale tego zagadnienia. Ma je zastąpić rozumowana historia duchowych przeobrażeń „intelektualisty”. [...] Miłosz jest na pozór tylko obserwatorem, a nie chwalcą, ale sugeruje ocenę, która wypadać musi dodatkowo. Robi to umiejętnie.

Sposób ujęcia tych spraw u Miłosza bardzo niewiele odbiega od urzędowej wersji sowieckiej. Wersja ta mówi: lud w porywie ku wolności zerwał kajdany i buduje nowe szczęśliwe życie. Twórczość duchowa na swoich frontach towarzyszy ludowi w jego walce, jak Tytzeusz podnieca do boju i wieńczy skronie zwycięzców. A Miłosz dopowiada: bo nie może być inaczej, bo twórcy „zawsze byli postępowi”, bo jest im teraz lepiej niż kiedykolwiek przedtem, a „konieczność historyczna” przejęła ich „nową wiarę”. A także dlatego, że chcą „zachować związek z rzeczywistością”. Ten motyw jest chyba najbardziej beceremonialny. Jak w wypowiedziach urzędowych sowieckich, tak w całym wypracowaniu Miłosza nie ma ani jednego włókna, związanego z rzeczywistością życia w Polsce. Uderza właśnie najmocniej – obcość rzeczywistości. Ten Polak, półgębkiem tylko, w jednym zdaniu, wspomina o unicestwionej niepodległości swego kraju jako o „zagadnieniu spornym”. Nie wspomina ani słowem o aneksji przez Rosję połowy jego ojczyzny. Mówi o „rewolucji biurokratycznej” w Polsce, opartej na armii czerwonej, pochwalając „upamiętnienie przemysłu i reformę rolną”, ale nie mówi, że Polskę siłą włączono do sowieckiego systemu gospodarczego. Włączenie Polski do sowieckiego systemu politycznego ogląda z oddali jako jeden z objawów „konieczności historycznej”. Gdy pisze o „Wschodzie”, ma także na myśli Polskę. Sprawę bytu i niebytu swojego narodu rozpatruje niejako ze stanowiska zawodowego, uwzględniając korzyści i kłopoty zawodowców intelektualnych w nowej sytuacji. Jest tak bardzo intelektualistą, że rzeczywistość, o której mówi, nie obejmuje prawdziwego życia ludzi w Polsce pod okupacją sowiecką, głodu, niedostatku, okropnych warunków pracy, strachu, terroru sądowego, więzień, obozów i zsyłek. Jak we wszelkim „sorealizmie” propagandowym po obu stronach żelaznej zasłony, także u Miłosza to wszystko nie istnieje. Miłosz jest właściwie stachanowcem, który nie wiadomo dlaczego uciekł od szczęśliwego życia. ■

Przedruk za: „Wiadomości”, Londyn, 16.03.1952 r.



Sylwia Krasnodębska

Striptiz w domu pogrzebowym

„Umarłe miasto” Mariusza Trelińskiego wystawione w czerwcu w Operze Narodowej w Warszawie to pokaz cyklopowej siły reżysera i szaleństwo wyobraźni, której nie okiełznają żadne ograniczenia, a już na pewno nie te, które narzuca operowa scena.





Sen miesza się z jawą. Żaloba z pożądaniem. Życie ze śmiercią. Ten metaforyczny przekaz „Miasta umarłych”, którego moc ukryta może być tylko między wierszami libretta, w przedstawieniu Trelińskiego nabiera cech wręcz namacalnych. Reżyser udowadnia, że opera to magia, a świadczy o tym konsternacja widza po spektaklu i niepokojące pytanie zajmujące myśli – czy ten spektakl wydarzył się naprawdę?

► Żaloba kontra pożądanie

Jakież tragiczny jest los małżonka w żałobie, który niepokodzony ze śmiercią ukochanej wyczekuje jej powrotu, a jego codzienność skupia się wokół miejsc, w których kobieta zostawiła ślady swojej obecności. Jacek Laszczkowski w roli Paula prezentuje spektrum bolesnych emocji, szarpających duszą bohatera. Jego dramat okaże się jednak jedynie dobrym podłożem do dalszych tragicznych wydarzeń. Oto w progu jego opustoszałej posiadłości, przypominającej panującym w niej klimatem dom pogrzebowy, staje tancerka. Wydarzenie to nie zrobiłoby zapewne wrażenia na pogrążonym w żałobie Paulu, gdyby nie fakt, że kobieta jest ludzko podobna do nieboszczki. Pragnienia wdowca jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaczynają koncentrować się na pętnej Mariette. Desperacja mężczyzny pozwala mu uwierzyć, że kobieta jest jego ukochaną żoną Marie. Wytęskniony i opętany wręcz miłością zaczyna pragnąć tancerki Mariette. Pełna życia młoda kobieta szybko orientuje się, że jej adorator poszukuje w jej ciele wyłącznie podobieństw do nieboszczki. To uruchamia w niej wiele emocji. Ale również chęć zabawy w zakrawającą o psychodelię grę z Paulem. Pozornie banalny rekwizyt – peruka z włosami zmarłej, stanie się symbolem miłości i nienawiści, anioła i diabła, dobra i zła. Nawet nie znając tekstu przedstawienia, wiadomo, że ta historia nie może skończyć się dobrze. Że gorące uczucia, które zdominują życie kochanków, nakarmią jednocześnie bestię, która wykończy oboje. Tragedia bohaterów będzie odmieniana przez wszelkie przypadki, a Treliński nie pozostawi nawet cienia nadziei na happy end. Na domiar złego Paul i Mariette będą się wciąż czuli jak pod czujnym okiem nieboszczki. Pokazanie takich nieoczywistych treści w sposób niebanalny, subtelny i wymowny zarazem jest prawdziwą sztuką. I Treliński z gracją przez tę wysoko zawieszoną poprzeczkę przeskakuje. Zdumiewa, fascynuje i przeraża. A przede wszystkim angażuje i nie pozwala widzowi na obojętność.

fot. Agnieszka Hueckel



► Szarża w operze

Napięcie zbudowane między bohaterami odczuwalne jest z równą siłą na widowni. Zabójcze momentami tempo akcji zakrawa o dezynwolturę, a odwaga w realizacji pomysłów scenicznych przypomina chwilami szarżę, a nie prowadzenie teatralnej opowieści. Każda decyzja reżysera, nawet najbardziej kontrowersyjna, jak prezentacja grupy atrakcyjnych i ekstrawagancko ubranych tancerek, jest w pełni uzasadniona i przemyślana. To zwyczajnie widać, słyszać i czuć. Ruchoma scena Opery Narodowej w Warszawie zdaje się eksploatowana do granic technicznych możliwości. Chciałoby się napisać, że pieczołowicie zbudowana scenografia zapiera dech w piersiach. Ale to za mało powiedziane. Trudno bowiem uwierzyć, że ciężka konstrukcja tworząca scenografię niezauważalnie wciąż ewoluuje. Dzięki czemu bohaterowie w okamgnieniu przenoszą się z domu pogrzebowego do domu uciech, przez wygodny salon po niebezpieczne zaułki. No i scenografia idealnie współgra z losami postaci. Ich życie staje się morderczym labiryntem jak z horroru. I dokładnie taki też labirynt zbudował scenograf. Kreacje aktorskie, poza głównymi bohaterami, są niezaprzeczalnym dowodem na filmowe pasje Trelińskiego. Chciałoby się napisać, że Treliński czerpał z największych światowych twórców filmów grozy. Ale tak naprawdę oni również mogliby czerpać z opery „Umarłe miasto” w jego interpretacji.

► Opera czyjego narodu

Trelińskiemu zarzuca się, że angażuje do swych spektakli obsadę międzynarodową, ignorując tym samym rodzimych artystów, którzy w niczym przecież nie muszą ustępować światowcom. Nie inaczej jest w „Umarłym mieście”. Kierownictwo muzyczne objął Lothar Koenigs, niemiecki dyrygent, wieloletni dyrektor muzyczny Walijskiej Opery Narodowej. Scenografię zbudował zaufany współpracownik Trelińskiego, Słowak Boris Kudlička, a spektakl powstał w koprodukcji z brukselskim Théâtre de la Monnaie/de Munt. Marie i Mariette gra Niemka Marlis Petersen, dyrygentem jest również Niemiec Lothar Koenigs. Prawo swobodnego doboru współpracowników przez reżysera jest oczywiście niezaprzeczalnie szalenie ważne i kluczowe dla efektów pracy. Ale Treliński, pełniący jednocześnie funkcję dyrektora artystycznego Opery Narodowej, odpowiada z funkcji za promocję polskiej kultury i polskich artystów. A wiele moglibyśmy na zmianie podejścia reżysera zyskać. Jego opery wystawiane są przecież na całym świecie. We wrześniu 2016 r. jego dzieło „Tristan i Izolda”, recenzowane na łamach „Nowego Państwa” rok temu, otwierało sezon w Metropolitan Opera.

Następną operę „Umarłe miasto” w reżyserii Mariusza Trelińskiego będzie można zobaczyć 22 i 24 września w Lublinie. Będzie to pierwsza opera wystawiona w nowym gmachu Centrum Spotkania Kultur. ■

foto: Magda Huczel

Jakub Kozłowski

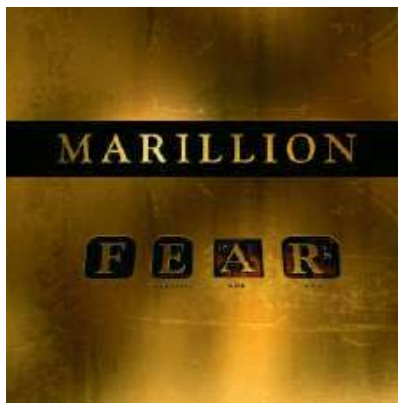
Twórczość zaangażowana

Zawsze uważałem się za fana Marillion. I nie zmieniło tego nadejście ery Stevena Hogartha. Przyznaję jednak, że do płyt z nim nagranych wracam dużo rzadziej, ale nie oznacza to, że ich nie cenię. Tyle że w większym stopniu zdaję sobie sprawę z ich muzycznej wartości, niż namacalnie je odczuwam. Zbyt wiele w katalogu Marillion pojawiło się chybionych pomysłów, nietrafionych poszukiwań czy stylistycznych wycieczek. Pod wodzą Hogartha zespół na pewno się rozwijał, ale kierunek tego rozwoju nie zawsze pokrywał się z moimi muzycznymi preferencjami. Nigdy nie zrozumiałem jednak ludzi, którzy apriorycznie odmawiają Hogarthowi jakiegokolwiek pozytywnego wpływu na artystyczną progresję Marillion. U podstaw albumu „Fuck Everybody And Run” leżą niepokój i złość. Polityczne, ekologiczne i społeczne zmiany – bezwzględna „weltpolitik” sprowadzająca jednostki do roli trybiku, świat magnatów finansowych i rozbieżności społecznych. Przecucie nadszarpniętej zmiany. „Wielkie problemy” i „ważne zagadnienia” – o tym Marillion chciał stworzyć muzykę, przed tym ostrzega wszystkich, którzy poświęcą 68 minut na obcowanie z albumem. Nieuczciwe byłoby jednak sprowadzenie konceptu płyty do moralizatorskiego odprysku powiązanego z obecnym kryzysem europejskim. Zespół bowiem nie stara się przekonać do własnej wizji świata. Marillion co najwyżej ostrzega. Robi to w doskonałej suicie „El Dorado” oraz w skomplikowanym aranżacyjnie, odrobinę zbyt oskarżycielskim „New Kings”. Marillion odnosi się również do zagadnień alienacji, odrzucenia i samotności w „Leavers”. Co ciekawe, utwór ten mógłby zostać powiązany z Brexitem,

ale nie taki był zamiar zespołu, o czym wspominał zresztą sam Hogarth. A jednak każdym dźwiękiem, każdą nutą Brytyjczycy starają się wyculić współczesnych „obywateli świata” na problem relatywizacji dobra i zła, zasad i chaosu. Zwracają uwagę na stojące w opozycji do siebie pojęcia strachu i miłości oraz walkę między nimi, która obecnie, bardziej niż kiedykolwiek, nie jest ani oczywista, ani moralnie jednoznaczna. Swoje artystyczne cele Marillion stara się jednak osiągać nienachalnie, swoje racje ubiera w senne akordy i prezentuje w sposób, który raczej skłania do za-

dumy niż czynnego oporu. Na najnowszym albumie Marillion każdy, kto zechce poszukać, odnajdzie bez wątpienia fragmenty genialne i przepelnione emocjami. Wystarczy wspomnieć „FEAR”, „Living in Fear” czy całe „Leavers”. Nie oznacza to jednak, że z równą uwagą wysłuchamy całej płyty. W przepięknie rozbudowanych kompozycjach znajdują się, niestety, fragmenty mniej przekonujące (kawałki „El Dorado”) bądź – jak utwór „White Paper” – po prostu nieudane. Nie można jednak zespołowi odmówić konsekwencji i, co warto podkreślić, odwagi. Niewiele współczesnych muzyków zdecydowałoby się nagrać tak trudny album. Niewiele jest już bowiem osób,

które poświęcą 68 minut swojego życia na spokojne zanurzenie się w tak wymagającej i nieprzebojowej twórczości. Marillion wyzbyty jest już jednak uwarunkowań rządzących biznesowym aspektem funkcjonowania muzycznej sceny, może więc robić, co chce. I robi to z niesłabnącą elokwencją i urokiem. Albumu „F.E.A.R.” nie da się sprowadzić do kilku chwytliwych singli i stanowi to jego największą zaletę. Nie jest to płyta łatwa, ale nie miała taką być. ■



Marillion „F.E.A.R.”, 2016 r.



Krzysztof Karnkowski

Od „Wołynia” do Opola

Jednym z odprysków politycznego zamieszania, jakie część artystów, wspierana przez media i prezydenta miasta, wywołała w sprawie tegorocznego festiwalu w Opolu, był skandal wokół wycofanej z niedosłęgo koncertu premier piosenki zespołu Dr Misio „Pismo”. Poszło o teledysk – jak ujęto w piśmie z decyzją o jego wyrzuceniu z konkursu – „nieemisyjny”.



Pisma” faktycznie trudno bronić, zwłaszcza w kontekście nadawania go przez telewizję publiczną. Teledysk oparty został na najgorszych, antykościelnych stereotypach, widzimy w nim luksusy, alkohol i, delikatnie mówiąc, brak powołania wśród granych przez muzyków i aktorów kapłanów. O ile sam tekst utworu nie przekracza granicy artystycznej krytyki i zdrowego rozsądku, będąc zresztą gorzkim głosem o zagubieniu ideałów przez ludzi, którzy mają wobec świata pewne powinności (dostaje się również współczesnym muzykom czy raczej twórcom piosenek), teledysk jest już biciem pałką po głowie nie tylko Kościoła, lecz także widza.

► Poza szufladą

Za klip do „Pisma” odpowiada Wojciech Smarzowski, zespołem Dr Misio kieruje zaś Arek Jakubik, znany z wielu ról u reżysera, ostatnio widzieliśmy go w „Wołyń” i telewizyjnej miniaturze „Ksiądz”. „Ksiądz”, wbrew temu, czego można by się spodziewać po teledysku duetu Smarzowski/Jakubik, nie jest dziełem wprost antyklerykalnym (choć część widzów, uzbrojona w wypowiedzi samego reżysera, widzi w nim jednak głos na temat pedofilii w Kościele), a krótką, mroczną i niedopowiedzianą historią kapłana, który w wyniku awarii auta trafia do hotelu ni to z Barei, ni to z Lyncha. I choć bohaterem mógłby równie dobrze być urzędnik w delegacji, wielkiego skandalu tu jednak nie ma. Teledysk nie jest więc w żaden sposób związany z filmem, choć tu i tu Arkadiusz Jakubik występuje w podobnej roli. Jednak część osób, które mają świadomość, że za wizualną stronę „Pisma” odpowiada Smarzowski, poczuła się zawiedziona, przypisując tego twórcę już na zawsze do filmu „Wołyń” i – w ich mniemaniu – narracji patriotycznej. W kilku wywiadach wpisał się w nią również Jakubik, opowiadający o własnym zainteresowaniu historią, które przyszło wraz z pracą nad historycznym dramatem Smarzowskiego.

Problem w tym, że Wojciech Smarzowski nigdy nie stawiał się po konserwatywnej stronie politycznego sporu w Polsce, w związku z tym rozczarowane dziś tym faktem osoby stały się takimi na własne życzenie. Film taki jak „Wołyń” był niewątpliwie potrzebny, nasza dramatyczna historia o podobny obraz wręcz krzyczała. Smarzowski – jako specjalista od ukazowania najstraszniejszych ludzkich losów czy zachowań, portrecista świata strasznego, ponurego i obrzydliwego – najlepiej z polskich twórców się do tego

tematu nadawał. Zapomniany dziś debiut reżysera – „Małżowina” z 1998 r., opowieść o pisarzu (w tej roli Marcin Świetlicki), który trafia w świat najgorszego lumpenproletariatu, „ludzi, którzy jedzą psy”, jak mówi o nich główny bohater – to film, z którego wychodziła festiwalowa publiczność. Pomimo udziału kilku gwiazd (Muniek Staszczyk, Maciej Maleńczuk) film pozostał mało znany i nie broni się po latach. Znaczące, że nie wrócił jako obraz kulturowy na fali popularności kolejnych dzieł reżysera.

Późniejsze o sześć lat „Wesele” to już manifest niechęci do ludzi, a przy tym całkiem trafiona, choć podana w trudnej do zniesienia dawce satyryczna obserwacja zepsutej do cna prowincji, dla której nie ma już, może poza młodszymi bohaterami, nadziei. Nie ma jej również w „Domu złym”, gdzie znów widzimy koszmarną prowincję, tym razem cofając się jednak do czasów PRL. „Wesele” było bezkompromisową farsą, której niektóre sceny mogły razić uczucia wielu osób (mogłiśmy zobaczyć na przykład wykonywaną przez chór kompletnie pijanych biesiadników „Rotę”), „Dom zły” to natomiast przytłaczający dramat kryminalny. Wreszcie „Róża”, chyba pierwszy film Smarzowskiego doceniony przez krytykę, pokazująca miłość, wplecioną jednak w ten sam koszmar, tym razem umiejscowiony w czasach stalinowskich i przemierzany z dramatem przesiedleń i losem tych, dla których nagle zabrakło, z różnych powodów, miejsca – AK-owców i Mazurów. Niewątpliwie poruszający, dobrze zrobiony i szarpący emocjami widza. A przy tym bardzo antykomunistyczny w swoim sposobie ukazania pierwszych lat Polski Ludowej, państwa bezprawia, próbującego, często skutecznie, swoich obywateli po prostu zmiażdżyć. Tu nie było niuansowania i szukania usprawiedliwień, moralnych rozterek prześladowców, była zdziczala, okrutna władza bandytów. Czasem mówiących po polsku, czasem po rosyjsku.

► Niedoceniona „Drogówka”

W „Różę” oglądaliśmy, choć nie jako głównego, zbiorowego bohatera, bezpieczeńkę: w „Domu złym” PRL-owską milicję; w „Drogówce” zaś – policję III RP. Po sukcesie „Róży” „Drogówka” była filmem wyczekiwany i, moim zdaniem, oczekiwania spełniła, stawiając Smarzowskiego w pozycji mocnego kandydata do tytułu najlepszego polskiego reżysera średniego pokolenia. I, w odróżnieniu od „Wołyń”, obrazem zbierającym raczej złe recenzje w prasie prawicowej – skupiono

się na ukazaniu policjantów przez pryzmat nalogów, korupcji i uzależnień. Agresywny rasista, erotoman i cała masa alkoholików przesłanili dziennikarzom fakt, że w tle Smarzowski ukazał potężną aferę korupcyjną, związaną z budową autostrad przed Euro 2012. Polityków robiących interesy i balujących w „ciekawych” miejscach i okolicznościach. Policjantów tuszujących przestępstwa największych i korzystających z nich dla własnych interesów, a gnębiących i wykorzystujących słabych. Ich zwierzchników blokujących interwencje, gdy w grę wchodzi pijany jak świnia poseł lub kierowca busa wiozący prostytutkę na imprezę z politykami partii rządzącej. W zalewie pokazanej obrzydliwości umknął też fakt, że Smarzowski tym razem znalazł w sobie cień sympatii do bohaterów, pozwolił im wykażać również dobre cechy i zostawił im, mimo bardzo ponurego zakończenia, jakąś nadzieję. Z „Drogówki” wyszedłem zdruzgotany, a przy tym z poczuciem, że

praktycznie nikogo, z kim można by się utożsamić, bo z kim? Z główną, niestabilną emocjonalnie bohaterką? Jej mężem, który kupił ją jak krowę na targu, za co los wynagrodzi go przerwana śmiercią, a uzasadnioną przecież z powodu niepewności co do ojcostwa noszonego przez nią dziecka? Jej ojcem, pragmatycznym i dbającym o rodzinę antysemitą? Z dobrymi Ukraińcami? Z których obecności nie czynię zarzutu, bo wiem ze znanych mi świadectw, że i takich nie zabrakło. Pozostali Ukraińcy to potwory lub oportuniści, Rosjanie w tej układance są kolejnymi złymi, zaś Niemcy, jeśli nie jest się akurat Żydem, robią właściwie za dobrych – co też oczywiście ma swoje uzasadnienie w tym konkretnym czasie i miejscu, niemniej brakuje tu dobrych i normalnych Polaków. A przecież Smarzowskiemu we wcześniejszych filmach kilku takich, mimo zła i brzydoty jego świata, się trafiło. Jeśli więc ktoś zobaczy tu film nie polski, a antypolski, cyniczne wykorzy-

WOJCIECH SMARZOWSKI NIGDY NIE STAWIAŁ SIĘ PO KONSERWATYWNEJ STRONIE POLITYCZNEGO SPORU W POLSCE.

obejrzałem film zrealizowany bez zarzutu i, co umknęło zarówno konserwatystom, jak i dystrybuującej film „Agorze”, ukazujący III RP o wiele ostrzej niż „Układ zamknięty” Bugajskiego.

► Zgrzyt „Wołyńa”

Potem był jeszcze oparty na prozie Pilcha film „Pod mocnym aniołem” i wreszcie „Wołyń”, dla wielu chyba pierwszy kontakt z kinem tego reżysera, co tłumaczyłoby późniejsze nieporozumienia. „Wołyń”, który można uznać zarówno za bardzo polski, bo przecież pokazujący ranę, o której mieliśmy zapomnieć, lecz także dla Polaków tak naprawdę bezlitosny. Bo choć w tym filmie jesteśmy ofiarami, to przecież polscy bohaterowie, choć budzą współczucie i na swój los nie zasługują, nie są postaciami kryształowymi ze szlacheckich sielanek – piją (jak wszyscy), nienawidzą się nawzajem, są chciwi i nawet swoje dzieci sprzedają, a żony kupują. Od Ukraińców, swoich katów, są lepsi, ale tylko trochę. Na bieżąco, tuż po obejrzeniu „Wołyńa”, zanotowałem: „Nie ma tu

stanie pewnej koniunktury, to ja się z nim nie zgodzę, ale rozumiem taką interpretację”.

Smarzowski znalazł dla siebie temat i po swoim go pokazał, trafiając w odpowiedni moment i potrzeby wielu osób, ale czy kierowały nim pobudki patriotyczne? Myślę, że wyszukał raczej kolejny fragment historii, który czekał, aż on pokaże go widzom po swojemu i tak też uczynił. Po czym poszedł w innym kierunku, kręcąc „Księdza” i teledysk, który stał się pretekstem do napisania tego tekstu. Wystawienie takiego klipu do telewizyjnego konkursu było prowokacją, jeśli nie polityczną, to na pewno artystyczną. Być może Smarzowski, który przecież dzięki TVP dokończył „Wołyń”, pokazać chciał, że nie jest twórcą, na którego teraz już dzisiejsza władza może liczyć, i zrobił to, niestety, w sposób tani, mało oryginalny i stereotypowy. Tak samo jednak, jak nie należało wcześniej przyjmować artysty bezkrytycznie, tak dziś nie należy go skreślać, ponieważ idąc własną drogą, zapewne nieraz jeszcze pokaże rzeczy, które inni przedstawiać się boją, a które prezentować trzeba. ■



Piotr Hofman

Aparthotel – inwestycja i własne wakacyjne miejsce

Pzed nami wakacje, czas wytchnienia, ale i wolnej chwili na analizę dotychczasowych działań oraz weryfikację planów. W biznesie to dla wielu taki właśnie moment, choć akurat branża turystyczna to teraz zaczyna żniwa i realizuje założone wcześniej plany i zyski. Często przyjeżdżając do nowego miejsca lub do takiego, w które z sentymentem jeździmy od wielu lat, zastanawiamy się, jak dobrze byłoby mieć tam swoje wakacyjne lokum. Chcielibyśmy zatrzymać się u siebie i nie być uzależnionym od dostępności miejsc hotelowych czy stawać przed koniecznością zapłaty wygórowanych cen w szczycie sezonu. Od dobrych kilku lat dynamicznie rozwija się w Polsce rynek apartotelu i condo hotelu. Czym się różnią te pojęcia i jak zrozumieć taki model inwestycji z opcją wypoczynku w swoim apartamencie hotelowym? Zasadniczo mamy do czynienia z dwoma różnymi rodzajami inwestycji w nieruchomości typu hotelowego. Condo hotel to obiekt typowo hotelowy, w którym indywidualni inwestorzy mogą mieć swój udział w częściach całej nieruchomości. Jesteśmy wówczas współwłaścicielami hotelu i całej jego infrastruktury, w udziale zależnym od zainwestowanej sumy. Kwota ta często ustalana jest na pewnym minimalnym poziomie i może być zwielokrotniona. Czerpiemy zyski z przychodów osiąganych przez profesjonalnego operatora obiektu, w odpowiednich należnych nam proporcjach. W tej formule nie jest raczej możliwe korzystanie ze swojego apartamentu hotelowego, bowiem jesteśmy współwłaścicielami całości budynku. Natomiast apartotel to obiekt bardziej zbliżony w swojej formule do klasycznego budynku mieszkalnego. W tym przypadku mamy do czynienia z możliwością kupna całego apartamentu. W takim modelu inwestycyjnym niezbędna jest zdecydowanie wyższa kwota. Konieczny jest zakup całej jednostki apartamentowej. Indywidualni właściciele apartamentów podpisują umowę oddania lokum na wynajem i zarządzania nim z firmą operatorską. Ta z kolei prowadzi cały proces zarządzania, marketingu i reklamy oraz rozliczania kosztów i przychodów uzyskiwanych z wynajmu powierzonych jej apartamentów hotelowych. Właściciele uzyskują przychody z tytułu wynajmu za pośrednictwem sprawnie działają-

cego operatora. W tym modelu stałą praktyką jest zastrzeżenie w umowie z operatorem, iż właściciel ma prawo korzystać ze swojego apartamentu w określonej liczbie dni w roku. Powstaje nam wówczas połączenie inwestycji w atrakcyjną nieruchomość wakacyjną z możliwością korzystania z niej na własne potrzeby. Czyli mamy swoje ulubione miejsce na urlop i produkt inwestycyjny oparty na inwestycji w nieruchomości. Każdy z obu modeli ma swoje zalety i wady, oczywiście wszystko zależy od indywidualnych potrzeb i możliwości finansowych. Dzisiaj w Polsce najbardziej rozwinęły się dwa ośrodki, w których mamy największą liczbę apart- i condo hoteli – Kołobrzeg i Zakopane. Obie miejscowości to znane kurorty i praktycznie całoroczne miejsca wypoczynku. Od kilku lat w wielu innych polskich miastach powstają podobne inwestycje. To m.in. efekt większej atrakcyjności wakacji spędzanych w kraju. Z roku na rok zwiększają się też liczby zagranicznych turystów odwiedzających Polskę. Ponadto kapitał znajdujący się dzisiaj na niskoprocentowanych lokatach bankowych poszukuje alternatywnych obszarów do inwestowania. Nieruchomości są stabilną i w miarę bezpieczną przystanią dla nadwyżek finansowych. Podsumowując, apart- i condo hotele to bardzo ciekawa formuła inwestycji opartych na nieruchomościach. Zyski dzisiaj oferowane na rynku to średnio 7 proc. *per annum*. Bardzo ważne są wiarygodność, doświadczenie i rozpoznawalna marka operatora hotelowego, któremu powierzymy nasze finanse lub oddamy apartament. Jeżeli mamy możliwości finansowe, to może warto podczas tegorocznych wakacji odwiedzić jakiś apartotel w naszej turystycznej destynacji i zastanowić się nad taką możliwością inwestycyjną. Życzę wszystkim w imieniu swoim i Rady Gospodarczej wspólnych i twórczych wakacji. Pamiętajmy, że wszystkie podróże kształcą. ■

Rada  Gospodarcza
STREFY WOLNEGO SŁOWA



Spider-Man na planecie małych



Sylwia Krasnodębska

Śmietanka Hollywood, jeden superbohater i dwie polskie premiery. Na kino zawsze jest dobry czas, a gwiazdy filmu w wakacje odpoczywają.

Wte wakacje czekają nas dwie polskie premiery. Pierwsza to dzieło znanego reżysera, który przyciągnął na plan znane nazwiska. Druga wręcz przeciwnie.

„Volta” Juliusza Machulskiego ma być kryminałem o zabarwieniu komediowym. Grupa szalonych bohaterów filmu będzie miała chrapkę na dość niebagatelny skarb. Odnalezioną przypadkiem w tajemnej skrytce koronę Kazimierza Wielkiego! Pojawia się zabawne intryki i dobry humor. Oraz plejada polskich gwiazd: Olga Bołądź, Andrzej Zieliński, Aleksandra Domańska, Michał Żurawski, Jacek Braciak, Cezary Pazura, Joanna Szczepkowska i Krzysztof Stelmaszyk. Premiera 7 lipca! W kolejnym polskim filmie wakacji wspomniany będzie już nie król, a królewicz. Reżyser

siac temu 21 lat. Planując kino na wakacje, warto zobaczyć „Dunkierkę”. W dramacie Christophera Nolana gra Tom Hardy. To wystarczające argumenty, by kupić bilet 21 lipca. Tydzień później kinami zawładną małpy. „Wojna o planetę małp” to kolejna z serii opowieść o trudnej relacji między dobrymi małpami a złymi ludźmi. I znów będzie to coś więcej niż kłótnia przy obiedzie. Konflikt okaże się tak głęboki, że zagrozi istnieniu człowieka na planecie. Również 28 sierpnia odbędzie się premiera „Atomic Blonde”. To dramat skierowany nie tylko do miłośników przepięknej Charlize Theron. Pikanterii dodaje fakt, że akcja dzieje się w Berlinie w czasie zimnej wojny.

Trochę fantastyki zafunduje nam Luc Besson. W jego filmie „Valerian i miasto tysiąca planet”

PLANUJĄC KINO NA WAKACJE, WARTO ZOBACZYĆ „DUNKIERKĘ”.

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ KINAMI ZAWŁADNĄ MAŁPY. TROCHĘ FANTASTYKI ZAFUNDUJE NAM LUC BESSON. FINAŁ WAKACJI PRZEJMIE TOM CRUISE.

Kuba Czekaj przygotował fabułę „Królewicz Olch”, o którym wiemy niewiele. „Wybitnie utalentowany czternastolatek rozpoczyna naukę fizyki na uniwersytecie. Pracuje nad teorią światów równoległych, których łącznikiem – jak z początku sądzi – jest światło”. To opis dystrybutora filmu. Zwiastun w ogóle nie oddaje nawet skrawka tego opisu, ale przygotowuje nas na eksperymentalne kino w teledyskowej formie. Oby Kuba Czekaj nie powielił błędów kolegów z branży, stawiając formę nad treścią. Przekonamy się 18 sierpnia.

Przygody Petera Parkera przyciągną tłumy widzów 14 lipca. Bo oto Spider-Man (Tom Holland) znów spotka na swojej drodze groźnego wroga (w tej roli Michael Keaton), który będzie chciał mu odebrać wszystko co najcenniejsze. Ten Spider-Man to nigdy nie ma wakacji. Ciekawostka, grający Spider-Mana Tom Holland skończył mie-

w role kosmicznych agentów wcielił się Dane DeHaan i Cara Delevingne. Duet ma utrzymać porządek na terenach zamieszkiwanych przez ludzi. Jak nietrudno się domyślić, coś pójdzie nie tak. Jak w każdej opowieści osadzonej w pozornie spokojnym kosmosie. Premiera 4 sierpnia. Tydzień później premiera „Mrocznej wieży”. Będzie to adaptacja sagi Stephena Kinga. Nie zabraknie więc mutantów, demonów i wampirów. A na widowni zapewne popcornu. Finał wakacji przejmie Tom Cruise. 25 sierpnia na ekrany polskich kin wejdzie „Barry Seal: Król przemytu”. W opowieści inspirowanej prawdziwymi wydarzeniami poznamy Barry’ego Seala, niezwykłego mężczyznę, który był umocowany w CIA równie silnie jak w kartelach narkotykowych. Czy miał jakieś misje niemożliwe? Z pewnością niejedną. Dlatego casting wygrał Cruise. Tom Cruise. ■



Krzysztof Kamkowski

Koreańczycy i rekiny

Poprzedni numer „Nowego Państwa” w części poświęcony został handlowi żywym towarem. Co ciekawe, światowym centrum tego koszmaru jest Azja. Znajduje to również odbicie w azjatyckiej kulturze i twórczości filmowej, w tym w przybliżanej przeze mnie na łamach „NP” kinematografii koreańskiej.

Szczególną rolę w kinie koreańskim, być może z racji drastyczności mogącej inspirować również autorów thrillerów czy horrorów, odgrywa jeden z elementów handlu żywym towarem, mianowicie handel ludzkimi organami, połączony z porwaniami, morderstwami i wykorzystywaniem ludzkiej biedy, desperacji i naiwności. Znaczenie ma też na pewno fakt, że o ile u nas historie o handlu organami funkcjonują raczej na zasadzie miejskich legend (inaczej sprawa wygląda z handlem kobietami), o tyle w Korei jest to coś o wiele bliższego życiu i lękom zwykłego człowieka z powodu związków handlarzy, mafii i lichwiarzy. Lichwa, będąca tam wielkim problemem społecznym, często stawia ludzi w sytuacji poważniejszej niż znana z naszych realiów pętla kredytowa. A gdy miejscowi loan sharks nie mają już widoków na odzyskanie pieniędzy i bandyckich odsetek, potrafią zdecydować się na taką formę ścigania należności.

► Walka o życie

Rekinów pożyczkowego podziemia spotkamy w prawie każdym filmie czy serialu, co pokazuje, jak potężna jest skala

przemysłu, decydujących się na udział w porwaniu i zamordowaniu na organy młodej żony agenta ubezpieczeniowego, i ich zleceniodawców, którzy swoją działalność – porwania i krwawe operacje kończące się śmiercią pacjenta – prowadzą na pływających po Morzu Chińskim statkach i w chińskich szpitalach. Dobra obsada i szybka, sprawnie prowadzona akcja nie czynią tego obrazu przyjemnym do oglądania.

► Walka o człowieczeństwo

Od niedawna, dzięki jednej z platform z filmami, również dla polskich widzów dostępny jest znakomity serial „Last” z 2015 r. To brutalna, krwawa i zarazem chrześcijańska w wymowie i upominająca się o ludzką godność opowieść o genialnym giełdowym oszuście, który w wyniku intrygi traci wszystko i ukrywa się w środowisku bezdomnych w Seulu – ludzi upadłych, żebraków, zarządzanych przez bezwzględną mafię ze ścisłą hierarchią i podziałem zadań. O rangach decydują spryt i pojedynki bokserskie między poszczególnymi „numerami”. Nasz bohater orientuje się, że jedynym sposobem na przetrwanie jest przyjęcie tych reguł i awans, znaczone bójkami i ranami droga na sam szczyt.

KTO W SERIALU „LAST” WYPADA Z OKRUTNEJ MACHINY LUB NARAZI SIĘ
BEZWZGLĘDNEMU „NUMEROWI JEDEN”, ZOSTAJE SPRZEDANY NA ORGANY, ZNIKA BEZ
ŚLADU, A ZARAZEM DOSTARCZA PIENIĘDZY MAFIJNEJ STRUKTURZE.

tego zjawiska. Straszak w postaci podpisania zgody na pobranie organów pojawia się od czasu do czasu, choćby w wymienionym przeze mnie w artykule o najlepszych zeszłorocznych serialach „Monsterze 2016”. W innym koreańskim serialu, „Big Man”, młody człowiek zostaje doprowadzony do stanu śmierci mózgowej, a następnie fikcyjnie usynowiony przez biznesmena tylko po to, by jako bliski krewny mógł zostać dawcą dla jego chorego syna. Cudem wraca do świata żywych, dzięki czemu przez kilkanaście odcinków śledzimy jego walkę z fałszywą rodziną, prowadzoną na polu osobistym i biznesowym. To jednak jedno z lepszych przykładów wykorzystania tego wątku w produkcjach filmowych. W horrorze Sang-Gon Yoo „Twarz” („Peiseu”) z 2004 r. policyjny rekonstruktor twarzy ofiar morderstw wyjaśnia losy dziewczyny, która jako duch prowadzi go do swoich katów. Okazują się nimi lekarze i handlarze narządami, których działalność jest o wiele bardziej przerażająca niż manifestacje szukającej sprawiedliwości zjawy. „Twarz” pomimo poruszenia poważnego tematu to wciąż kino rozrywkowe, w którym wygrywa sprawiedliwość. W atrakcyjnej, lecz o wiele bardziej przynębiającej formie problem widzimy w dramacie sensacyjnym „Handlarze” (tytuł międzynarodowy „The Traffickers”) z 2012 r., w którym Hong-seon Kim pokazuje historie zdesperowanej dziewczyny walczącej o życie ojca, drobnych

Spotyka na niej ludzi nie tylko bezwzględnych, lecz także takich, którzy w brudnym, bezbronnym bezdomnym widzą drugiego człowieka. O człowieczeństwo również toczy się wojna. Kto zaś wypada z okrutnej maszyny lub narazi się bezwzględnemu „numerowi jeden”, zostaje, jakże by inaczej, sprzedany na organy, znika bez śladu, a zarazem dostarcza pieniędzy mafijnej strukturze. W tegorocznym „Voice”, serialu, który rozgrywa się wokół interwencji specjalnej policyjnej ekipy odbierającej telefoniczne zgłoszenia ofiar, trafiamy do fikcyjnego szpitala psychiatrycznego, będącego *de facto* „hodowlą” dawców. W szpitalu, w którym nielegalnie pobierano organy pacjentom, rozgrywał się też starszy o 11 lat telewizyjny, czteroodcinkowy miniserial „Coma”, niepokojący, artystyczny horror opowiadający o rozgrywających się wokół pogrążonej w śpiączce dziewczyny tragicznych wydarzeniach. Co więcej, gdyby nie handel organami, nie rozwinięłaby się intryga w jednym z bardziej znanych koreańskich filmów – „Panu zemście” Chan-wook Parka!

Inny, mniej krwawy, lecz dramatyczny motyw to pomijanie oczekujących na przeszczepy i operacje biednych, by ratować pacjentów bardziej majątnych i wpływowych. Ale to już inna i, obawiam się, o wiele mniej egzotyka historia. ■

Matka Boża z Betanii. 25 marca 1984 r.
widziato Ją tutaj na raz 108 osób



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Mamy swoją Arkę Ocalenia!

Gdy piszę ten tekst, jej pogodne oczy patrzą na mnie z obrazka. Dostałem go od jej córki. Wręczając mi to zdjęcie, szepnęła tylko: „Teraz już wiem, że to nie był przypadek, że do nas przyjechałeś. Rozpowszechnisz historię objawień Naszej Pani z Betanii u siebie w kraju. Żeby w Polsce też wiedzieli, w jak cudowny sposób Matka Boża posłużyła się moją mamą. Jestem pewna, że sobie poradzisz”. Słowo się rzekło. Do dzieła zatem.

Akurat tego Maria raczej się nie spodziewała. Wezwanie do szkoły z powodu córek? Przecież nigdy wcześniej nie mieli z nimi problemów. Podobnie z synem. Nigdy nikt się nie skarżył. Wręcz przeciwnie. Słyszeli pochwały. Dzieci przynosiły ze szkoły dobre oceny. Rodzice mogli być dumni. Dobrze zresztą wiedzieli, że mają w domu siedmioosobowe stadko „polepszaczy humoru”. Rozśpiewane i roztańczone. A przy tym bardzo karne i grzeczne. „Co się mogło wydarzyć?” – zastanawiała się, idąc zaniepokojona na spotkanie z nauczycielką.

Pani już na nią czekała. Siedziała w klasie sama. Zaprosiła uprzejmie Marię do środka i zaproponowała kawę. Miała raczej poważny wyraz twarzy.

– Pani Mario... – nauczycielka zaczęła powoli, unikając wzroku zaniepokojonej kobiety. – Dziękuję, że odpowiedziała pani na moją prośbę spotkania.

– Bardzo proszę. Czy moje dzieci coś zbroiły? – nie wytrzymała Maria.

– Ależ nie. Proszę się nie martwić. Nie chodzi o żadne psoty ani skargi. Problem dotyczy nieco innej materii. Otóż... – nauczycielce wyraźnie trudno było znaleźć odpowiednie słowa. – Widzi pani... Pani dzieci... opowiadają innym o dziwnych rzeczach mających rzekomo dzieć się w państwa domu.

– Jak to? – Maria nadal nie rozumiała.

– Zmyślają niestworzone historie, które potem obiegały całą szkołę. Wskutek czego musimy to potem demontować i wyjaśniać podczas prowadzenia lekcji. Przyznam, że nas nauczycieli troszkę to już zaczyna irytować.

– Ale co takiego opowiadają moje dzieci? – dopytywała Maria.

– No na przykład ostatnio... Wczoraj na przerwie międzylekcyjnej pani córka wypaliła podczas rozmowy z koleżankami, że pani często unosi się w powietrzu. Co gorsza, twierdzi, że dzieje się to na jej oczach. Mówi, że sama to widziała.

– Powiedziała to?

– Tak! Ze stanowczością w głosie przekonywała koleżanki, a potem również mnie, że ogląda panią lewitującą...

– Dobrze. Już rozumiem – Maria delikatnie skinęła głową. – Porozmawiam z dziećmi. Proszę się już nie niepokoić. Wyjaśnię to.

– Pani Mario, chcę być dobrze zrozumiana. To dobre dzieciaki. Naprawdę. Świetnie ułożone. I bardzo zdolne. Mają tylko chyba nazbyt wybujałą wyobraźnię. To normalne w tym wieku. Chciałam jednak, aby pani o tym wiedziała. I może jakoś to z dziećmi omówić.

– Spokojnie. Omówię. Jeszcze dzisiaj.

Wychojąc ze szkoły, Maria przyjaźnie spojrzała w niebo. „Kochana Matko, i co ja mam im teraz powiedzieć?” – uśmiechnęła się w myślach. Po czym wsiadła do samochodu, aby wrócić do swego domu na wzgórzach Caracas. Tam, gdzie czekali na nią mąż wraz z gromadką dzieci. Wszyscy mieli dziś poważnie porozmawiać.

► Wierny posłannictwu

– Ale mamo! Przecież to prawda! Dlaczego mamy kłamać! – oburzyła się Coromoto, jedna ze starszych wśród rodzeństwa.



Pielgrzymi z Wenezueli oraz coraz częściej z całego świata przybywają do Betanii, aby zostawić tu swoje intencje

– Nie, nie chcę, żebyście kłamali. Absolutnie! – podniosła głos Maria.

– W czym więc problem? – wtrąciła się młodsza córka.

– Problem w tym, moje skarby, że to, co dzieje się u nas w domu, może nie być tak oczywiste dla waszych kolegów i koleżanek z klasy.

– A dla pań nauczycielek? – wtrącił Francesco.

– Dla niech również – uśmiechnęła się do swego jedynego synka Maria. – Kochani, chciałabym, abyście od dziś nie mówili nikomu poza domem o tym, co się u nas dzieje, dobrze? Mogę was to prosić?

– Nadal nie rozumiem, dlaczego mamy o tym nie mówić... – jedna z córek trwała w oporze.

– Kiedyś zrozumiesz. Otrzymaliśmy wszyscy wielki dar od Pana Boga. Ale nie po to, aby się nim chwalić, ale aby nim służyć. Jeśli przez to ktoś zbliży się do Nieba, to tylko lepiej. Ale póki co uważam, że opowiadanie o tym w szkole może wzbudzić jedynie tanią sensację. A przecież tego nie chcemy, prawda?

Dzieci milczały. Jakby nadal nieprzekonane.

– Chciecie, aby mama co dzień była wzywana na wywiadówki i rozmowy z nauczycielami? – zapytała Maria.

– Neeeeee! – tym razem krzyknęły chórem.

– Zatem umowa stoi?

– Tak, mamusiu.

– Dziękuję. To chodźcie, odmówimy razem Różaniec na koniec dnia.

Maria zaprowadziła dzieci do domowej kaplicy. Ukłękła przed ołtarzykiem, a obok niej dzieci. Po chwili pojawił się również mąż. To było ich wspólne trwanie przed ukochaną Matką. Tą samą, którą Maria widziała już tyle razy. Z którą rozmawiała. U której wstawiała się w intencjach proszących ją o to ludzi. Od tego czasu Różaniec stał się ich codziennością. Odmawiali go wspólnie. Z chęcią i zapałem. „Dios te salve, María, llena eres de gracia, el Señor es contigo...” – szept modlitwy unoszący się z domowej kaplicy zaciśniętego domu na wzgórzach stolicy Wenezueli wydawał się płynąć stąd nieustannie. I być może tak właśnie było. Maria bowiem poświęcała modlitwie praktycznie każdą wolną chwilę. Modliła się w samotności także wówczas, gdy któregoś dnia do jej pokoju wszedł nagle Gianni. Wtedy po raz pierwszy zobaczył unoszącą się metr nad ziemią mamę. Z czasem stało się to dla niego zupełną normalnością. Myślał, że w innych domach jest podobnie. Stąd rozmowy w szkole z kolegami. Stąd wezwania Marii na kolejne rozmowy. Gianni chciał dobrze. Widział przecież tak wiele. Chociażby wtedy, gdy zaglądając do mamy któregoś wieczoru, zobaczył ją nie tylko unoszącą się nad ziemią, lecz także przyjmującą materializujące się na jego oczach Hostie. Mama wyjaśni mu potem, że było to zadanie, które otrzymała od samego Boga. Miała przyjąć Komunię Świętą za afrykańskie dzieci, które tego czynić nie mogą ze względu na brak misjonarzy w ich wiosce.





Finca de Betania
– miejsce, które nadal
jeszcze można oglądać
takim, jakim nawiedziła
je Matka Boża

Kim była María Esperanza de Bianchini? Jaka jest jej historia? O jej życiu powstają kolejne publikacje, książki, filmy. Póki co wydawane raczej w Wenezueli. Choć pojawiają się też w Stanach Zjednoczonych. W Polsce raczej mało kto o niej słyszał. Najwyższa pora to zmienić. Przecież już sam św. Ojciec Pio powiedział o niej, że gdy jego zabraknie, ona będzie dla nas pocieszeniem. To o niej będzie dzisiejszy fotoreportaż. A może nie tyle o niej, ile o przesłaniu, które z jej pomocą przekazała nam Matka Boża. Gdy piszę ten tekst, jest pogodnie oraz patrzą na mnie z obrazka. Dostałem go od jej córki. Coromoto wręczając mi to zdjęcie, szepnęła tylko: „Teraz już wiem, czemu musiałeś do nas przyjechać. To nie był przypadek. Rozpowszechnisz historię objawień Naszej Pani z Betanii u siebie w kraju. Żeby w Polsce też wiedzieli, w jak cudowny sposób Matka Boża posłużyła się moją mamą. Jestem pewna, że sobie poradzisz”.

► Kuchnia zamiast klasztoru

Urodziła się 22 listopada 1928 r., na rzece Caroni stanowiącej niewielki dopływ słynnej Orinoko. Na barce transportującej jej mamę na poród do szpitala. Tak pojawiła się na świecie Maria Esperanza de Bianchini. Przyszła służebnica Boża. A dziś kandydatka na ołtarze. Już od małego otrzymywała od Boga wiele łask. Choćby wtedy, gdy mając pięć lat, przyszła do swojej mamy i podarowała jej różę. Ale w miejscu, gdzie mieszkali, rosnących róż raczej nikt dotąd nie widział. Na matczyne wątpliwości dziewczynka odpowiedziała z typowo dziecięcą naturalnością, że kwiat otrzymała od św. Teresy od Dzieciątka Jezus. W wieku 12 lat Maria zachorowała. Choroba okazała się na tyle poważna,

**Modlitwa Litanią
Loretańską przy kopii
nazareńskiego Domku
św. Rodziny**



że lekarze przewidywali najgorsze i uczciwie nastawiali matkę (ojciec zmarł, gdy dziewczynka miała ledwie kilka lat), że każdy najbliższy dzień może okazać się dla jej dziecka ostatnim. Jakież więc było ich zdziwienie, gdy wbrew wszelkim wynikom lekarskim Maria poczuła się znacznie lepiej, by po kilku dniach zupełnie wyzdrowieć. Na pytanie, co się stało, odpowiadała uczciwie, że zobaczyła Maryję, która poprosiła ją w wizji, aby ta pomogła ocalić Jej świat, który zmierza ku zagładzie. To jednak nie koniec cudownych uzdrowień dziewczynki. Kolejna przypadłość okazała się chorobą serca. Dziewczynka umierała. Gdy została ponownie uzdrowiona, postanowiła, że jak dorośnie, wstąpi do zakonu. Ku jej zdumieniu Opatrzność miała w stosunku do niej zupełnie inne plany. Wkrótce usłyszała wewnętrzny głos, któremu nie śmiała się sprzeciwić. Głos mówił, że ma się uświęcić jak żona, a następnie matka i babcia. Plan o życiu klasztornym trzeba było więc zrewidować.

► Pierwsze proroctwo wypełnione

Maria rozeznawała kolejne objawienia. Była ostrożna. Swoje decyzje konsultowała z duchowymi przewodnikami. Wreszcie jednak wiedziała – ma opuścić Wenezuelę i wyjechać do Europy. A konkretnie do Rzymu. Po co? Aby tam znaleźć męża. Jak opowiadają mi dziś wnukowie Marii Esperanzy, ich babcia rozmawiała z wieloma świętymi. Taki otrzymała dar od Pana Boga. W zależności od tego, z którym świętym prowadziła dialog w danej chwili, w trakcie tych rozmów zmieniał się jej głos, postawa albo

Wierchołek góry Syjon
z wybudowaną tu kopią
Wieczernika



Jedną z kamiennych rzeźb
ustawionych w drodze na
Wzgórze Syjon



inny szczegół, po którym można było rozpoznać, z kim rozmawia. – W ten sposób wiedzieliśmy, że dany święty miał niski głos albo że na przykład kulał na prawą nogę. Babcia bowiem na czas rozmowy jakby przybierała jakąś charakterystyczną cechę rozmówcy. Dla nas to było fascynujące! – opowiada mi Marco, jeden z kilkunastu wnuków Marii Esperanzy.

I to właśnie jeden z objawiających się Marii świętych – Jan Bosko – poleci jej, aby w trakcie poszukiwań męża w Wiecznym Mieście zwróciła uwagę, czy ten ma ze sobą miecz. Bo ma być on dla niej znakiem, że to właśnie ten wybraniec. Pamiętamy, że była to połowa XX wieku. Na miecze nikt już w Europie nie walczył... Wkrótce jednak okazało się, że Geo – przyszły mąż Esperanzy, którego spotkała w jednym z rzymskich kościołów – jest ochroniarzem biskupa i podczas Mszy świętej nosi przy sobie symboliczny miecz. Prorokstwo się wypełniło. Maria była jednak tylko człowiekiem. Bała się całej tej sytuacji i tempa, w jakim jej życie zaczęło się zmieniać. Uciekła od swego ukochanego do Caracas. Dopiero tutaj mądry spowiednik, ojciec Emerano Fahrnholz, wysłuchawszy całej historii, nakazał jej pod posłuszeństwem powrót do Rzymu i odnalezienie porzuconej miłości.

Gdy wreszcie doszło do ślubu, Geo już wiedział, że przyszło mu dzielić życie z niezwykle osobą. Kobieta, która otrzymała od Boga liczne dary. Jak choćby ten najbardziej popularny – charyzmat prorocstwa nad ludźmi. Gdy któregoś dnia Geo usłyszał od swojej świeżo poślubionej małżonki historię swego życia (o której ta nie mogła mieć pojęcia, bo nigdy wcześniej jej o tym nie mówił), w dodatku wypowiadaną piękną włoszczyzną (Maria nadal nie знаła dobrze języka włoskiego), już wiedział. Jego życie nie było od tej pory takie samo. Stało się przedsięwzięciem do Raju.

► Finca de Betania

Przed powrotem do ojczyzny Maria spotkała się jeszcze we Włoszech z Ojcem Pio. W tym czasie już niezwykle znanym zakonnikiem nie tylko w Italii, lecz także na świecie. Podzieliła się z nim otrzymaną niedawno od Matki Bożej wizją. Podczas niej zobaczyła pewne tajemnicze miejsce. Położone było między malowniczymi górami. W pobliżu płynęła niewielka rzeczka. Widać było także plantacje trzciny cukrowej. Wreszcie zaś wodospad oraz grotę. Oboje rozeznali, że może być to miejsce, w którym sama Matka Boża zechce objawić się ludzkości. Po powrocie do ojczyzny wraz z mężem Maria otrzymała zatem zadanie, któremu podporządkowała całe swoje życie. Miała odnaleźć opisane przez Maryję miejsce. Wraz z mężem szukali go siedem lat. Aż wreszcie odnaleźli. W marcu 1974 r. „Półtorej godziny jazdy od Caracas odnaleźliśmy miejsce, które dokładnie odzwierciedlało wizję, którą opisywała moja żona” – wspominał Geo, małżonek Marii, który zmarł w styczniu tego roku.

Miejsce to położone jest dokładnie 65 km na południe od stolicy Wenezueli. Dojeżdżamy tu autostradą biegnącą z Caracas do Charavelle. Stamtąd skręcamy w stronę miasta Cua, dalej kierujemy się na San Casimiro, by po 12 km jazdy ujrzeć po lewej stronie, tuż nad szemrzącą leniwie rzeczką Tarma, cel naszej pielgrzymki. Docieramy do Finca de Betania. To tutaj. Już sama jazda napawa oczy. Wokół nas pysznią się z początku niewielkie, a z czasem coraz bardziej masywne i dostojne wzgórza. Nieco przypominające nasze połoniny bieszczadzkie. Z tą różnicą, że gdzieniegdzie pokryte są egzotyczną, tropikalną roślinnością. Nad nami niebieskie niebo.

Niebieski to także kolor, którym rodzina Marii najczęściej dekoruje powstające tu dla pielgrzymów domki. Związane jest to z pewną historią, która wydarzyła się tuż po tym, jak do Finca de Betania przybyła po raz pierwszy Maria wraz z mężem. Gdy podeszli pod opisany w wizji wodospad, zobaczyli, jak z położonej za nim groty wyfruwają niebieskie motyle. To był ostatni znak, jakiego oczekiwała wizjonerka, aby mieć pewność, że odnalezione miejsce jest tym samym, o które prosiła Matka Boża. Od tej pory wylatujące sporadycznie ze skalnej groty niebieskie motyle stały się w Finca de Betania znakiem obecności Maryi. Osobiście Maryja w swojej naturalnej postaci miała pojawić się tu natomiast już wkrótce.

► Arka Ocalenia

W lutym 1976 r. Maria przebywała za granicą. Towarzystwo jej dziwne wewnętrzne przeświadczenie, że musi szybko wrócić do ukochanej Betanii. Po powrocie do kraju od razu zaangażowała rodzinę. – Chodźcie, jedziemy! Musimy ruszać! – rzekła 48-letnia wówczas Esperanza do swojego męża oraz dzieci.

– Ale dokąd, mamuś? Jest już po dwudziestej pierwszej... – zdziwiła się najstarsza z córek.

– Maryja nas wzywa. Kochani! Mamy misję. Jedziemy do Betanii. Czuję, że dobra Mama wyraźnie nas tam woła. Musimy jechać. Nie mamy chwili do stracenia!

Takich wieczorów jak ten bliscy Esperanzy przeżyli w życiu jeszcze wiele. Niejednokrotnie natchniona wizjonerka zrywała wszystkich domowników na równe nogi, aby jechać i modlić się do wybranego przez samą Matkę Bożą miejsca. Jednak ten wyjazd w lutym 1976 r. był wyjątkowy. Wraz z rodziną modlili się dniami i nocami. Aż wreszcie stało się. Dokładnie 25 marca, w uroczystość Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny, Marii Esperanzie objawiła się sama Matka Boża. Przyszła stygmatyczka nie pomyliła się. Podczas widzenia obecnych było niespełna sto osób. Jednak Matkę Bożą widziała jedynie Maria. – Byłam przy grocie, gdy nagle ujrzałam białą chmurę, wielką i piękną – wspominała potem w swoich zapiskach. – Mój przyjaciel rzekł do mnie: „Maria, farma się pali! Płonie niczym świeca!”. A ja na to: „Tak, wiem. Widzę ogień.” Problem w tym, że to nie był



Tuż przy Grocie Objawień, z której wypływa niewielki wodospad, ludzie podchodzą, aby obmyć się wodą pochodzącą z tego miejsca

ogień. Płomień światła pochodził stamtąd, skąd przybyła Maryja. Kiedy Matka Najświętsza wreszcie się ukazała, wzniosła się na szczyt drzewa. Zobaczyłam, że jest piękna: miała kasztanowe włosy, jasnobrązowe oczy, małe usta, prosty nos. Miała śliczną cerę, jej skóra wydawała się jedwabiem. Była opalona, piękna, bardzo młoda. Jej włosy sięgały ramion. Matka Boża wyciągnęła ramiona, a z rąk trysnęło światło. I wszystko zostało zalane niezwykłym blaskiem. Odczuwałam to tak, że Maryja jest promieniem światła, które przenika mą duszę, wstrząsając każdym włóknom mego serca. Wewnątrz czułam się tak pokorna, tak słaba i mizerna. Byłam niczym w porównaniu z pięknem, które mnie oślepiało. Wówczas usłyszałam wewnętrzny głos: „Moja córeczko. Powiedz moim dzieciom ze wszystkich ras, wszystkich narodów, wszystkich religii, że je kocham. Dla mnie różnice nie mają znaczenia – wszystkie moje dzieci są takie same. Nie ma bogatych i biednych, nie ma brzydkich i pięknych, czarnych i białych. Przychodzę zebrać je wszystkie, by pomóc im wspiąć się na wysoką górę Syjon, aby mogły osiągnąć zbawienie”.

22 sierpnia tego samego roku, tym razem w dzień Matki Bożej Królowej, miało miejsce drugie objawienie. Maryja zapewniła wizjonerkę, że jeśli ludzie podejmą swój co-

dzienny krzyż, nie będzie już więcej cierpienia, łez i śmierci. „Wszyscy będą codziennie śpiewać wraz z moim umiłowanym Synem nieustannie Alleluja! Alleluja! Alleluja!”. Z czasem miały miejsce kolejne widzenia Marií Esperanzy z Najświętszą Matką. Nieprzypadkowo dochodziło do nich w koleje święta Maryjne: Zwiastowania, Cudownego Medalika, wspomnienia Niepokalanego Poczęcia, Matki Bożej z Lourdes. Podczas spotkań Maryja powoli wyjaśniała wizjonerce swoje zamiary. Betania ma się stać w przyszłości miejscem uzdrawiania, miejscem pojednania człowieka z Bogiem. Ma się stać „Arką Ocalenia”. Arką Ocalenia dla całej ludzkości.

► Latynoska Fatima, latynoskie Lourdes

Dziś Arka Ocalenia nie jest jeszcze miejscem, o którym byłoby w świecie głośno. Jednak rodzina zmarłej w 2004 r. w opinii świętości Marií Esperanzy jest przekonana, że nastąpi taki czas, kiedy do Betanii będą przybywać tłumnie pielgrzymi z całego globu. Są tego pewni tym bardziej, że Kościół zdążył już potwierdzić swoim autorytetem autentyczność Maryjnych objawień w Finca de Betania. Rodzina i krewni Marií założyli więc Fundację Betania. Jej statutowym celem jest obudzenie w ludziach świadomości, że oto „nadszedł czas przebudzenia w blasku Nowej Jutrzni, w którym Słońce Sprawiedliwości zajaśnieje nad czterema kątami naszej planety, a kiedy to nastanie, będą się liczyć tylko dobre uczynki”. Fundacja zbudowała więc górę Syjon, z której można podziwiać całą Betanię. Wzniesiono niewielki polowy kościółek, gdzie zresztą 8 grudnia 1991 r. miał miejsce cud eucharystyczny (podczas przeistoczenia ks. Otton Ossa Aristizábal zauważył, jak z jednej z części Hostii leżącej na patenie zaczęła wypływać obficie krew; dziś monstrancję z krwawiącą Hostią można adorować w ulokowanym pod Caracas Los Teques). Zbudowano Drogę Aniołów z kopiami Domku Świętej Rodziny oraz posagami Matki Bożej, św. Franciszka i św. Ojca Pio. To właśnie ten ostatni polecił Marií wybudowanie dla okolicznej ubogiej ludności szpitala. Czegoś na kształt stojącego w San Giovanni Rotondo Domu Ulgi w Cierpieniu. Zimą tego roku architekt podpisał zgodę na budowę. Lada chwila w Betanii rozpoczną się prace nad wznoszeniem katedry. Ma stać tuż obok cudownej Groty Objawień. Tej samej, z której raz na jakiś czas wyfruwa do modlących się wiernych niebieski motyl.

Istnieje prawdopodobieństwo, że za kilka lat Finca de Betania zmieni się nie do poznania. Być może jest to ostatni dzwonek, aby zobaczyć ją jeszcze w takiej formie, jaka była na początku. To trochę tak, jakby ktoś zaproponował nam dzisiaj cofnięcie się w czasie i ujrzeć pół pastewnych portugalskiej wioski Cova da Iria, gdzie 13 maja 1917 r. po raz pierwszy objawiła się Matka Boża trójce pastuszków. Gdy w Fatimie nie było jeszcze tylu sklepików, wybetonowanego placu, ulic... Bo za kilka lat wenezuelska Fin-

ca de Betania może stać się taką latynoską Fatimą. A właściwie latynoskim Lourdes, gdyż właśnie do tego francuskiego miejsca objawień najczęściej odwołują się twórcy Fundacji.

► Mariá Esperanza a św. Jan Paweł II

Pisząc dla Polaków o Marií Esperanzie, nie sposób nie poruszyć wątku związanego z Ojcem Świętym Janem Pawłem II. 12 maja 1981 r. wizjonerka miała nieodparte przecucie, że nazajutrz będzie mieć miejsce zamach na papieża. Możemy o tym przeczytać w jej notce: „Całą noc spędziłam na modlitwie. Byłam zrozpaczona do tego stopnia, że wołałam: »Panie, jak to możliwe? Jak można podnieść rękę na to życie, Panie?«. Jak dziś już wiemy, wizja była prorocza. 13 maja, w dzień Matki Bożej Fatimskiej, na placu św. Piotra padły strzały. Przez kolejne trzy miesiące Mariá odczuwała dotkliwy ból w okolicach brzucha. Ofiarowywała to cierpienie za leżącego w szpitalu i dochodzącego do zdrowia Ojca Świętego.

To jednak nie koniec związków wenezuelskiej wizjonerki ze św. Janem Pawłem II. Któregoś dnia Maryja przekazała Esperanzie prorocтво o niezwyklej cudzie, który ma się wydarzyć 25 marca 1984 r. I który to cud zobaczy wielu ludzi. I faktycznie. W niedzielę 25 marca 1984 r. w Finca de Betania Matka Boża aż siedmiokrotnie ukazała się ludziom. W sumie widziało ją 108 osób. W tym również ludzie niewierzący. Także oni na prośbę biskupa złożyli pisemne zeznania o tajemniczej wizji, jaka ich dotknęła. Jaki związek ma to objawienie z pontyfikatem św. Jana Pawła II? Ano taki, że tego samego dnia w Watykanie Ojciec Święty poświęcił świat i Rosję Niepokalanemu Sercu Maryi. Akt ten wypełnił żądania, o jakich Maryja mówiła w Fatimie w 1917 r. i w konsekwencji uruchomił lawinę zdarzeń, które zmieniły oblicze świata, dając ludzkości nową szansę na uniknięcie zapowiedzianej apokalipsy.

► Bezpieczny zaulek

Będąc w przepięknym wenezuelskim zakątku, jakim jest Betania, o tragicznych apokaliptycznych wizjach raczej się nie myśli. Tutaj modlitwa smakuje naprawdę wybornie. Miejsce to jest bowiem przepelnione niewysłowionym wręcz pokojem. Ciszą, radością, poczuciem sensu. I nie przeszkadza nawet to, że oto znajdujemy się w państwie uznawanym obecnie za jedno z najmniejbezpiecznych na świecie. Ta opinia nie dotyczy bowiem Betanii. Gdyż to miejsce nie jest własnością reżimu Nicolása Maduro. To miejsce wybrała sama Maryja. Ono należy do Niej. I coś jeszcze. Przebywając wśród bliskich Marií Esperanzy, słuchając ich świadectw, ich historii, człowiek ma wrażenie, że oto ktoś dokonuje operacji na jego otwartym sercu. I wcale nie ma się ochoty, aby ten ktoś przestał. Niech dłużej dalej. ■

Olga Doleśniak-Harczuk



Kohl mniej znany

Kanclerz Zjednoczenia, olbrzym zdetronizowany przez Angelę Merkel, polityk, któremu niemiecki salon liberalno-lewicowy nigdy nie wybaczył jowialności i prowincjonalnego akcentu. Helmut Kohl całe życie walczył o uznanie...

Bolały go ataki mediów, takich jak bezlitosny dla niego tygodnik „Der Spiegel”, rozstanie z CDU, ciągle porównywanie do Helmuta Schmidta czy Hansa-Dietricha Genschera. Zapewne część z przykrości, które go spotkały, była konsekwencją jego własnych błędów (*vide*: afery czarnych kas czy tragiczny w skutkach kryzys w życiu rodzinnym), a ambicje nie zawsze nadążały za możliwościami, jednak było mimo wszystko w Kohlu coś, czego Angela Merkel nigdy nie pojmie. Pasja, wiara i poczucie, że życie to coś znacznie więcej niż słupki poparcia. Takiego Helmuta Kohla wielu Niemców znać nie chciało, a i on sam sprawy nie ułatwiał.

► Nieco na przekór

Nie będzie chyba nadużyciem stwierdzenie, że wraz ze śmiercią Helmuta Kohla odchodzi pewna epoka. Żałuję, że mimo wielu prób nie udało mi się przeprowadzić z nim rozmowy. Choroba, trudności z mówieniem, wiek – to wszystko stało na przeszkodzie. Zależało mi na tym, by jeszcze raz wyjaśnić, dlaczego zwlekał z uznaniem granicy na Odrze i Nysie, odpowiedź była znana niby od wielu lat, ale

usłyszeć ją z ust głównego aktora tamtych wydarzeń wydawało się kluczowe. Wszyscy widzieli, jak słabnie, jak z każdą kolejną uroczystością ku czci obalenia muru zamyka się w sobie. Czuł się kanclerzem zjednoczenia, a jednocześnie była w nim ogromna gorzkość, że finał – polityczny, partyjny oraz towarzyski – nosił znamiona hańby. Najpierw afery z „czarnymi kasami”, a potem kurczowe trzymanie się partyjnego stołka, fortel Angeli Merkel, rozbrat z Wolfgangiem Schäuble, odsunięcie na boczny tor i w końcu niemoc fizyczna, która ostatecznie zadecydowała o wykluczeniu z debaty publicznej – tak można w skrócie opisać zjazd z samego szczytu chadeckiego mikrokosmosu na najniższe kondygnacje politycznego niebytu. 16 czerwca 2017 r. odszedł Helmut Kohl, polityk, który przez 16 lat (bijąc rekord Konrada Adenauera) rządził państwem jako kanclerz zachodnich, a następnie zjednoczonych Niemiec. Teraz powstanie wiele jego sylwetek, tu zdjęcie z młodą Merkel, tam niewybredne okładki „Spiegla”, na których Kohl o głowie gigantycznej gruszki patrzy tępo przed siebie, jeszcze ktoś inny rozdrapie rany rodzinnego sporu, samobójczej śmierci Hannelore Kohl i drugiego małżeństwa kanclerza, które ponoć na śmierć i życie poróżniło go z synami. Nieco na przekór tym przekazom przypominamy wątki z życia

Kohla, które mówią o nim nieco inaczej, niż do tego przywykliśmy, a jednocześnie ukazują, jak głęboko różnił się od Angeli Merkel w podejściu do wiary, historii najnowszej Niemiec czy Unii Europejskiej.

► Matka i różaniec od JP II

„2 kwietnia 1979 r., w wieku 88 lat, zmarła moja matka. [...] Wiosną 1979 roku otrzymałem zaproszenie na Międzynarodowy Kongres Chrześcijańskich Demokratów w Rzymie, gdzie miałem wygłosić jedną z głównych mów. Z uwagi na stan mojej matki targały mną wątpliwości, czy w ogóle wyjeżdżać. Obawiałem się, że matka umrze podczas mojej nieobecności. Leżała wtedy w klinice w Ludwigshafen na oddziale wewnętrznym kierowanym przez mojego przyjaciela, Helmuta Gillmanna. Zapytałem się go, czy w związku z jej złym stanem powinienem jechać do Rzymu, odrzekł: »Oczywiście, że musisz jechać. Ona nie umrze, gdy będziesz w Rzymie«. Na moje pytanie, skąd ma pewność, że to nie nastąpi właśnie w tym czasie, odparł: »Nie umrze, sama mi opowiadała, że będziesz w Rzymie u papieża«. Pojechałem więc do Rzymu i widziałem się z papieżem, którego znałem jeszcze z czasów, gdy był kardynałem krakowskim i odwiedził Mainz. Audiencja u Ojca Świętego odbyła się w wąskim gronie. Papież pytał mnie o rodzinę, znał przecież i Hannelore, a ja opowiedziałem Mu o mojej umierającej matce. Wspólnie pomodliliśmy się w jej intencji, a następnie JP II wręczył mi różaniec dla matki. Kiedy wróciłem, już mnie oczekiwała. Siedziała na łóżku. Pielęgniarki wyciąły dla niej z gazety zdjęcie, na którym jestem z papieżem. To zdjęcie stało teraz na nocnym stoliku mojej matki. Musiałem w najdrobniejszych szczegółach opowiedzieć jej o pobycie w Rzymie. [...] Wręczyłem jej różaniec od papieża, od razu go pochwyciła. Nigdy nie zapomnę, z jaką prostotą powiedziała: »Włóż ten różaniec do mojego trumny«. Pożegnałem się i pojechałem do domu, zadzwonił telefon, pielęgniarka poinformowała mnie o śmierci matki. Najwyraźniej zebrała wszystkie siły, by wytrwać do mojego powrotu z Rzymu, tak bym mógł jej opowiedzieć o moim spotkaniu z papieżem. Po tym była już gotowa”.

(Na podstawie: Helmut Kohl „Erinnerungen 1930–1982”, Droemer Verlag, 2004)

► Dziękuję, Ojciec Święty!

„Papież Jan Paweł II poruszał świat i ludzkie serca. To właśnie była jego »tajemnica«. Rozumiał ludzi, docierał do nich, poruszał ich serca. Stał przy tym na mocnym fundamencie wartości, mocno zakorzeniony w chrześcijańskiej wierze. I na tym fundamencie sprzeciwiał się każdej postaci niewoli. Wybór Karola Wojtyły na papieża 16 października 1978 r. dla wielu ludzi, również dla mnie, był ogromnym zaskoczeniem. Tak, to była

sensacja. [...] Z każdym kolejnym rokiem Jego pontyfikatu coraz wyraźniej było widać, że ten wybór miał zdecydowane znaczenie dla światowej polityki. [...]

My Niemcy i Europejczycy, a wraz z nami wielu ludzi na całym świecie, mamy wszelkie powody ku temu, by dziękować temu wspinałemu człowiekowi. Jan Paweł II był papieżem w pełnym tego słowa znaczeniu: był budowniczym mostów. Był największym papieżem od dawien dawna. Rozumiał ludzi, zwracał się do nich i poruszał ich serca [...]

23 czerwca 1996 r., wieczorem, a pamiętam, jakby to było wczoraj, po stronie wschodniej Bramy Brandenburskiej odbyła się uroczystość na cześć wizyty papieża. Papież chwycił moją dłoń i powiedział: »Panie kanclerzu, to jest wielka chwila w moim życiu. Ja, papież z Polski, stoję z panem, kanclerzem Niemiec, przy Bramie Brandenburskiej. Brama jest otwarta, mur upadł. Berlin i Niemcy nie są już podzielone, a Polska jest wolna«. [...] Papież stale wskazywał na krzyż i na chrześcijańskie tradycje Europy, podkreślając, że jest ona przede wszystkim wspólnotą wartości i kultury”.

(Na podstawie felietonu Helmuta Kohla opublikowanego w dzienniku „Bild” z okazji kanonizacji Jana Pawła II)

► Brukselska biurokracja

„Nieraz już podkreślałem, że w Brukseli nie może być jakiejś superbiurokracji, która wszystko harmonizuje i reglamentuje. To, co można zdroworozsądkowo załatwić na poziomie krajowym, powinno być tam załatwiane. Wszyscy przecież wiemy, że wiele spraw można uregulować o wiele lepiej na miejscu niż hen, daleko przy zielonym stoliku. I tak musi pozostać”.

(Na podstawie: Helmut Kohl „Bilanzen und Perspektiven. Regierungspolitik 1989–1991”, Band I, Presse und Informationsamt der Bundesregierung 1992)

► Wina za II wojnę światową

„Zwłaszcza wśród nas, Niemców, pamięć o przeszłości nie może się zatrzeć. Jest ona dla nas, Niemców, ciężkim brzemieniem. Ale [pamięć ta] pomogła nam w sposób odpowiedzialny ukształtować naszą republikę i pozostaje warunkiem powodzenia w przyszłości. Inaczej niż po I wojnie światowej, po roku 1945 nie było już dyskusji o tym, kto ponosi winę za wojnę. Hitler chciał wojny, zaplanował ją i rozpetał. I nie ma tu co mędrkować. Zdecydowanie musimy przeciwstawiać się wszystkim próbom osłabienia tego wyroku. To jest nakaz dyktowany prawdą i polityczno-moralną przyzwoitością”.

(Na podstawie: jak wyżej)

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w AZJI

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, ale są ważne.



► Korea Północna–USA

13 czerwca reżim Korei Płn. uwolnił z przyczyn humanitarnych po 17 miesiącach przetrzymywania 22-letniego amerykańskiego studenta Uniwersytetu Virginia Otto Warmbiera. Chłopak był w stanie śpiączki. Zmarł sześć dni po uwolnieniu.

W styczniu ubiegłego roku został aresztowany w Korei Północnej, a dwa miesiące później tamtejszy sąd najwyższy skazał go na 15 lat ciężkich robót za usiłowanie kradzieży transparentu propagandowego. Władze KRLD określiły czyn Warmbiera jako wymierzony przeciwko ich państwu oraz jako „zorganizowaną przez CIA akcję”. Strona północnokoreańska twierdzi, że student zaraz po procesie, w marcu zachorował na botulizm (zatrucie jadem kiełbasianym) i zapadł w śpiączkę po zażyciu tabletki nasennej. Według lekarzy, którzy zajmowali się Warmbierem w szpitalu University of Cincinnati, młody mężczyzna doświadczył poważnego urazu mózgu.

Na konferencji prasowej zorganizowanej po przewiezieniu Otto do amerykańskiego szpitala jego ojciec, Fred Warmbier, poinformował, że syn „był terroryzowany i bardzo brutalnie potraktowany” w czasie uwięzienia. Rodzina Otto nie jest w stanie zrozumieć, jak to możliwe, że przez ponad rok nie ujawniono stanu zdrowia ich syna. „Nie da się wytłumaczyć, by jakiegokolwiek cywilizowane państwo trzymało w tajemnicy ten stan i pozbawiło Otto prawa do najlepszej opieki medycznej” – mówił Fred Warmbier. Ojciec studenta podziękował administracji Trumpa za sprowadzenie jego syna do domu i skrytykował rząd Obamy za sposób, w jaki prowadził sprawę chłopaka.

„Kiedy zatrzymano Otto, zostaliśmy poinformowani przez poprzednią administrację, abyśmy unikali rozgłosu, podczas gdy oni prowadzili działania w celu uwolnienia syna. Tak też postąpiliśmy, ale bez rezultatu” – powiedział pełen goryczy Fred Warmbier. Zapytany przez reportera, czy czuje, że administracja Obamy powinna zrobić więcej, aby pomóc jego synowi, odpowiedział: „Myślę, że rezultat mówi sam za siebie”.

W tej chwili reżim Kim Dzong Una nadal więzi trzech innych obywateli USA: Tony’ego Kima (zatrzymany 23 kwietnia tego roku), Hak-song Kima (zatrzymany 6 maja tego roku) i Dong-chul Kima (przetrzymywany od 2015 r.).

Według prof. Sung-Yoon Lee z amerykańskiej uczelni Tufts University brutalny sposób, w jaki potraktowano Otto Warmbiera, nie powinien być zaskoczeniem. „W Korei Północnej okrucień-

stwo to rutyna” – twierdzi Lee. Naukowiec przypomina przypadek Amerykanina koreańskiego pochodzenia, misjonarza Roberta Parka, który w 2009 r. przekroczył granicę z Chin do KRLD z Biblią w ręku. Został aresztowany na 43 dni. W trakcie pobytu w więzieniu był brutalnie bity i seksualnie wykorzystywany. Park przyznał, że kilka razy próbował popełnić samobójstwo.

► Chiny–Australia

Na początku czerwca w australijskiej stacji telewizyjnej ABC ukazał się program, w którym grupa naukowców, urzędników i polityków przestrzega przed tajnymi działaniami, jakie na terenie Australii prowadzi Chiny. Mają one, jak określił jeden z wypowiadających się, „niszczyć system polityczny w Australii”. Tezy postawione w programie potwierdza australijski wywiad (ASIO), który ostrzega, że w Australii dochodzi do działań szpiegowskich i obcej ingerencji na niespotykaną skalę ze strony Komunistycznej Partii Chin Ludowych i że są one zagrożeniem dla suwerenności i bezpieczeństwa tego państwa.

Sledztwo przeprowadzone przez dziennikarzy programu Four Corners (ABC) i Fairfax Media (jedna z największych grup medialnych w Australii) ujawniło stopień infiltracji sceny politycznej w Australii przez rząd Chin i jego współpracowników. Głównym obiektem chińskich działań są politycy, uczelnie wyższe, lokalne społeczności i grupy studenckie oraz media chińskojęzyczne w Australii. Biznesmeni z ChRL związani z KPCh przekazują miliony w formie dotacji dla czołowych australijskich partii politycznych i w ten sposób kupują sobie wpływy, a nawet forsuje politykę, która nie leży w interesie Australii. W programie przedstawiono m.in. chińskiego biznesmena, dewelopera, dr. Chau Chak Winga. Zapewnił on sobie dostęp do wielu polityków w tym kraju właśnie za pomocą pieniędzy. Przed przybyciem do Australii i uzyskaniem tam obywatelstwa Chau w swoim kraju (w Chinach) był członkiem Ludowej Politycznej Konferencji Konsultatywnej Chin, czyli ciała doradczego komunistycznego rządu ChRL.

Profesor Rory Medcalf z National Security College ANU uważa, że osoby z taką przeszłością, nawet jeśli nie otrzymują jakichkolwiek wskazówek od władz ChRL, to same czują się zobowiązane, by „zrobić odpowiednie wrażenie na rządzących w Chinach i by zademonstrować, że są dobrymi członkami partii, że działają w jej interesie”. Według Petera Jenningsa z think tanku Australian

Strategic Policy Institute chińscy biznesmeni za granicą dążą do tego, by zaspokajając polityczne i strategiczne cele KPCh, przez co zapewniają sobie powodzenie w interesach i dostęp do wsparcia finansowego na intratnych warunkach.

W programie stacji ABC pokazano też, jak chińskie władze monitorują stowarzyszenia chińskich studentów w Australii. Ich członkowie są zobowiązani donosić do Ambasady ChRL na swoich kolegów prowadzących antykomunistyczną działalność. Występująca w programie jedna z liderek takiego stowarzyszenia przyznaje, że doniosłaby na swoich kolegów dla „bezpieczeństwa innych studentów i dla Chin”. Anthony Chang, który uciekł z Chin do Australii po tym, gdy został zatrzymany w swoim kraju za rozwieszanie plakatów popierających niepodległość Tajwanu, opowiada, jak po jego wystąpieniu na jednym z protestów w Brisbane na rzecz prodemokratycznych środowisk w Hongkongu, w domu jego rodziców w Chinach pojawiła się bezpieka i zażądała, aby Anthony wycofał się z politycznej aktywności w Australii.

► Japonia

W połowie czerwca Izba Radców, izba wyższa japońskiego Zgromadzenia Narodowego, przyjęła tzw. antyterrorystyczną ustawę o spiskach, wprowadzającą m.in. większe środki bezpieczeństwa i nadzoru ze strony państwa. Rządząca Partia Liberalno-Demokratyczna utrzymuje, że celem ustawy jest dostosowanie japońskiego prawa do międzynarodowych norm, dzięki czemu będzie można ratyfikować Konwencję ONZ przeciwko ponadnarodowej przestępczości zorganizowanej, którą Tokio podpisało w 2000 r. Japoński premier Shinzo Abe zapewnia, że ustawa zagwarantuje też większe bezpieczeństwo podczas letnich igrzysk olimpijskich w 2020 r. w Tokio. Ustawa wymienia 277 poważnych naruszeń, które niekoniecznie mają coś wspólnego z terroryzmem, m.in. organizowanie siedzących protestów przeciwko spekulacjom na rynku nieruchomości i nielegalne pobieranie utworów muzycznych.

Opozycja, organizacje obywatelskie, a także Federacja Adwokatów Japońskich twierdzą, że ustawa nie będzie odnosić się jedynie do przestępczości zorganizowanej i że będzie ją można stosować wobec pojedynczych obywateli. Władza będzie mogła stosować większy nadzór wobec mieszkańców Kraju Kwitnącej Wiśni. Ustawę skrytykował też specjalny wysłannik ONZ do spraw prawa do prywatności Joe Cannataci. Według niego, regula-

cje są niedookreślone i w związku z tym pozostawiają zbyt wiele miejsca do stosowania ich z naruszeniem prawa do prywatności oraz podstawowych swobód obywatelskich.

Poza wprowadzeniem nowej ustawy japoński rząd ogłosił, że zamierza podjąć wysiłki w celu ograniczenia liczby samobójstw. W tej kwestii Japonia plasuje się na szóstym miejscu na świecie z wynikiem 19,5 samobójstw na 100 tys. mieszkańców. Na pierwszym znajduje się Litwa (30,8), a na drugim Korea Południowa (28,5), a na trzecim Surinam (24,2). W zestawieniu uwzględniającym samobójstwa popełniane przez kobiety Japonia zajmuje trzecie miejsce z wynikiem 11,7.

Rząd Kraju Kwitnącej Wiśni zapowiada wprowadzenie strategii mającej na celu zmniejszenie liczby samobójstw o 30 proc. w ciągu 10 lat. Władze chcą m.in. nieść pomoc i oferować wsparcie osobom, które w przeszłości próbowały targnąć się na życie. Pomocą mają być objęte też matki cierpiące ze względu na samobójstwa dzieci. W Japonii ponad 10 proc. matek samobójców zmaga się z problemami psychicznymi i nie ma dostępu do profesjonalnej pomocy.

► Kambodża

4 czerwca w Kambodży odbyły się wybory samorządowe, które wygrała rządząca Kambodżańska Partia Ludowa (KPK), kierowana przez premiera Hun Sena. Głosowanie uważa się za test popularności premiera przed wyborami parlamentarnymi w 2018 r. Human Rights Watch, pozarządowa organizacja zajmująca się ochroną praw człowieka, określiła wybory jako „ani wolne, ani sprawiedliwe”, m.in. dlatego, że wielu polityków opozycji przed wyborami zostało aresztowanych albo było zastraszanych, a media są w pełni kontrolowane przez partię rządzącą.

Hun Sen jest jednym z najdłużej rządzących i najbardziej autorytarnych przywódców w Azji. Był członkiem reżimu Czerwonych Khmerów, ale w 1977 r. zbiegł do Wietnamu Północnego. Był jednym z założycieli Zjednoczonego Frontu Ocalenia Narodowego, który podjął walkę z reżimem Pol Pota wraz z siłami Wietnamu. Sophal Ear, ekspert do spraw Kambodży i autor książki pt. „Zależność Kambodży od pomocy – jak pomoc zagraniczna może osłabić demokrację”, tak opisuje Kambodżę pod rządami Hun Sena: „To, niestety, nadal miejsce, w którym obywatele boją się rządu, ponieważ ten może odebrać im to, co posiadają, zabrać wolność, a w niektórych przypadkach nawet życie”.



Ryszard Czarnecki

Czy Pan Bóg jest Polakiem?

Przepraszam za heretyckie pytanie: „Czy Pan Bóg jest Polakiem?”. Ostatnio mam wrażenie, że tak. Jak bowiem wytłumaczyć to, co dzieje się u nas, „w Polsce”, jak mawiali nasi antenaci, ale też na arenie międzynarodowej? Oto wiosną roku Pańskiego 2015 wybory wygrywa ten, którego doradca pana Komorowskiego, pan Nałęcz, nazywał czeladnikiem – w kontrze do mistra – ówczesnego prezydenta. A przecież miał nie mieć żadnych szans, bo hrabia „Bul” miał wygrać w cuglach w I turze. Po paru miesiącach niesiona sukcesem majowym drużyna Kaczyńskiego wygrywa wybory parlamentarne. Wygrywa nie tylko matematycznie – to wieszczono od dawna – lecz także politycznie. I to tak, że niemożliwe staje się stworzenie „koalicji anty-PiS”, o czym przebąkiwano już rok wcześniej. PiS przebija bowiem kolejne szklane sufity i choć, uwaga, uzyskuje wynik (37,58 proc.) procentowo gorszy niż SLD w 2001 r. (41,04 proc.), to po raz pierwszy w historii III i IV RP nie tworzy rządu koalicyjnego, lecz oparty na jednej liście wyborczej.

Okazuje się, że jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści – czyli jest możliwe daleko idące uszczelnienie systemu podatkowego, co oznacza wpływ gigantycznych pieniędzy do budżetu państwa i sfinansowanie szeregu znacznych projektów rządowych, w tym z obszaru polityki prorodzinnej. A lud mówi, kiwając głowami: „No, wystarczy nie kraść”...

Tymczasem na arenie międzynarodowej, znowu ku osłupieniu panestablishmentu i światowych elit, w Ameryce wygrywa Donald Trump, co oznacza, że prezydent USA nie będzie już pouczał Polski w sprawie Trybunału ani też bredził o „polskich obozach śmierci”, jak to czynił B.H. Obama. Nowy lokator Białego Domu nie chce też usług bylej sekretarz stanu, urodzonej w Czechach Madeleine Albright, która doradzała panu Obamie i pani Clinton i szczyła na Polskę. Dyplomaci amerykańscy przestają mieć instrukcje, aby edukować Polaków w zakresie praworządności i demokracji. Co więcej, D.J. Trump rezygnuje z pośrednictwa Niemiec w kontaktach z Unią

Europejską i skutecznie stara się nawiązać relacje bilateralne, co owocuje jego wizytą w Polsce. Frau Merkel obraża się na Mr. Trumpa, rośnie napięcie w relacjach Waszyngton–Berlin, ale, zdaje się, że w Warszawie nikt z tego powodu nie płacze. Co więcej, pragmatyczni Amerykanie rozumieją, że „domknięcie” Nord Stream I i Nord Stream II oznaczać będzie znaczące ograniczenie dla zbytu amerykańskiego gazu płynnego dziś i lupkowego jutro. A więc w walce z niemiecko-rosyjskim Gazociągami Północnym zyskujemy potężnego sojusznika.

Słowem: albo Pan Bóg jest Polakiem, albo karta idzie nam wyjątkowo. W gospodarce również, a jakże. Polska jest na drugim miejscu wśród 28 państw UE, gdy chodzi o wzrost PKB na głowę mieszkańca. Dane dotyczą pierwszego kwartału tego roku. Tylko Rumunia jest przed nami. W kwestii statystyk dynamiki rozwoju gospodarczego, to według danych unijnego GUS-u, czyli EUROSTAT-u, jesteśmy w pierwszej piątce UE. Ciekawe, że poza nami są tam aż trzy inne państwa spoza strefy euro i tylko jedno z Eurolandu. Stąd pewnie nowa wersja modlitwy zaczynającej się od słów: „Od strefy euro uchron nas, Boże!”. A że warto się o to modlić, przekonują inne dane tegoż EUROSTAT-u, które mówią, że wszystkie pięć państw o najsłabszej dynamice rozwojowej w UE-28 są właśnie z eurozony.

Według ostatnich badań tylko co siódmy Polak rozważa czasowy wyjazd z kraju. Rok temu, w spadku po ośmioletnich rządach PO-PSL odziedziczyliśmy sytuację, w której co piąty Polak myślał o wyjeździe. W ostatnim roku rządów PO-PSL – co czwarty (24 proc.).

Polska jest krajem bezpiecznym. Nie ma zamachów terrorystycznych i nie ma też tych, z których rekrutują się zamachowcy. Według ostatniego raportu EUROPOL-u w naszym kraju udaremniono pięć takich zamachów, a więc nasze służby działają sprawnie.

Oprawdy Opatrzność czuwa. Pamiętajmy jednak, że nawet jeśli Pan Bóg jest naszym rodakiem, to lubi, żeby mu pomagać... ■

tłumaczył i opracował Antoni Rybczyński

Putin, Bunkier i demonstracje

„Los Putina rozstrzyga się w tych dniach” – w artykule pod takim tytułem Andriej Piontkowski analizuje sytuację w otoczeniu prezydenta Rosji i kreśli możliwe scenariusze przedwyborcze. Znany rosyjski politolog w tekście zamieszczonym przez ukraiński portal Apostrophe.ua 10 czerwca, a więc tuż przed nową falą demonstracji opozycji, twierdzi, że w elitach władzy występuje bardzo duże niezadowolenie z Putina. Choć w części omawiający bieżące wydarzenia tekst Piontkowskiego jest wart przybliżenia z racji interesującej interpretacji stanu wierchuszki rosyjskiego reżimu.

„12 czerwca, w Dniu Rosji, odbędzie się wszechrosyjska antykorupcyjna akcja organizowana przez Fundację Walki z Korupcją (FBK) Aleksieja Nawalnego. Odbędzie się w dziesiątkach miast Rosji. Rozmach protestacyjnych marszów 26 marca był nieoczekiwany nie tylko dla władzy, lecz także dla samej opozycji. Władza była do tego stopnia w szoku, że przez prawie tydzień federalne kanały telewizyjne nie wspominały o tym wydarzeniu – nie wiedziały, jak reagować. Nie widzę żadnych podstaw, by zakładać, że 12 czerwca przyjdzie mniej ludzi niż 26 marca. Wydaje mi się, że ludzi przyjdzie więcej, bo kampania, którą prowadzą Nawalny i FBK, wyraźnie cieszy się powodzeniem u wielomilionowej publiki. Po 26 marca było sporo nowych głośnych zdarzeń: polemika Nawalnego z oligarchą Aliszerem Usmanowem, kolejny sąd nad Nawalnym”. Przewidywania autora spełniły się o tyle, że faktycznie na ulice 12 czerwca wyszło na pewno nie mniej ludzi niż w marcu. Różnice w postawie władz do demonstrantów w różnych miastach i regionach kraju potwierdzają z kolei to, co dwa dni wcześniej Piontkowski pisał o niejednolitym podejściu reżimu do zjawiska antykorupcyjnych marszów Nawalnego.

► Dwie linie

„Zgoda władz na przeprowadzenie wielkiego ogólnokrajowego przedsięwzięcia wcale nie świadczy o ich jednoznacznie ugodowym stanowisku wobec tej

inicjatywy. W wielu miastach doszło do zatrzymań i nawet pobicia organizatorów akcji. Kiedy mówimy o władzy, często zapominamy, że nie jest jednorodna. W stosunku do Nawalnego, FBK i marszów protestu we władzach ścierają się dwie linie. Jedną z nich proponuje grę z tym ruchem, próbę jego przejęcia i zmanipulowania, wykorzystania w swoim interesie. Drugą linię reprezentują siły zorientowane na ostre tłumienie jakiegokolwiek opozycji. Szczególnie charakterystyczne w tym kontekście jest podpisanie przez Putina dekretu o możliwości podporządkowywania dowództwom Gwardii Narodowej w regionach lokalnie stacjonujących sił zbrojnych. Jedną ręką władza zgadza się na ogólnorosyjską manifestację, drugą gotuje się tłumić ją drastycznymi środkami. To wyraz bardzo poważnego konfliktu wewnątrz władzy, który dziś jest nie do uniknięcia”. Dlaczego jest nieunikniony? Bo zdaniem autora artykułu „właśnie teraz decyduje się kwestia tego, czy Putin pozostanie na swoim stanowisku. Formalne wybory prezydenta za rok, ale wybory w Rosji nigdy i o niczym nie decydowały, zawsze były manipulacją formalizującą już powstały układ sił. Dlatego kwestia władzy decyduje się nie w marcu 2018 roku, a właśnie dziś. Pod wieloma względami w przyszłym tygodniu ten układ sił się określi” – prognozował Piontkowski.

► Rosyjski biznes łąknie Zachodu

Jego zdaniem, w tzw. elicie, wewnątrz rosyjskiej kleptokracji, dojrzewa bardzo poważne niezadowo-

lenie z Putina z powodu szeregu jego porażek w polityce zagranicznej, które doprowadziły do poważnych komplikacji stosunków z Zachodem. „A dla rosyjskiej elity biznesowe kontakty z Zachodem są życiowo niezbędne. Cały ten polityczno-ekonomiczny model sprowadza się do tego, że wierzuszka kradnie w Rosji, a przechowuje swoje zagrabione bogactwa na Zachodzie. Teraz pojawiło się zagrożenie dla tego, co dla nich najcenniejsze: aktywów na Zachodzie, a więc dla ich sposobu życia. Chodzi nie tylko i nie tyle o pieniądze na koncie, a o całe życie: naukę dzieci, leczenie, wypoczynek, samopoczucie żon, kochanek i wszystko inne. Wszystko postawił pod znakiem zapytania jeden człowiek, który swoimi awanturniczymi zagranicznymi pomysłami popsuł stosunki z Zachodem”.

„Największym życzeniem pracującej w trybie zmianowym elity jest normalizacja stosunków z Zachodem, pozostawienie za zgodą Zachodu nietkniętym obecnie istniejącego systemu neofeudalnej gospodarki, ale za to zmiany personalnego brandu. Jest też, oczywiście, wąska grupa – Bunkier – wokół Putina, która wraz ze zmianą tego brandu traci absolutnie wszystko. Będą się bronić do ostatniego. To bliscy Putinowi biznesmeni, przyjaciele z dzieciństwa, Drezna, z KGB, Zolotow i jego Gwardia Narodowa – wszyscy oddani Putinowi. Tyle że Zolotow może być faktycznie osobiście oddany Putinowi – bo to jego ochroniarz przez 30 lat – natomiast czy tak jest w przypadku 400 tys. żołnierzy Gwardii Narodowej, to już pytanie? Bunkier rozumie, że jeśli puścić wszystko samopas i nadal grać z Nawalnym i opozycją, jak to robi dziś część politycznej wierzuszki, to los całego Bunkra i Putina będzie przesądzony. Muszą szybko zmienić sytuację”.

► Miejsce w szeregu

W tym kontekście – pisze Piontkowski – należy analizować nieoczekiwane wyznaczenie „bezpośredniej linii Putina z narodem” (prezydent odpowiada na pytania obywateli – red.) na 15 czerwca. „Zwykle ta akcja PR była przeprowadzana wiosną. Wydawać by się mogło, że o tym formacie, jakby już wyeksplloatowanym, zapomniano i nie będzie go już w tym roku. Ale nie, nagle ogłaszają na 15 czerwca, i to zaraz po akcji 12 czerwca. Według dzisiejszych prognoz, wszechrosyjski marsz protestu zakończy się nie mniejszym sukcesem niż ten, który odbył się 26 marca. I w jakim wówczas stanie Putin przyjdzie na tę bezpośrednią linię? Pobity, z podkulonym ogonem. Po dwóch wielkich publicznych porażkach z rządu w Paryżu i Petersburgu”.

„W Paryżu prezydent Francji Emmanuel Macron szydził z niego, wskazując mu, na koniec, miejsce

w szeregu i pokazując, jak teraz liderzy Zachodu będą z nim rozmawiać. Putin, jak wszyscy zauważyli, był kompletnie nieszczęśliwy i zagubiony. W takie same twarde ramiona wpadł w czasie wywiadu dla Megyn Kelly na Petersburskim Międzynarodowym Forum Ekonomicznym. Tym razem próbował agresywnie i grubiańsko się odgryzać, ale i to wyglądało skrajnie nieprzekonująco. Dało się zauważyć, że Putin bardzo podupadł psychofizycznie, co tylko zwiększyło trwogę rządzącej wierzuszki – przywódca nie jest w stanie więcej wypelniać swe obowiązki. Bunkier nie może pozwolić Putinowi przeżyć trzeci raz z rządu publiczne poniżenie – przyjąć 15 czerwca na »bezpośrednią linię« po porażającym sukcesie demonstracji w całej Rosji”.

► Podpalenie Reichstagu

Ale, jak uważa politolog, „plan Bunkra sprowadza się do czegoś innego: do sukcesu demonstracji w żadnym wypadku nie można dopuścić. Zerwą ją jakąś dużą prowokacją, którą nazwę umownie podpaleniem Reichstagu. Dojdzie do jakichś zamieszek, zginą ludzie, demonstrantów i ich liderów oskarżą o próbę puczu, Majdanu, rewolucji pomarańczowej, przejęcia władzy, co tylko się da. A 15 czerwca Putin pojawi się na bezpośredniej linii jako wódz ruskiego mira, który uporał się ze spiskiem zewnętrznych i wewnętrznych wrogów Rosji. Taki jest, wydaje mi się, plan putinowskiego najbliższego otoczenia” – do realizacji tego scenariusza doszło tylko w części. Być może dlatego, że, jak zauważał sam Piontkowski, „plany większości rządzącej elity są inne”.

„W razie udanego podpalenia Reichstagu i zwycięstwa Bunkra Putin ogłosi na bezpośredniej linii, że w sytuacji, gdy zewnętrzni i wewnętrzni wrogowie okrążyli naszą świętą obleżoną twierdzę, nie może zostawić swego ludu. Jak technicznie on to zrobi – znów pójdzie na wybory, ogłosi stan nadzwyczajny i zniszczy wybory, ogłosi się imperatorem Władimirem III – nieważne. W każdym wypadku ogłosi, że zostaje z nami i z wami, Ukraińcami, jako z dziećmi jednego wielkiego narodu, do końca, do Mariupola, do Lwowa, do Warszawy”. Jak wiadomo, „podpalenia Reichstagu” nie było, choć gdzieś niedługo władza poczyniła sobie z protestami brutalnie. Wspominany przez Piontkowskiego Bunkier nie zrealizował planu, choć na pewno będzie trzymał się tej linii (kilka dni po demonstracjach prawa ręka Putina, szef Gwardii Narodowej Wiktor Zolotow, porównał protesty antykorupcyjne do „kolorowych rewolucji”). Póki co jednak, podczas „dialogu” prezydenta z narodem żadne zobowiązania wyborcze ze strony Putina nie padły. ■



Marcin Wolski

Puch wcale nie marny...

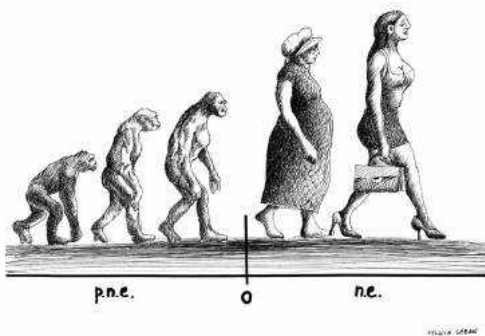
Dzisiejsze równouprawnienie Europejki zawdzięczają szczególnemu splotowi okoliczności, które stworzyły naszą cywilizację.

Mało ludzi zdaje sobie sprawę, że pewne rzeczy, uchodzące za oczywiste oczywistości, były na przestrzeni dziejów dobrem rzadkim. Należą do nich demokracja, pokój i prawa kobiet.

Czy jakiegokolwiek feministce przychodzi do głowy, że może artykułować i realizować swoje postulaty wyłącznie tu i teraz, w dodatku w naszym kręgu cywilizacyjnym? Jeżeli odrzucimy legendy o Amazonkach i wyłączymy sferę bogów i królów, niewiasta zawsze była traktowana jako zło konieczne, element inwentarza domowego mężczyzny. I nawet w idealizowanej przez Marksa wspólnocie pierwotnej nie była mu równa. Mężczyźni polowali i wojowali, kobiety rodziły dzieci, pilnowały domowego ogniska, uprawiały rolę i ten podział funkcji utrzymywał się przez tysiąclecia.

Niewiasty w wyniku biologicznych ograniczeń stawały się towarem, łupem, trofeum, rozrywką – i to niezależnie od epoki. Nawet w kulturalnej Grecji nie były one pełnoprawnymi uczestnikami tamtejszej demokracji – w sympozjonach, i owszem, towarzyszyły filozofom heterzy, ale „kobiety przyzwoite” siedziały w domach. Zresztą ich mężowie i tak pod każdym względem woleli chłopaków. Na dodatek córki Ewy krępowane były przez liczne tabu, rytuały dotyczące dziewictwa, nieczystości, nawet na stosie za czary spalono wielokrotnie więcej pań niż panów.

Dzisiejsze równouprawnienie Europejki zawdzięczają szczególnemu splotowi okoliczności, które stworzyły naszą cywilizację. Przede wszystkim chrześcijaństwu – to Chrystus nakazał widzieć w kobiecie człowieka, a kult Jego Matki dokonał więcej dla nobilitacji płci pięknej niż wszystkie feministki razem wzięte. Starożytni Rzymianie uczynili z kobiety podmiot prawa, a Grecy nauczali kochać piękno ludzkiego ciała, z powabami niewieściami na czele. Nawet średniowiecze, oprócz



**NIEWIASTY W WYNIKU
BIOLOGICZNYCH OGRANICZEŃ
STAWAŁY SIĘ TOWAREM, ŁUPEM,
TROFEUM, ROZRYWKĄ – I TO
NIEZALEŻNIE OD EPOKI.**

wynoszenia na ołtarze świętych dziewic, przyczyniło się swoją poezją do idealizacji kobiety, czyniąc miłość (często niespełnioną i oderwaną od powinności małżeńskich) głównym tematem literatury. Dwudziestowieczna emancypacja, prawa wyborcze, parytet i feminizacja całych zawodów są jedynie konsekwencją tego rozwoju. Czasem paradoksalną. Przyjrzenie się losowi współczesnych kobiet arabskich, znajomość życia dawnych Chinek, Japończyków, Hindusek pozwala na stwierdzenie – co było w świecie regułą, co wyjątkiem. ■



Tomasz Sakiewicz

Polityka i kołyska

Osile narodu decyduje wiele elementów: jego kultura, ogólny poziom wykształcenia, zamożność. Podstawową cechą tej siły jest jednak liczebność. Łatwiej zmienić poziom wykształcenia czy zamożności, niż znacząco zwiększyć liczbę członków narodowej wspólnoty. Jeżeli naród chce przetrwać i się rozwijać, musi mieć w swojej politycznej myśli zdolność do rozrodu. Zachodnia cywilizacja nie upadnie w wyniku wojen, kryzysów ekonomicznych czy masowego terrorku prowadzonego przez jej wrogów. Może upaść, bo zostanie rozpuszczona w cywilizacyjnych falach innych nacji niepodzielających tych samych wartości.

– wojsk. Tymczasem nasza przewaga technologiczna w boju stopniała, gdy pojawiły się nowe techniki walki. Nie zreformowaliśmy armii na czas, a dysproporcji liczebnej nie udało się już nadrobić. Moskwa, rusyfikując kolejne tereny, zyskała nad nami krytyczną przewagę – na 300 lat. Tendencja ta została zatrzymana dopiero teraz. Polska w ostatnim roku przestała się wyludniać. Jest coraz mniejsza emigracja, i zwiększył się przyrost naturalny. Pojawia się szansa na częściowy powrót migrujących Polaków. Ta tendencja może być trwała. Jednak dopiero następne pokolenie zobaczy wyraźne skutki takiej działalności. Czego więc nam trzeba? Wychowania elit, które

JEŻELI CHCEMY PRZETRWAĆ, MUSIMY DBAĆ O TO,
BY NIE STAĆ SIĘ MAŁĄ NISZĄ PRZY WIELKICH ŻYWIOLACH PRZECIWNYCH
NASZEMU STYLOWI ŻYCIA I NASZEJ KULTURZE.

Możemy budować mury lub zasieki. Zatrzymają na jakiś czas idących po nasze bogactwa. Każdy mur jednak ma dosyć pęknięć, by strumień chętnych przeniknął do środka. A nawet gdy okaże się idealnie szczelny, jeżeli będzie przybywało stojących przed nim i ubywało tych, którzy mur chronią, to ta bariera kiedyś pęknie. Wysokie technologie dają ogromną przewagę, ale dostęp do nich i tak wcześniej czy później zdobywa przeciwnik. Jeżeli dysproporcje liczebne są ogromne, ratowanie swojego narodu staje się niemożliwe.

Polska w XVI i XVII wieku miała najsukuteczniejszą formację militarną świata – husarię. Kilkusetosobowe oddziały bez trudu rozbijały dziesięciokrotnie większe wojska tureckie, szwedzkie czy rosyjskie. To zapewniło nam dwa wieki sukcesów i rozwoju. Cemu Rzeczpospolita się zaważyła? Bo jedno z państw ościennych zyskało przewagę w liczbie wojsk dzięki wzrostowi populacji.

Rosja, między innymi dzięki konfliktom wewnętrznym w Rzeczypospolitej, proporcjonalnie do nas zwiększyła liczebność mieszkańców, a przez to

uświadomiła społeczeństwu, jak ważne jest dbanie o powiększanie narodowego potencjału.

Władimir Putin ustanowił w Rosji dzień seksu. Nie jest to wyraz taniego populizmu, lecz autentycznego przerażenia kurczeniem się liczby Rosjan. Nie wiele to daje, bo o wielkości populacji decydują też inne rzeczy. Najważniejszą z nich jest nastawienie. Kraj z największą liczbą aborcji na jedną kobietę nigdy nie będzie się rozwijał. Nie chodzi tylko o niszczenie życia, lecz także trwałe zmiany zdrowia kobiet. Dochodzi do tego plaga alkoholizmu, aids i narkomanii. Jednocześnie Rosja jest rozsadzana eksplozją demograficzną muzułmanów i zalewem Chińczyków. Jedni i drudzy Wielkorusami się nie staną. Jest tylko kwestią czasu, gdy stare i kurczące się społeczeństwo rosyjskie zostanie zdominowane przez narody odrzucające jego kulturę.

Wbrew pozorom Zachód przeżywa podobne problemy. Regulacja imigracji pomoże doraźnie. Jeżeli chcemy przetrwać, musimy dbać o to, by nie stać się małą niszą przy wielkich żywiołach przeciwnych naszemu stylowi życia i naszej kulturze. ■

niezależna niezależna niezależna niezależna
niezależna niezależna niezależna

niezależna

niezależna niezależna niezależna
niezależna niezależna niezależna niezależna
niezależna niezależna niezależna
niezależna niezależna niezależna niezależna
niezależna niezależna niezależna niezależna
niezależna niezależna niezależna niezależna
niezależna niezależna niezależna niezależna

